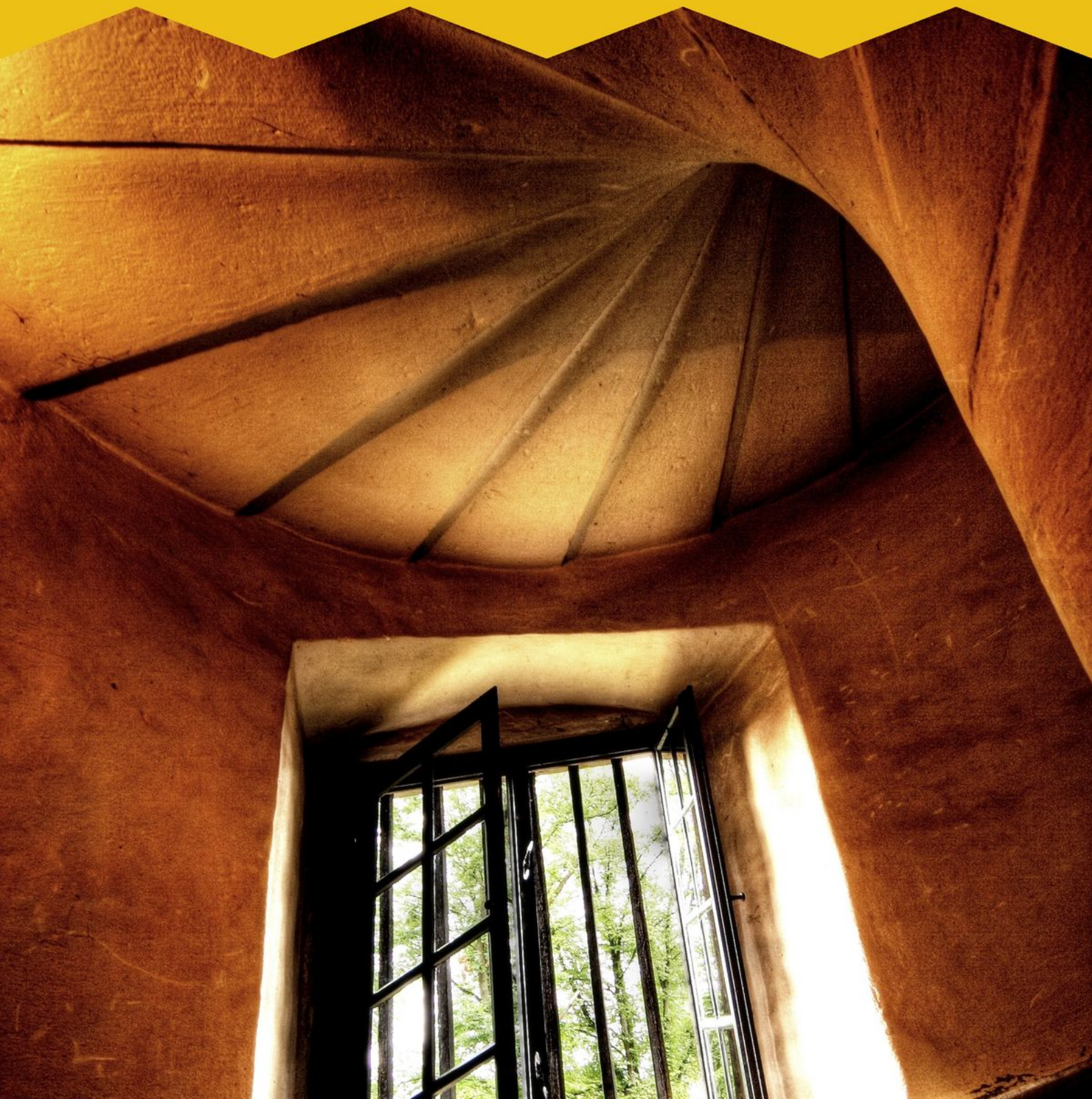


Hrabina Cosel, tom drugi





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Hrabina Cosel

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

TOM II

I

Gdy król w Warszawie z nudów i za rozkazem pani Przebendowskiej składał hołdy Denhoffowej, odegrywającej komedią pod dyktowaniem daleko od niej zręczniejszej matki, Cosel jak osłupiała, zaledwie wstawszy ze słabości odbytej, słuchała codzien doniesień, któremi ją z Warszawy karmiono. Flemming starał się o to, ażeby była o wszystkim zawiadomioną... A że król obawiał się zazdrości jej i gwałtowności charakteru, otoczono ją szpiegami, którzy każdy krok, myśl i słowo pilno postrzegać mieli...

August rad się był jej pozbyć, chciał razem uniknąć rozgłosu i wrzawy; żałował czasami pięknej Cosel, ale nadto był słabym, bałamutnym, żeby się osnutęj oparł intrydze. Świeże twarze robiły z nim co chciały, bawiła go nowość i po raz setny rozpoczynane też same amory, które się zawsze kończyły dla niego uśmiechem i ziewaniem, dla tamtych łzami.

Przykład Königsmarck, Teschen, Spiegel, Esterle, które się potrafiły pocieszyć i znalazły pocieszycieli, uspokajał go co do Cosel, chociaż widział on sam wielką między tamtymi a nią różnicę. Wszystkim im mógł jakąś słabość zarzucić, tej żadnej; ale Cosel groziła królowi odebraniem życia, potem sobie: pogrożka jej nie była czczém słowem. Można się jej było obawiać. Nakazano więc w Dreznie mieć oko na Cosel i wszelkie jej kroki; lękano się ażeby nie chciała przybyć do Warszawy: Flemming znał słabość króla, bo sam z niej korzystał, dysgracyonowany gwałtem przybywszy doń i odzyskując dawne stanowisko. Ukazanie się Cosel, jej piękność, wyższość, władza nad królem, wszystko zniszczyć mogły i obalić.

Wielkiemu marszałkowi Löwendhalowi szepnięto by szczęścia próbował. Cosel miała klejnoty, dobra, domy, i była jeszcze młodą i piękną... Szło zresztą o to, aby jej zarzucić niewiarę.

Jednego poranku Haxthausen przyjaciel hrabiniej zastał ją we łzach i płomieniach, podbiegła ku niemu łamiąc ręce oburzona:

— Uwierzyłybyś pan — zawołała — ten niegodziwiec, ten nikczemny, który mi wszystko jest winien, Löwendhal, w tej chwili śmiał mi swą miłość oświadczyć.

Złajałam go jak podłego człowieka, zagroziłam mu że do króla napiszę, i ma szczęście że policzka nie dostał.

Haxthausen zaledwie mógł ją uspokoić, drżała z oburzenia i gniewu, a łzy się jej z oczów toczyły.

— A! przed kilku miesiącami — rzekła — nie śmiałyby być uczynić mi tej obelgi.

Krok ten Löwendhala był jakby znakiem dla hrabiniej, że jej godzina wybiła. Słyszała już o Denhoffowej, a znano ją tu i całą rodzinę z dawnych jakichś głośnych przygód po świecie.

— Królewskie listy — odezwała się do Haxthausena — znacznie zmienione. Słyszałeś co pan o Denhoffowej?

— Mówią o tém — rzekł Haxthausen.

— W jakież błoto go wciągnięto! — zawołała smutnie i zamilkła.

Flemming który całą sprawą kierował, powrócił do Drezna; król mu polecił pozbyć się z wolna hrabiniej, ale postępować z jak największą względem niej delikatnością.

Przybycie jego zrazu przeraziło Cosel, lecz po kilku dniach przekonawszy się iż przyjechał w usposobieniu wcale odmienném i unikał wszelkiego powodu do zajęć nowych, uspokoiła się nieco.

Czarodziejski pałac czterech pór roku, król chciał mieć wolnym; szło o to ażeby hrabina ustąpiła z niego, jeśli można dobrowolnie.

Posłano z tém łagodnego Haxthausena, który smutne swe i ciężkie poselstwo sprawił z jak największém poszanowaniem i względami dla hrabiniej. Z wielkiém podziwieniem jego, Cosel odezwała się:

— Król mi go dał, więc i odebrać może. Miejsce to nadto mi lepsze czasy przypomina, ażebym wyżyć w niém mogła: wyniosę się chętnie.

W tej chwili wydano rozkazy, spakowano rzeczy, najęto dom przy Moritzstrasse i w kilka dni hrabina przejechała na nowe mieszkanie.

Tu już pusto było zupełnie, dworacy szczęścia i żebracy łask opuścili ją wszyscy. Wiadomość o wygnaniu hrabinę z tego rajy napełniła nieprzyjaciółki jej radością. Był to znak nieochybny zerwania. Cosel jednak nie wierzyła w nie, przed swymi poufałami powtarzała że jest żoną, i że król opuścić jej nie może. Jeszcze w roku 1705, August w chwili gdy był rozkochanym w niej, darował piękną wioskę u brzegu Elby, Pillnitz; Cosel miała tu dom i ogród u brzegu rzeki, gdzie czasem w skwary letnie po kilka dni spędzała...

Położenie było piękne: las i drzewa otaczały ją dookoła, góry osłaniały od północy, u stóp pałacyku płynęła Elba, wśród której gęstemi krzewy zarosła wyspa, jak kłęb zielony, jak kosz pełen kwiatów przeglądała się w wodach. Lecz godzin kilka dzieliło Drezno od Pillnitz, i pusto było dookoła.

Król coraz bardziej wymagający napisał do Flemminga, iż chce swęj Denhoffowę Drezno i jego wspaniałości pokazać, nie życzy więc sobie ani dla Cosel by się z nią spotkała, ani dla niej by na porywczosć hrabinę narażała się; trzeba było skłonić Cosel do opuszczenia Drezna i zamieszkania w Pillnitz.

Haxthausena używano zwykle do tych układów, których Flemming dla uniknięcia waśni nie podejmował się osobiście; zaproszono więc przyjaciela domu i generał pokazał mu pismo królewskie, zalecające Cosel z Drezna wyprawić.

— Zmiłuj się pan — rzekł grzecznie — pomóż mi; król chce przybyć do Drezna, a nie będzie mógł tego uczynić dopóki Cosel jest tutaj. Denhoffowa mówi mu ciągle że życia nie będzie pewna, póki nieprzyjaciółkę tu czuje. Samemu królowi tylekroć groziła hrabina pistoletem, że i król radby ją widzieć gdzieindziej: jak wiecie, nie lubi on spotkać się z temi, których dotknął lub obraził.

Wiem że Cosel ma mnie za wroga: nie byłem nim nigdy, dodał Flemming; rozgniewała mnie chwilowo, dziś to zapomniane. W położeniu w jakim się ona znajduje, uchybiłbym jej nie chciałem, ani przyprowadzać ją do ostateczności. Idź pan, skłoń ją, niech dobrowolnie Drezno opuści, abym niepotrzebował słać do niej rozkazu, coby jej większą uczyniło przykrość.

Haxthausen wysłuchawszy tych słodkich wynurzeń Flemminga, poszedł.

Cosel była w dość dobrym humorze. Haxthausen zaczął od żarcików:

— Wiész pani — rzekł — iż się nie mogę wydziwić złemu gustowi króla, który uchodził dotąd za człowieka wytwornego smaku. Nie znam pani Denhoff, ale z tego co o niej wiemy, zdaje się iż ta fantazja prędko przejdzie. Czasem po białym chlebie zachciwła się spleśniałego razowego, ale po kilku kąskach do pierwszego się powraca.

Tak samo pewien jestem, że pani wrócisz z chwałą na dawne stanowisko, bylebyś nie chciała króla drażnić i zniechęcać ku sobie.

Cosel domyśliła się że przychodził z jakimś poleceniem.

— Czy znowu jaką wolę królewską mi pan przynosisz, obwinieją w tę bawelnę pochlebstwa?

Haxthausen popatrzał smutnie i głową dał znak że tak było w istocie.

— A więc mów pan...

— Byłem u Flemminga — rzekł — pokazał mi rozkaz króla, który chce byś pani na czas pobytu jego tu z Denhoffową wyniosła się do Pillnitz. Sądzę że to i dla pani samęj będzie przyjemniejszém, niż patrzeć...

Łzy stanęły jej w oczach: spuściła oczy.

— A! tak mi trudno! tak trudno! — zawołała cicho. — Wiem żeś mi pan życzliwym, że w jego słowach niema zdrady, a tu jej się od wszystkich i wszędzie obawiać potrzeba; jednak, nie wiész pan ile mnie to kosztować będzie.

Zaczęła chodzić po sali zakrywając chustką oczy. Dawna gwałtowność i gniewy opuściły ją, płakała i chciała się ze łzami przed obcém okiem osłonić, potem otarła je żywo.

— Widziałeś pan sam ten rozkaz króla, nie zmyśliłi go oni...?

— Daję pani słowo, widziałem go.

Rumieniec wystąpił na twarz, gniew powrócił.

— Nie znaję mnie — zawołała — drażnią, aż do wściekłości przyprowadzą, aż do okrutnej, szalonej zemsty obudzą. Wiedząż oni do czego ja dojść mogę gdy raz gniew mną owłada? Myślą że poszanuję ich, jego nawet, tego człowieka który sądzi że mu korona daje prawo urągać się uczuciom i pomiatać ludźmi?

Haxthausen słuchał milczący.

— I to wszystko — dodała — spotyka mnie dla jednej Denhoffowej, której ulubieńców na palcach liczą wszyscy, bo się nie kryła wcale z nimi..! Prawdziwą godną ulubienicą dla króla... Chcieli go więc poniżyć i zbezczęścić dając mu taką kobietę. O! ci ludzie, ci ludzie...

I znów płakać zaczęła.

— Mogłam się tego spodziewać? jakże nie miałam wierzyć mu — mówiła łkając — przysięgał mi, był dla mnie najczulszym, miałam jego serce; poświęcał mi co miał najdroższego: nie wahał się uznawać mnie przed światem, tyle lat szczęścia... spokoju ukołysały serce, uwierzyłam, byłam przyszłości pewną. Trzy kolebki łączyły nas z sobą, kochał swe dzieci, dał im imię swoje, nie wstydził się słabości dla mnie? Jam go kochała, on mi nic wyrzucić nie może; byłam mu wierną: jednego wejrzenia nie rzuciłam na nikogo, serce mi nie uderzyło, prócz z trwogi o niego? Życie, obyczaj, wszystkim zastosowała do jego upodobań, służyłam mu jak niewolnica. A dziś, dziś, po latach tyłu, mamże go stracić, pozostać sama, sierotą, bez opieki, bez słowa pożegnania, bez wyrazu współczucia! A! ten człowiek niema serca.

Serca? — poczęła śmiejąc się — nigdy go nie miał: rozpieszczone dziecko szczęścia, ze wszystkiego robi sobie zabawkę tylko, igra z ludźmi, z uczuciami, z tém co dla innych święte, a co dla niego rozrywką jest i śmiechem.

Ale któż kiedy pochwali się że znał tego człowieka — dodała — jak anioł dobry, umieć być jak szatan zimnym i bezlitośnym; w pocałunku kryje nienawiść, w uśmiechu ostatnia zemsta: słowa mu z ust płyną słodczy pełne, aby uspiły ofiarę.

Reszta świata zda mu się stworzoną na to, aby miał o co oprzeć nogi i usnąć wygodniej, a gdy mu spokoju trzeba, gotów pozabijać żywych by mu się z pod stóp nie ruszyli.

Oczy jęj mówiąc gorzały, Haxthausen słuchał nie śmiejąc przerywać, przejęty tą wymową goryczy pełną.

Pół godziny trwały te wybuchy namiętne, coraz zmieniając ton; na ostatku znużona padła, ale znać było gorączkę, która ją trawiła. Umilkła.

— Pani! — odezwał się poseł — któżby się mógł dziwić twemu gniewowi: jest on naturalnym i dowodzi serca. Nie możesz pani wątpić iż ja pragnąłbym innego ci losu oznajmienie przynosić; lecz jestże środek zaradzenia temu? W tej chwili nie ma innego nad cierpliwość i ostrożność, ażeby sobie drogi do powrotu nie zamknąć. Znasz pani najlepiej zmienny umysł króla: nikt nigdy nad nim tak długiego i stałego nie wywierał wpływu. Możesz go pani odzyskać, trzeba dziś myśleć o jutrze i dlań się zachować.

— Radźże mi, radź, mój dobry, jedyny przyjacielu! — odezwała się wzruszonym głosem do Haxthausena.

— Ale mi pozwól pani być szczerym — rzekł poseł.

— Mów otwarcie.

— Flemming jest dla pani jeśli nie zmienionym, to przynajmniej lepiej, łagodniej, względniej usposobionym, niż był kiedykolwiek; trzeba go w tém usposobieniu utrzymać. Któż wie? na dworze zmienia się co chwila wszystko: możesz mu pani być potrzebną. Jeżeli dziś zachowasz się łagodnie, król będzie wdzięczny i uczuć się może wzruszonym. Straszono go ciągle odgrózkami pani, pistoletami, zemstą, gniewem... Nieprzyjaciele jęj mieli je ciągle na ustach. Król sam zaczął się obawiać, a Denhoffowa nie odważyła się ruszyć do Drezna, lękając się o życie. Dopóki król sądzić będzie, że pani jesteś tak rozdrażniona, nie zbliży się do niej nigdy. Najlepszą więc rachubą jest okazać się łagodną.

Masz pani przykład na hr. Königsmark — dodał — potrafiła ona łagodnością swą zachować stosunki przyjaźni z królem i z ks. Teschen pozwolono jęj zostać w Dreźnie, widywać go; gdy przeciwnie Esterle swym uporem zamknęła sobie wstęp do dworu.

— Ale jakże mi pan śmiesz — zawołała gniewnie — stawić takie przykłady. Esterle! Königsmark! to były metresy króla: ja jestem żoną jego!.. nie równaj mnie pan z nimi...

Haxthausen zamilkł.

— Zresztą masz pan słuszność, nie chcę go gniewać; chcę się okazać łagodną i posłuszną: pojedę jutro.

Już poseł miał wstać uradowany, aby odejść z tą dobrą nowiną, gdy Cosel wybuchnęła nagle, uderzając nogą.

— Nie będą śmieli zmusić mnie do tego; król sam nie odważy się na to... to nie może być! nie! nie!

Haxthausen począł ją łagodzić, uległa mu... ale zaledwie ją przekonał o potrzebie powolności, wracała do oporu i burzyła się.

Trzy czy cztery razy zmieniała zdanie; naostatek znużonemu już tą walką Haxthausenowi powiedziała:

- Nie pojedę; zostanę; niech gwałtu użyją... jeśli się ośmielą.
- Namyśl się pani, na Boga; proszę panią.. cóż powiem Flemmingowi.
- Powiedz mu pan, że jechać nie chcę.

Nie było co robić, baron poszedł do generała z tą smutną nowiną i opisem całej swój rozmowy.

Flemmingowi przykro było, że łagodnym sposobem nic nie mógł uczynić: siły widocznie użyć nie chciał. Po długich namysłach, prosił Haxthausena, ażeby raz jeszcze poszedł do niej.

Baron miał siostrę niezamężną Emilię, która przy nim mieszkała, osobę poważną i łagodnego charakteru; tym razem nie poszedł sam, wziął ją z sobą. Oboje starali się w ciągu kilku godzin przekonać ją, iż nic nie traciła na łagodności, a mogła buntując się szkodzić sobie.

Cosel to się godziła i przystawała, to znowu oburzała na ten bezduszny despotyzm. Trzy razy wychodzili już, mając jój słowo, że odjedzie dobrowolnie, i za każdym odwoływała ich ode drzwi.

Widocznie rachowała i ważąc wszystko, nie mogła być pewną, co dla niej lepszym być może.

Flemming dowiedziawszy się o tém, że hrabina ostatecznie odmówiła, dał jój jeszcze dwa dni do namysłu.

Trzeciego dnia pojechał do niej.

Zameldowano go hrabinie, która wyszła w czarnej sukni z zapłakanymi oczyma, ale z postawą dumną.

Flemming przedstawił się jój z całą etykietą dworską i chłodem wytrawnego dyplomaty.

— Stawiasz mnie pani w najprzykrzejszym w świecie położeniu — rzekł spokojnie — im pewniejszy jestem, żeś mnie pani liczyła do nieprzyjaciół, tém mocniej usiłowałem jój oszczędzić przykrości; wstrzymałem rozkaz króla kilka dni: przynoszę go pani. Jeśli nie zechcesz usłuchać, nie będę winien, iż zostanę zmuszonym spełnić go, w jakikolwiekbydz sposób. Jest to rozkaz pana mego. Król jest w drodze i nie chciał pani zastać w Dreźnie.

Stojąca przy oknie Cosel, zobaczyła oddział konny trabantów, który przed jój mieszkaniem nadciągnął i ustawił się w ulicy; błysnęły jój oczy czarne, ale się pohamowała.

Spojrzała na list.

— Jadę natychmiast! — rzekła z lekkim ukłonem — możesz pan zaufać słowu mojemu.

Flemming schował list, ukłonił się i wyszedł, trabanci pojechali za nim.

W godzinę potem, hrabina Cosel, płacząc ukryta w powozie, jechała do Pillnitz. Wszystko to dokonało się wprzód, niżeli król wyjechał z Warszawy. Jakkolwiek płochy i bez czucia, nie chciał on zerwać z hr. Cosel, nie okazawszy jój pewnych względów, należnych po tylu latach pożycia; niepokoiło go to, iż nie miał powodu do zerwania, że okaże się winnym, nie mogąc z jój strony znaleźć winy.

Gdy Löwendahlowi tak się nieszczęśliwie powiodło w oświadczeniach miłości, wyprawiono do układów jakichś Watzdorfa i usłużnego, ale niezgrabnego van Tinen, którego król używał ale nie cierpiał.

Watzdorf, niemniej wstrętliwy Augustowi, zwany chłopem z Mansfeldu przez niego, był grubianin i niezgrabny.

Watzdorf na dworze nie wiele znaczył, ale Flemming go bronił i nim się opiekował. Jednego dnia, gdy się go najmniej spodziewać mogła hrabina, zjawił się w Pillnitz.

Jedyną jego wymówką, że się znaleźć nie umiał i z hałasem zaraz wpadł do domu kobiety, której się już nie lękał, było to, że przybył pijany. Podróż od Dreznia wcale go nie wytrzeźwiła; polecono mu układy z hr. Cosel, wystawiał więc sobie, że mając losy jój w ręku, mógł pozwolić sobie, co się podoba.

Już po wnijsciu do pokoju bez oznajmienia, poznała hrabina chłopca z Mansfeldu.

— Kochana pani — zawołał śmiejąc się od progu — jestem posłany przez króla J. M., powinnaś mi pani być rada. Przywożę jęj doskonale nowiny. Król, któryby mógł i nic pani nie dać i w żadne targi nie wchodzić, jako pan miłościwy, życzy sobie rozstać się z zobopólném zadowoleniem i zgodą: słyszy pani?

— Słyszę panie hrabio, ale nie rozumiem — dumnie rzekła Cosel.

— A jaka zawsze śliczna! — dodał Watzdorf, zbliżając się i ujawnszy najprzód rękę; namyślił się, nagle podniósł głowę znajdując iż lepijby w twarz pocałować.

Ale nim to mógł spełnić, Cosel cofnęła się krok i swoim zwyczajem głośny, silny, piękną rączką dała mu policzek.

Watzdorf stał chwilę zdumiony.

— To tak? — zapytał.

— Tak — odpowiedziała Cosel pokazując mu na drzwi; król powinien był wiedzieć, że takiego gburę za posła do mnie nie godziło mu się wybierać.

Watzdorf potarł się tylko po twarzy i zamilkł, położył kapelusz i został.

— Niech to idzie w zapomnienie — rzekł — ja nie jestem mściwy, a zresztą, policzek z tak pięknej rączki nie bezcześci... owszem...

Chłop z Mansfeldu został nawet potem na obiedzie i usiłował sprawić swe poselstwo, ale w sposób najniezgrabniejszy w świecie; obiecywał bowiem hrabinie najświetniejsze warunki, wymagając jęj serca.

Rozśmiała mu się w oczy i pojechał wytrzeźwiony jak zmyty.

Cosel chciała się skarżyć listownie królowi na Watzdorfa i Löwendahl'a, odradzono jęj to: Watzdorf zajmował się naówczas finansami, dostarczał pieniędzy: walka z nim była trudną.

Nasłano później van Tinen'a, o którym na dworze rozpowiadano, że się w nięj szalenie kochał, a Cosel go dosyć znosiła, ale van Tinen życzliwszy dla nięj, nienawistny był królowi; pozwalał sobie zbyt wiele... dawał mu rady mentorskie i zniecierpliwil go do tego stopnia, iż król, który po trzeźwemu go znosił, wieczorem raz o mało go własnymi rękami, a raczj nogami nie zabił.

Vitzthum, który doskonale znał temperament króla i jego usposobienie dla osób na dworze się znajdujących, spotkawszy van Tinenę na progu pokoju, w którym August siedział już po wielu kielichach, przestrzegł go, żeby nie wchodził. — Król nie lubi cię: nie właż mu w oczy.

Van Tinen nie usłuchał dobrej rady, wszedł: August się skrzywił. Po chwili van Tinen ośmielony, począł rozprawiać; król milcząc odwrócił się od niego: ten zaszedł z drugiej strony, właził pod samą rękę olbrzymę, który milcząc patrzył nań z góry. Przytomni, widząc jak oczy Augusta błyszcząły, radzi byli ostrzedz nieopatrzego, który się zdawał wyzywać niebezpieczeństwo.

Król jakiś czas nie mówił słowa, oddychał ciężko, słuchał szczebiotania natrętnego, nareszcie zaczął coś mówić; van Tinen przerwał: król zamilkł. Po chwili odezwał się znowu i jeszcze raz wpadł mu ze słowem van Tinen. W tję chwili, jak dzik rozżarty król, zwrócił się ku niemu; ten zaczął się cofać. Szli tak, jeden następując coraz bliżj, drugi cofając coraz bojaźliwięj do kąta gabinetu. W chwili, gdy van Tinen oparł się jak trup błądy o ścianę, król chwycił go za kołnierz, rzucił nim na posadzkę i począł go bić nogami, tak że zbitego na miazgę, słudzy porwawszy bez zmysłów już leżącego, na łóżko ponieśli i o mało życiem głupstwa swojego nie przypłacili.

Na żadnym z tych ludzi, nie mogąc zdobyć król nic, coby Cosel obwiniało, zasłyszał wreszcie plotkę, że tajemną intrygę miała z bratem Lectereine'a, który był uszedł za granicę. Posłano po niego, wdano się w targi, aby niewinną oczernił, ale i to się nie powiodło.

Chciano obwinieniem poprzedzić przybycie króla do Drezna, aby mieć powód do znęcania się nad upadłą.

Postępowanie to mogło ją goryczą napęlić i do rozpaczj przyprowadzić; mogła się czuć obrażoną na króla, który dozwalał ją dręczyć i nasyłał takich ludzi.

Jednego dnia dowiedziano się w Dreźnie, że Cosel znikła z Pillnitz. Była na drodze do Warszawy. Na złamanie karku poleciały listy kresami wysłane, aby o tjem oznajmić marszałkowej. Natychmiast zwołaną została rada familijna: trwoga była niezmierna. Przybycie Cosel mogło tję całą tak szczęśliwie osnutą komedję, zmienić na tragiczny dramat.

Król już był zakochany, a raczej oplątany przez te panie. Ułożono dlań scenę nową.

W godzinie o której król zazwyczaj przybywał w odwiedziny do pani Denhoffowej, ubrana czarno, z włosami rozpuszczonemi, siadła piękna zalotnica na łóżku, z chustką do otarcia łez, których na oczach nie było, ze wzrokiem wlepionym rozpaczliwie w ścianę. Matka i siostra uznały tę pozę piękną i wielce efektową.

Gdy król wszedł, udała że go w rozpaczy swęj zagłębiona, nie postrzega.

— Cóż ci to jest piękna pani! — zapytał król troskliwie!

Denhoffowa udała że się z płaczu zanosi, oczy suche kryjąc w chusteczce, a grała tę scenę obmyśloną z talentem wielkim. Rozczulony August począł piękne rączki całować, domagając się łez przyczyny.

— N. Panie — odrzekła patetycznie Denhoffowa — zagrożona jestem zgonem! Ja tego nie przeżyję! A! umrzeć byłoby niczém, gdybym do grobu poniosła choć to przekonanie, że mi serce wasze zostało... ale... niestety... ludzie chcą mi z życiem wydrzeć razem serce twoje! Pani Cosel jedzie, przybywa do Warszawy... może się już tu znajduje... może już zguba moja została poprzysiężoną, może ty królu przybywasz tylko aby mi oznajmić że powinna ustąpić szczęśliwej rywalce...

— Ale cóż pani śnisz — przerwał król zdziwiony — z kąd to wszystko, mógłbym ja panią zdradzić? Nie, pani, nierozzerwane węzły łączą nas, twój charakter pełen słodyczy, twa dobroć dla mnie, są rękojmią że ci nigdy żadna Cosel szkodzić nie może.

— A! panie mój — ciągnęła dalej Marynia — bogdajby to co mówisz prawda było, bogdajbys mi odpłacał miłością tak szczerą jaką ja mam dla ciebie. A! umrzeć dla mnie jest niczém, ale cię utracić to nad siły... wyrzec się życia prędkiejbym mogła, niż tego szczęścia które mi się uśmiechało! Królu, jeśli mnie kochać przestaniesz, weź to życie: nie chcę go więcej.

— Ale moja droga hrabino — odparł król — byłoby z méj strony niegodziwością takie wyznanie, tak słodkie wyrazy z ust twych, niewdzięcznością zapłacić.

— Dzięki ci panie, za tak słodką nadzieję — mówiła ciągle Marynia — mimo to ja się uspokoić nie mogę, trwoga mną owłada... Ta nieznośna rywalka zbliża się... będziesz ją widzieć, pochwyti znowu tę władzę nad sercem pana mego, którą tak długo zachować umiała.

— Czegóż się pani dręczysz — przerwał król troszkę niecierpliwie — jakimże ją sposobem uspokoić mogę... Owszem, pozwól niech Cosel przyjedzie, odniesiesz tryumf nad nią.

— Nie, nie! — zawołała Denhoffowa — jeśli Cosel ma tu przybyć, ja opuszczam Warszawę: ta kobieta targnąć się może na mnie, najniegodziwszego gwałtu dopuścić.

Marszałkowa matka w czasie téj rozmowy stała pode drzwi, gotowa wniść gdy znak usłyszy; Marynia kaszlnęła.. drzwi się otwarły i weszła udając zdziwioną i niewiedzącą zupełnie że król się tu znajdował.

— Bardzom szczęśliwy że panią widzę — zawołał król wstając — chodź pani i pomóż mi uspokoić córkę swą, która mnie obraża posądzeniami nie słusznemi.

— Ale o cóż idzie, N. Panie?

Marszałkowa udawała zdumioną.

— Wszak podejrzenia i zazdrość są dowodami przywiązania — dodała żywo. — Nie powinno to W. K. Mości obrażać.

— Posłuchajże pani...

Tu król opowiedział wszystko... Marszałkowa słuchała go, dziwnie spoglądając na córkę to na niego; minę miała skłopotaną.

— Przebaczysz mi W. K. Mość — rzekła po chwili — ja się córce mojej nie dziwuję wcale. Wiadome są całemu światu pogródki hr. Cosel, znany jest gwałtowny jój charakter. Wszak śmiała grozić wam nawet N. Panie!

— A więc — przerwał August — o co idzie? dla waszój spokojności, wydam natychmiast rozkazy, ażeby panią Cosel zwrócono z drogi do Drezna.

Na to marszałkowa składając ręce, wykrzyknęła przejęta wdzięcznością:

— Szczęśliwą możesz się nazwać Maryniu kochana, mając tak troskliwego o twój spokój opiekuna.

A po namyśle dodała:

— Ośmielam się uczynić jeszcze uwagę, że pani Cosel, łaskami W. K. Mości uzuchwalona, nie łatwo kogo posłucha, należałoby kogoś wyprawić... kogoś takiego, coby umiał...

— Wybierzcie panie kogo chcecie! — zawołał król trochę tą sceną znudzony.

Zaczęto dziękować i rozpadać się przed N. Panem, okazującym tyle dobroci, tyle troskliwości.

Marszałkowa miała już gotowego do tej wyprawy człowieka. Był to Francuz Montargon, przybyły z ks. Polignac'iem do Polski, który tu przy Bielińskich pozostał i wyrobił sobie tytuł szambelana J. K. Mości. Różnie mówiono o jego stosunkach z tym domem...

Montargon znalazł się w pół godziny, gotów na rozkazy króla, który mu polecił stanowczo zawrócić z drogi hrabinę Cosel.

— A jeśliby rozkazu W. K. Mości usłuchać nie chciała? — spytał Francuz — w takim razie co mam uczynić?

Król stał chwilę zamyślony, wyraźnie kosztowało go to do czego został zmuszony.

— Dam waćpanu w pomoc La Haye podpółkownika moich kawaler-gardów, i sześciu gwardzistów, zdaje mi się że to już wystarczyć powinno.

Nie tracąc czasu posłano po pana La Haye, który z ust króla samego otrzymał dobitne rozkazy, i téjże nocy oddział wysłany przeciwko jednej kobiecie bezbronnej, wyruszył z pośpiechem nadzwyczajnym, gościńcem który wiodł z Warszawy do Drezna.

A jak czule były podziękowania, i jak wielka potem radość z odniesionego tryumfu!!

II

Hrabina raz postanowiwszy widzieć króla i sama w obronie swój stanąć przed nim, z całym dworem wybrała się w drogę chcąc pospieszyć tak, ażeby ją wiadomość o wyjeździe nie poprzedziła. Nie opuszczający jej nigdy wierny Zaklika towarzyszył w tej podróży. Cierpiał on niewymownie nad losem swój pani, ale w naturze jego było milczyć tém uparciej, im więcej bolał... Błady, wychudły, zczerniały, jechał przy wozie, spełniając rozkazy, niemy a zły.

Przed wyjazdem z Drezna, Cosel kazała go zawołać do gabinetu.

— Wszyscy mnie opuścili — odezwała się — nie mam nikogo, na kogobym liczyć z pewnością mogła.

Spojrzała nań: Zaklika stał chmurny.

— Czy i wy mnie porzucicie?

— Ja? nigdy! — rzekł krótko.

— Zdaje mi się że na wasz szlachetny charakter i poświęcenie dla mnie rachować mogę.

— Zawsze — odpowiedział uroczyście Zaklika, dwa palce podnosząc do góry jakby przysięgał.

— Chcę wam to co mam najdroższego powierzyć — odezwała się zniżając głos Cosel — powiedzcie mi, zaręczcie że chyba z życiem stracie to co wam dam do przechowania, że nie dacie sobie tego wydrzeć siłą, że mi będziecie strzedz mego skarbu, honoru mego jak...

— Jak relikwii — rzekł Zaklika znowu rękę podnosząc — niech pani będzie spokojną...

— I nie trzeba by żywa dusza wiedziała o tém co złożyłam w waszych rękach.

— Każe mi pani przysiąc?

— Wierzę słowu.

Trzeba jednak byś wiedział co masz strzedz. Mówiłam, będziesz stróżem honoru hrabiny Cosel. Gdy król mnie rozdzielił z mężem, dostałam na piśmie z pieczęcią jego przyrzeczenie że po śmierci żony mnie poślubi, że wejdę w prawa małżonki. Inaczej nie zgodziłabym się nigdy na takie życie. Teraz usiłować będą mi wydrzeć to przyrzeczenie, którego złamanie króla okrywa sromotą; mogą się targnąć na mnie, ale ust mi nie odemkną, ale mnie torturami nie zmuszą do wydania gdzieś to pismo złożyła. Zamurować je? mogą mnie wygnąć; zakopać? mogą mnie oddalić: na sobie nosić nie jestem pewna.

To mówiąc Cosel otworzyła szkatułkę hebanową, sadzoną srebrem i kością słoniową, ze szkatułki dobiła pudełko złote, a z niego woreczek skórzany opieczętowany ze sznurem jedwabnym.

— Ty mnie nie zdradzisz? — odezwała się patrząc mu w oczy.

Zaklika upadł na kolana i lży mu spadły na wąsy, pocałował podaną rękę, pochwycił oglądając się woreczek który złożył prędko na piersiach i odezwał się głosem stłumionym:

— Chyba z życiem go utracę.

Cosel prędko zamknęła szkatułkę.

— Jedziemy w drogę — dodała — nie wiem co się w niej przytrafić może, a może zdarzyć się i najmniej spodziewane i najgorsze, trzeba byś miał pieniądze zawsze.

Dała mu zielony worek ze złotem.

— Do rachunku — rzekł Zaklika.

W kilka godzin potem Cosel z nabitemi pistoletami, które ją nigdy nie opuszczały, ruszyła w drogę.

Podróż aż do Widawy, małej miłośnicy na pograniczu Szlązka, szła szczęśliwie i szybko. W Widawie musiano się zatrzymać dla spoczynku, hrabina znużona kazała robić obiad naprędce i zajęła najlepszą, prawie jedyną gospodę. W drugim jej końcu stało dziesiętek koni jakiegoś oddziału trabantów, który jak się domyślano, do Saksonii musiał powracać. Zaklika straż pełnił u drzwi. Montargon i la Haye zjawili się przed nim, prosząc aby ich zameldował hrabinie, którą spotkawszy w drodze przypadkiem, radziby jej złożyć uszanowanie.

Pierwszy z nich znajomym jej nawet nie był. Zdziwiła się niepomału hrabina, gdy jej Zaklika to oświadczył, nawykła od niejakiego czasu do tego iż wszyscy od niej stronili. Na myśl jej nie przyszło żadne niebezpieczeństwo, kazała prosić.

La Haye był człowiek grzeczny i z dworem obyty, umiał się znaleźć.

Hrabina Anna pomimo niepokoju i serca ucisku nawykła do poskramiania swych uczuć, usiłowała odegrać rolę spokojnej a nawet wesołej. Przyjęła oficerów grzecznie, uprzejmie bardzo, aże pora obiadowa się zbliżała, prosiła ich na skromny swój posiłek podróżny.

W czasie obiadu rozmowa szła dość swobodnie, ku końcowi Montargon który swe posłannictwo miał na sercu, począł opowiadać o Warszawie, o tém, o owém i zwrócił się do hrabiniej:

— Zdaje mi się — rzekł — że pani się niepotrzebnie w podróż tę wybrała. O ile my wiemy, król mocno zajęty i bodaj czy go to nie oburzy i nie rozgniewa. Możesz pani być wystawioną na nieprzyjemności.

Cosel na te słowa zmarszczyła brwi, cofnęła się z krzesłem od stołu.

— Jakto? pan! pan mi będziesz dawał rady? pan masz lepiej znać króla nademnie i moje położenie i to co mi czynić wypada?

Zmieszał się Montargon.

— Pani daruje — wybąknął.

— Nie daruję panu tego — zawołała Cosel — bo to jest i niezręczność i niegrzeczność. Dajże mi waćpan pokój z radami, których ja od niego nie potrzebuję.

Montargon pobladł, skrzywił usta.

— Odemnie pani hrabina w istocie anibyś mogła rad potrzebować, anibyś ich powinna słuchać; ale gdybym miał polecenie od króla J. M.

— Od króla? — zawołała Cosel.

— Tak jest.

— W takim razie nawet nie czuję się zmuszoną do posłuszeństwa — rzekła hrabina — opanowali go nieprzyjaciele moi, zrobił to czego był niepowinien uczynić i czego w tej chwili żałuje sam. Mógł król chwilowo uledez, a pewna jestem iż sam będzie rad że go nie posłucham. To moja sprawa.

Montargon człowiek gładki, ale obrażony tonem jakim go piękna podróżna zrazu poczęstowała, odezwał się głosem niby słodkim a w istocie boleśnie obrażającym:

— Wdzięcznym był pani hrabinie, gdyby mnie raczyła uwolnić od użycia nader nieprzyjemnego — siły.

— Jakto? — porywając się krzyknęła Cosel — waćpanbyś śmiał się targnąć na mnie?

— Mam stanowczy rozkaz króla zwrócić panią do Drezna — rzekł Montargon — i będę zmuszony być mu posłusznym.

Hrabina uniosła się porywem gniewu. Słyszała o panu szambelanie że był synem wiozkowego pisarza i krzyknęła nań:

— Precz mi, piszczyku ty jakiś; precz! — porwała za pistolet — bo ci łeb roztrzaskam. W progu stał już Zaklika.

Montargon, który także dobrze wiedział z kim miał do czynienia i był pewnym że hrabina mu słowa dotrzyma, wysunął się co prędzej, nie otwierając już ust, a la Haye, który się dotąd nie odzywał, pozostał.

Sposób w jaki towarzysz jego dostał odprawę był dla niego nauką, la Haye zaczął z wielką łagodnością:

— Pani hrabino — rzekł — posłów ani ścinają, ani karzą; niech się pani uspokoi: myśmy niewinni że nam tak nie miłe dano polecenie. Byłbym w rozpacz gdybym się mógł najmniejszą przykrością narazić pani, ale na miłość Boga, rozkazy króla! rozkazy z własnych ust N. Pana dla wojskowego, niema ratunku, one się spełnić muszą.

— Widziałeś pan króla? — spytała spokojnie Cosel.

— Tak jest, z ust jego własnych odebrałem rozkaz. Zaklinam panią, nie byś ratowała siebie, ale byś mnie raczyła uratować.

Ten ton łagodny rozbroił ją nieco: Cosel padła na krzesło drżąca.

— Niech się pani uspokoi; niema, jak mi się zdaje nic dla niej groźnego w tém wszystkim.

— Jakto? a ta Denhoffowa?

— A! to bałamuctwo przemijające — zawołał la Haye — coś nakształt romansu króla z Duval, o której dziś tak dobrze zapomniał, że nie wiem czy sobie jój imię przypomina. Pani Denhoff jest zamężną, mąż jój na wsi, o niczém nie wie, nie ma najmniejszego podobieństwa ażeby przybyła do Drezna. Król zaś powrócić musi; zobaczysz go pani i łatwo odzyszczesz wpływ swój nad nim.

Coraz spokojniej zaczęła go Cosel o wszystko rozpytywać, la Haye umiał jój historią w takiem świetle przedstawić, aby jój znaczenie zmniejszyć. Po kwadransie rozmowy, hrabina grzeczniemi prośby dała się wreszcie pokonać, la Haye odniósł zwycięstwo, kazano zaprzęgać, wracała do Pillnitz.

Montargon już się jój na oczy nie pokazał, ale ze szczęśliwą nowiną wysłał zaraz kuryera do pani marszałkowej. Obawiając się zaś ażeby Cosel nie zmieniła w drodze postanowienia, on i la Haye z oddziałem żołnierzy prowadzili ją niepostrzeżeni; noclegi i popasy odprowadzając w kilka godzin po niej, aż pod Budziszyn, z kąd już spokojni mogli wrócić po dziękczynienia tych pań do Warszawy.

Montargon, który dawno tak blisko nabitego pistoletu nie widział przy głowie, śnił o nim długo i mówił sobie pocichu, że drugi raz na tego rodzaju wyprawę narażaćby się nie chciał.

Tymczasem pani Denhoffowa coraz jawniejszém występowaniem przy królu i przyjmowaniem go u siebie, poczęła zwracać oczy wszystkich i mowy w których jój nie oszczędano. Jakkolwiek wpływ obyczajów obcych dał się już wówczas czuć w Polsce, choć nie był to pierwszy skandal tego rodzaju, tu jednak ludzie poważni gorszyli się i sarkali, a poniewieranie dobrej sławy przez kobietę zamężną, pod niebytność męża, oburzało.

Raziło to tém więcej, iż współniczką i pomocnicą była matka, że świadkiem była siostra, że się raczej chlubiono tém niż tajono z poniżeniem. Na Denhoffa, którego rozkazy króla i umiejętne intrygi trzymały oddalonego na wsi, nalegać zaczynała rodzina, ażeby żonę do siebie wezwał. Denhoff słał coraz gniewniejsze listy, coraz usilniejsze nalegania, coraz straszniejsze groźby.

Wymówek wreszcie nie stawało, wyprawiono doń matkę żony, która umiała sobie wszędzie dać radę.

Nazajutrz po swém przybyciu, pani marszałkowa odezwała się do zięcia:

— Nie męczcie nas temi wymaganiami powrotu, bo z tego nic być nie może. My szczęścia całej rodziny dla twoich fantazj poświęcać nie myślimy; mamy króla w rękę, król się w Maryni szalenie pokochał. Chcesz żeby przez śmieszłą pruderią, odwiozła ci ją tutaj... a nasze interesa przez to zabiła!

Denhoff był człowiekiem trochę starego kroju, coś zasłyszał o bałamuctwach żony.

— Słuchaj waćpan — dorzuciła pani marszałkowa — masz do wyboru: albo milczyć i zostawić rzeczy jak są i korzystać z łask monarszych, co by ci do twych interesów nie zaszkodziło, lub zgodzić się na rozwód. Nuncyusz Girmani jest nam dosyć przyjazny i w Rzymie rozwód łatwo wyrobi.

— Moja pani — odezwał się Denhoff — dzielić się sercem żony z N. Panem, nie mam najmniejszej ochoty, a prawdę rzekłszy, ledwieby mi się co z niego okroiło... bo to tam dużo ludzi do córki jéjmościńej konkuruje. Dajcież mi święty pokój z łaską królewską i z królewską kieszenią, a uwolnijcie mnie od Marysi, za co jeszcze wdzięczny będę, byle prędkiej.

Marszałkowa była nieco zdziwioną, że pan Denhoff przystał tak łatwo i tak rezolutnie łaską pańską pogardził, ale rozmówiwszy się z zięciem i otrzymawszy podpis jego, powróciła z nim do Warszawy do Grimaniego; nuncyusz napisał do Rzymu: Klemens XI rozwód dać kazał.

Tymczasem zmarł marszałek Bieliński, który chorował dawno i zgon ten był przewidzianym. Zostały po nim długi ogromne, majątki obciążone, interesa zawikłane i cała nadzieja podźwignięcia rodziny spoczęła w pięknych rączkach pani Denhoffowej, która gorliwie się wzięła do kassy J. K. M. Sprawiono najprzód panu Bielińskiemu jeden z najwspanialszych pogrzebów, na jakie w tym wieku patrzyła Warszawa; potem dla nieszczęśliwych sierot umiano wzruszyć czule serce Augusta II. Posypały się dary dla całej rodziny. Kronika ówczesna powiada, iż sama pani Denhoffowa nie byłaby nigdy umiała poprowadzić rokowań o nieustanne wsparcia i indemnizacye, gdyby nie rozum, doświadczenie i zapobiegliwość matki, niewypuszczającej ją z opieki i czuwającej nad dobrem całej familii. Pani marszałkowa prosiła o coś ciągle, prosiła nader zrećźnie, bardzo słodko i grzecznie; znajdowała zawsze tak słuszne powody, tak konieczne potrzeby, tak tkliwie umiała przemówić do serca N. Pana, iż August dawał chętnie i choć nań Sasi już sarkali, nie bardzo zważał na to.

Pogrzeb marszałka był tak przepyszny, iż od żaloby uwalniał; król się musiał bawić, nie śmiano utrudniać mu rozrywek i zaprawiać je tęsknotą oddalając się od nich, tak, że bardzo prędko córki, syn i marszałkowa zaczęli bywać na balach i widowiskach, które król nieustannie wydawał.

Nie szło mu to jednak w Warszawie, dokąd wszelkie wytwórcze przybory zwozić potrzeba było z Drezna; nie miał tu całej téj armii posługaczy, którzy go otaczali w Saxonii, rozumiejąc jego skinienia, odgadując myśli, siłąc się na nowe coraz sztuki i wynalazki. Stolica Polski była ubogą stosunkowo w to co zbytek i wystawę karmić miało. Król chciał pokazać w oczach swej pani, na co go stało, zdumieć ją i zachwycić. Zaczęto mówić o wyjeździe do Drezna, gdy się pani Denhoff obawiająca pistoletów Cosel, upewniła że jéj tam na drodze swéj nie znajdzie.

Wyjazd z Warszawy całej rodziny, która szła za wozem tryumfatorki, zbierając co z niego spadało, nie prędkiej nastąpił, aż się upewniono, że Cosel w drogę jéj nie wejdzie.

Pani Denhoffowa dla pozbycia się rywalki, której w istocie więcej się lękała dla króla niż dla siebie; udawała ciągle przerażoną, otaczała się strażami, prosiła o opiekę, kazała strzedz od jakiejś wymarzonej napaści.

Być bardzo może iż nieprzyjaciele hrabinéj, chcący zapobiedz by wróciwszy do dawnych łask u króla nie mściła się doznanej zniewagi, wpływali na panią Denhoffową, pobudzając ją do prześladowania hrabiny. Dosyć że król, który rad ją był oszczędzać, i który łagodnie dosyć obchodził się po rozstaniu z innemi ulubienicami swemi, był teraz nieustannie pobudzany do coraz nowego, a coraz przykrzejszego znęcania się nad panią Cosel. Chciano się jéj pozbyć koniecznie, pozbyć w ten sposób aby powrócić nie mogła.

Flemming nie bez przyczyny obawiał się spotkania z nią króla, wiedział że ona szukać go będzie, był przekonany, iż obudzi żal w Augustcie. Jątrzone więc i pobudzano Denhoffową, która wzdragała się prześladować kobietę, i kobietę nieszczęśliwą.

Ale Flemming i Fürstemberg przestraszali ją ciągle tém, iż Pillnitz będzie o parę mil od Drezna, że z królem spotkać się może, że naówczas pani Denhoff strąconą zostanie ze stopni tronu, a z nią cała jéj rodzina.

Tak z jednej strony, nasadzając panią Denhoff na króla, ażeby ją wygnał z sąsiedztwa stolicy, z drugiej Flemming sam przypomniał mu, iż nieopatrznie, w chwili namiętności, dał na piśmie przyrzeczenie ożenienia, że tym dokumentem przechwalała się hrabina

Cosel, że należało bądź co bądź, papier ten, bodaj zań oplaciwszy, odebrać, aby króla nie kompromitował.

August znalazł to słuszném: raz rozpoczawszy prześladowanie, obudziwszy gniew i pragnienie zemsty, musiał iść dalej i odebrać nieszczęśliwej wszelkie narzędzia obrony i usprawiedliwienia.

Nie dano jój w Pillnitz spoczynku.

Watzdorf zjawił się znowu. Jakkolwiek był dla niej wstrętliwym, Cosel nawykła teraz, z pozorną przynajmniej cierpliwością znosić wszystko: musiała go przyjąć, wiedząc że przybywa z wiedzą i za wolą króla.

Tym razem był on znacznie oględniejszy w postępowaniu z hrabiną.

— Życzę pani dobrze — odezwał się przy powitaniu — najlepszym tego dowodem, że tu przybywam, abym dopomógł do jakiej zgody i układów. Wpłyniemy wszyscy na króla, aby jak najkorzystniej wypadło to dla pani... ale...

— Ale co? — zapytała Cosel, spoglądając nań.

— Ale ze strony pani, trzeba by też trochę powolności — rzekł Watzdorf.

— Posłuchaj mnie pan — odezwała się Cosel — byłam królową, panią, bóstwem; jestem matką trojga przyznanych przez króla dzieci jego; nie dałam mu powodu do żadnych podejrzeń i zazdrości: najzłośliwsza potwarz zęby skruszyła, rzucając się na mnie. Jeśli sobie co mam do wyrzucenia, to zbytnią miłość dla króla.

Po tylu latach pożycia, w ósmym roku, nagle po świeżych jeszcze przysięgach i laskach, najnikczemniejsza intryga odbiera mi nie jego serce, ale namiętność tylko. Każe mi rzec się miłości... milczę... wypędzają mnie z darowanego pałacu, idę; każą mi się oddalić z Drezna, usuwam się do Pillnitz, chcę widzieć króla, zawracają mnie siłą z drogi. Pomimo to wszystko, ogłaszają mnie zuchwałą, mściwą, niebezpieczną, lękają się mojej wściekłości, mówią żem gotowa z rozpaczą godzić na życie króla.

— Tak jest, wszystko to mówią, prawda, — rozśmiał się Watzdorf — ale pani możesz temu zadać kłam i spokojnie skończyć jak Teschen i Aurora.

Cosel zarumieniła się i porwała.

— Teschen i Aurora były faworytami — zawołała — ja mam przyrzeczenie ożenienia, ja byłam i jestem żoną.

Watzdorf się rozśmiał w głos.

— A! kochana hrabino — rzekł z poufałością obrażającą... — to są stare dzieje. Pani wiesz co na człowieku może namiętność? Ona bywa despotyczną, człowiek wówczas nie jest panem siebie, nie wie co czyni.

August II pan nasz najmiłościwszy podpisał przecie zmuszony pokój Altransztadski... a ogłasza go nieważnym; podpisał też pani może przyrzeczenie ożenienia, ale do niego nie przywiązuje też wagi.

Z trudnością mogła Cosel utrzymać oburzenie swe.

— A! królowi wolno — zawołała — do słów, przysięg i przyrzeczeń najuroczystszych, żadnej nie przywiązywać wagi; ale ja mam go za uczciwego człowieka, który wie co czyni i nie oszukuje siebie i ludzi... dla mnie słowo jego święte i ważne.

Zaczęła się przechadzać po pokoju... po namyśle Watzdorf odważył się przystąpić do tego z czém przybył.

— Niech mi pani powie otwarcie — odezwał się — jakie są jój żądania? Król ma dla niej wdzięczność i dobrą wolę... uczyni wiele; tylko znowu nie trzeba wymagać rzeczy niepodobnych ani żartów podnosić do znaczenia, jakiego nie miały. Ten paperek królewski pani oddasz.

Żywo zwróciła się Cosel ku niemu:

— Z tém pan przybyłeś? — zapytała.

— No, muszę wyznać: tak jest.

— Wracajże nazad — odparła Cosel rozplamieniona, — bo pókim żywa nie oddam nikomu. Jest to obrona mojego honoru, a ten mi droższy jest nad życie. Myślicie że zgodziłabym się za wszystkie skarby i pałace Augusta, za blask jego laski, podać mu rękę, gdybym téj obietnicy ślubu nie otrzymała.

— Ależ to była śmieszność — rzekł Watzdorf. Sama pani uznasz! królowa żyła i żyje.

Któż jest w prawie rozporządzać tak przyszłością: takie przyrzeczenie w oczach prawa, ludzi, świata, nic nie waży.

— A pocóż mi je odbierać chcecie? — zapytała Cosel, — bo wam wstyd tego, że król mnie słabą, nieświadomą, uwiedzioną oszukiwał? Lękacie się, aby go ta lekkomyślność i zdrada nie napiętnowała tak jak godzien.

— Pani, ja przeciw królowi wyrzutów słuchać nie mogę, — rzekł Watzdorf.

— To wracaj z kądem przybyłeś — zimno odezwała się Cosel, chcąc wyjść z pokoju. Poseł poruszył się z siedzenia i wstrzymał ją.

— Zastanów się pani, do czego to prowadzi! Króla zmuszasz pani do użycia ostatecznych środków, do surowości bezprzykładnej. Wszak może użyć siły! wszak papieru tego nie ukryjesz pani tak, aby go ci wyrwać nie mógł.

— Więc niech próbuje, — odparła hrabina.

— Toby była ostateczność nader smutna — kończył Watzdorf — téj właśnie wszyscy, co jój życzą dobrze, radziby uniknęli; téj ja pani chcę oszczędzić.

Jeśli zmusisz do gwałtu, nic się spodziewać nie możesz; dobrą wolą otrzymasz pani...

Cosel nie dała mu dokończyć i zapytała:

— Chcesz bym sprzedała mój honor i oceniła go na pieniądze? Zaręczam ci, że skarbiec królewski niema tyle, ażeby kobiety jak ja honor zapłacił. Za skarby świata go nie oddam.

Z dumą i siłą wypowiedziała te słowa.

— Chcę żeby świat wiedział jak niegodnie byłam oszukana, jak niepoczciwą zrobiono sobie ze mnie igraszkę.

Łzy potoczyły się jój z oczów.

— Nie — zawołała nagle — waćpan kłamiesz, to nie jest wola królewska: nie wierzę. Czernicie króla chcąc go obronić. Wierzę w płochość chwilową jego, ale nie zwątpiłam o sercu szlachetném. Król nie może tego żądać!

Posłany milczał, zwolna rozpiął suknię, zaczął szukać w pliku papierów królewskiego listu i pełnomocnictwa, które miał przy sobie: w milczeniu podał je hrabinie.

Rzuciła na nie okiem prawie pogardliwém.

— Jeśli to co mnie podpisał i poprzysiągł niema wagi — odparła ręką papier usuwając — jakąż mam przywiązywać do tego pisma i podpisu? Jutro król może ten list kazać wam odebrać i odwołać!

Zmieszany widocznie Watzdorf, list złożył i schował nazad: litość odmalowała się na jego twarzy.

— Pani hrabino — odezwał się cicho — jój postępowanie budzi we mnie litość, wierz jój lub nie, ja więcej nad nią dać nie mogę. Na Boga, zważ pani na co się narażasz. Nie śmiałbym słowa jednego wyrzec przeciw królowi. Król jest jak najlepszym, najszlachetniejszym, ale w sobie musi bronić godności królewskiej, za którą przed monarchami i ludami odpowiada. Tam gdzie idzie o sprawy stanu, niema środków jakichby nie wolno było użyć. Niech pani przypomni los ludzi wielu, wielu. Niebezpiecznie jest sprzeciwiać się królowi, gdy nim owładnie namiętność.

— Znam go lepiej od was — wrzuciła Cosel.

— Król nasz umie być dobrym, ale potrafi być strasznym — rzekł Watzdorf.

— Wiem o tém — powtórzyła hrabina.

— Zaklinam panią!

— Oszczędź pan sobie czasu i zachodu, to rzecz próżna — zaczęła Cosel spokojnie — groźbą mniej na mnie możesz podziałać niż namową: wstydziałabym się jój uledz.

Watzdorf napróżno usiłował jeszcze przekonać hrabinę, która spojrzawszy nań długo i pogardliwie wyszła z pokoju. Nie pozostało mu nic nad powrót do Drezna i zdanie sprawy z nieszczęśliwój znowu próby...

III

Są istoty które na ból patrzeć lubią a jękom się przysłuchiwać, poić się cierpieniem i nieszczęściu urągać. Płochość czy złość pobudką: zawsze to świadectwo mniej szlachetnych charakterów.

Nieszczęście jakiemu Cosel uległa, uczucie zemsty i ciekawości budziło w jój nieprzyjaciółach. Prawda że dumę swą nieraz im czuć dała, że nie wiele osób zasłużyły na

jój przyjaźń; lecz w owym dworze intryg osobistych pełnym, trudno się było do kogo przywiązać.

Do natrętów co się odpędzić nie dawali należała baronowa Glasenapp. Cosel raz już była zmuszoną dom jój wypowiedzieć, przekonawszy się co z niego wynosiła i udając przyjaźń, za drzwiami sama się z nią wyśmiewała. Długo też nie pokazywała się potem, a jak najmniej spodziewać się jój było można teraz, gdy Cosel nie miała ani znaczenia, ani przyjaciół nawet w tych, co jakiś wstyd zachowali jeszcze.

Jakież było zdziwienie hrabiniej, gdy nazajutrz oznajmiono jój odwiedziny Glasenappowej. Zrazu wahała się z przyjęciem nie chcąc wystawiać na urągawisko lub fałszywe zapewnienie współczucia, w które wierzyć nie mogła.

Glasenappowa niezrażona długiemi oczekiwaniem, pobiegła na okół domu, którego dół zajmowała Cosel i od okna do okna przechodząc i zagłędając, gwałtem się starała ją znaleźć i do niej docisnąć.

W ten sposób w istocie napadła Cosel, która usunęła się do swojego gabinetu i przewiesiwszy w otwartem oknie, zmusiła by jój drzwi odemknęto.

— A, moja droga hrabino, nie kryjże się — zawołała — wiem że ty w moją dla siebie dobrą wolę nie wierzysz, lecz ja ci to przebaczam, bo się nad tobą lituję. Każde mnie puścić! przynoszę ci plotki z miasta: nic nie chcę, tylko cię uściskać.

Cosel znudzona i zmęczona zarazem przyjęła baronowę, która się rzuciła w krzesło, patrząc w zwierciadło i poprawiając potarganą w drodze fryzurę.

— Chciałam ci dać dowód, że mam serce, choć te gałgany drezdeńskie — odezwała się — odmawiają mi wszystkiego. Niema potwarzy którójby na mnie nie wymyślili; wierz mi Cosel, że ja ci zazdrozczę twój samotności, bo na dworze żyć a jeszcze na takim, to się jak ja wściec potrzeba.

Zatrzymała się chwilę, siadła wygodniej, obejrzała wkoło.

— Ale tu w Pillnitz cicho, miło, ładnie i wcaleby ci źle nie było, gdyby ci choć tu spokojnie dali odetchnąć. Ja nie sądzę żeby ci się to udało. Ta paskudna Denhoffowa gotowa cię i ztąd wygnąć.

Cosel uśmiechnęła się wzgardliwie.

— Mamy tedy tę panią w Dreźnie — poczęła paplać żywo — a z wielkiego strachu abyś jój z pistoletu nie postrzeliła, podpółkownik Chatira i sześciu kawaler-gardów na krok jój nie odstępują. Myślę że za tę gwardyę nie gniewałaby się nawet nie mając obawy.

Oprócz tego postawili ją u Fürstembergu, dopóki jój pałacu nie zbudują, ale nim zbudują, panowanie się jój skończy.

— Mają przecież pałac po mnie — mruknęła Cosel.

— O! ten już przeznaczony dla Kurfirsta — dodała Glasenapp, która wiedziała o wszystkim. Chatira jest marszałkiem dworu, ministrem, przyjacielem, myślę że i garderobianą u Denhoffowej... Flemming wydaje śliczne wieczorki dla króla i faworyty, nigdy z nich na trzeźwo nie wyjeżdżają. Mówią że na jednym z nich dobrze podpiwszy pogłaskał Denhoffową pod brodę, zowiąc ją czule takim epitetem na jaki zasłużyła. Nie wzięła mu też tego za złe... zresztą słyszę tak dobra, że królem gotowa się podzielić nawet, byle nie z tak straszną jak ty moja Cosel, która nie cierpiąc podziału, chciałabyś go całego sobie zagarnąć.

To mówiąc Glasenappowa pochyliła się naprzód, obejrzała ostrożnie, palec położyła na ustach.

— Król się nam zmienia — szepnęła — znaliśmy go jako bardzo dobrego pana: staje się srogim i okrutnym.

Cosel spojrzała na nią.

— Tak względem mnie nie jest...

— O! to bardzo naturalne: wielka miłość nigdy się inaczej nie kończy — mówiła dalej Glasenapp — ale słyszałaś o Jabłonowskim?

— O nikim nie słyszę, bo nikogo nie widzę — odezwała się Cosel.

— Wiész przecie ile król winien był hetmanowi, ile wojewodzie ruskiemu, który hetmana skłonił na stronę króla; a wiesz gdzie dziś ruski wojewoda?

Cosel spojrzała zdumiona.

— Książę wojewoda siedzi w pokoju Beichlinga na Königsteinie. Wzięto go z Warszawy z tego samego mieszkania, w którym ojca namówił na stronę naszą i w rocznicę dnia gdy wyjeżdżali Kurfirsta witać na granicy.

— Byćże to może! — zawołała Cosel.

— Tak i ja bym spytała może niedawno, czyż to być może — mówiła dalej przybyła — a dziś powiadam że możliwe wszystko.

— Cóż zawinił wojewoda?

— Mówią, nie wiem, że tam na jakimś zjeździe tych pogolonych głów polskich, właśnie gdy król brał Denhoffową wystąpił jawnie przeciwko niemu za to że im żony zabiera, że mieszka publicznie z cudzemi, że kraj psuje: że to zbrodnia stanu!

Zbrodnia stanu! — śmiejąc się i plaszcząc w ręce wołała Glasenappowa — a! nieszacowany Jabłonowski. Mówią że tym sposobem na Leszczyńskiego nawracał, iż im przynajmniej żony całe zostawi. Królowi najgorzej to dopiekało, że mu Denhoffową, chciał wyrwać. Szpiegowano Jabłonowskiego tak, że tam jakieś listy przejmowano, jakiegoś pisarza wzięto na konfessaty, jakieś papiery poznajdowano w domu i król bez ceremonii, bez sądu Jabłonowskiego na Königstein wywieźć kazał.

Cosel słuchała obojętnie.

— Miarkujże moja droga — dokończyła Glasenapp — kiedy około książąt wojewodów tak mało ceremonii, cóż już o innych mówić? co my biedne znaczymy, gdy się nas pozbyć potrzeba.

Opowiadanie Glasenappowej, choć nie odezwała się Cosel ani słowem, uczyniło na nią wrażenie. Wojewoda ruski na Königsteinie, nie sądzony, nie przekonany... i za sprawę polską więziony w Saksonii, w istocie było to coś nowego i do myślenia dającego.

Od smutnego tego przedmiotu, Glasenappowa przeszła prędko do weselszych.

— Mamy świetne ciągle zabawy — rzekła — król się wysadza na nie, chociaż Denhoffowej nikt na nich nie widzi; domyślają się tylko ludzie, gdyż przed królową nigdy z odkrytą twarzą stanąć nie śmiała. Jak Teschen maskuje się i przebiera za niedoperza razem z siostrą: mamy też najwięcej maskarad i redut. Króla także nie widać nigdzie, bo musi siedzieć z nią zamknięty. Przy jednej wieczery Kyan, słyszę, zamiast do kielicha, zapraszał do nabożeństwa po katolicku na intencją N. Pana, ażeby go Bóg z niewoli polskiej wyzwolić raczył.

Cosel smutny uśmiech przebiegł po ustach.

— Nazajutrz — dodała opowiadająca — ktoś pochwycił koncept dowcipnisia i przybito na Georgenthor i na kościele zaproszenie wszystkich wiernych na to nabożeństwo. Król się słyszę śmiał, lecz tego co się to ważył uczynić szukać kazano, a wątpię by go znaleźli.

Plotła tak nieznużona długo pani baronowa, aż czas nadszedł obiadu, na który się wprosiła. Po nim zażądała widzieć ogród i aleje lipowe. Tu gdy się sam na sam znalazły, Glasenapp zbliżyła się do ucha hrabiniej:

— Macie mnie wszyscy za złośnicę, siejącą tylko niezgodę i radującą się z wypłatanego figla. O! nie przeczę że lubię dokuczyć tym, którzy mi też dojedli nie mało; alebym rada usłużyć, gdy mi kto raz w życiu dobrą wolę okazał, a téj doznałam niegdyś od was hrabino. Żal mi was...

Na dworze naradzają się i odgrają przeciwko wam, jeżelibyście tego papieru wydać nie chcieli.

— Papiéru? jakiego? — napozór obojętnie spytała Cosel.

— A! przecież wiecie o co chodzi, bo Watzdorf tu do was dla odebrania go był przysłany... Mówią, że jeśli nie oddacie go z dobrej woli, gotowi użyć siły.

— Bardzo dziękuję za przestrożę — odezwała się Cosel — ale ja na wszystko byłam i jestem przygotowana. Tego papieru, jak go nazywasz, odebrać mi nie mogą, bo go nié mam: jest w dobrych i pewnych rękach. Spodziewałam się i téj w końcu nikczemności... złożyłam go w miejscu bezpieczném.

Glasenapp długo patrzyła na nią, chciała widocznie z oczu wyczytać czy prawdę mówiła, ale Cosel była nieprzeniknioną gdy chciała... osłoniła się dumą i spokojem udanym, choć czuła w sobie wrzenie oburzenia i gniewu.

Łatwo jój było poznać i domyśleć się, że Glasenappowa dlatego tylko rozpoczęła od plotek złośliwych, aby obudzić zaufanie, że wysłano ją aby się czegoś dowiedzieć; że była

szpiegiem Watzdorfa lub Flemminga. Nie mogli wysłać ani gorszego, ani mniej obudzającego zaufania...

Zabiegi całe na nic się nie przydały, Cosel zimno wysłuchawszy zwierzeń i przestroóg, dała jej z niczym powrócić do Drezna.

Zaledwie powóz który ją tu przywiózł oddalił się nieco, gdy hrabina kazała zawołać Zaklikę.

Ten zawsze był w pogotowiu.

Obawiając się podsłuchaną być we własnym domu, Cosel wyprowadziła go na podwórzec i usiłowała tak prowadzić rozmowę, aby się ona wydała rozporządzeniem tyczącym domu i ogrodu...

Zaklika myśli jej zgadywał.

— Jesteśmy tu szpiegowani — odezwała się — prawda?

— Dokoła, nawet w domu za nikogo ręczyć nie mogę — odpowiedział wierny sługa.

— Można ich oszukać? — spytała.

— Gottlieb tu na czele — począł Zaklika — zdaje mi się że on do miasta jeżdżąc po zapasy domowe, raporta odwozi. Lecz nie mądry jest i spoić go łatwo, a zwiść jeszcze łatwiej...

— Gottlieb? — zawołała hrabina.

— Tak, właśnie ten, który się najwięcej z miłością swą dla pani uprzykrza... radby ażeby się go nie obawiano.

— W mieście wszyscy cię znają? — zapytała cicho Cosel.

— E! wielu zapomniało już o mnie — podchwycił Zaklika — a dla innych toć się i trochę zamaskować łatwo.

— A masz-że od kogo zasięgnąć języka?

— Gdy muszę, znajdę... — rzekł wezwany.

Po tych wstępnych pytaniach, Cosel jakby dreszczem przejęta, drgnęła.

— Niema tu już bezpieczeństwa dla mnie — rzekła — muszę uciekać, ale jak? tobie ufam jednemu; mów, jak?

Zamyślił się Zaklika i milczał.

— Trudno — mruknął — ale gdy musimy.

— To nie dosyć — kończyła Cosel — ja muszę zabrać z sobą co mam najdroższego, co stanowi dziś majątek cały. Musimy uwieźć klejnoty, pieniądze, bo to co tu zostanie, będzie ich łupem: zabiorą wszystko.

Ani słowa na to zwierzenie się nie odpowiedział Zaklika: potarł czoło, targnął wąsą, spuścił w dół oczy.

— Mów pani — rzekł widząc że Cosel czeka.

— Czy mi zaręczysz że dobiegnę przed pogonią za granicę..?

— Co w ludzkiej mocy, zrobimy. Zaklice pot kroplami na czoło wystąpił, widać było że niepokój go dręczył, że się lękał a nie chciał wydać z bojaźnią.

— Dawno to uczynić trzeba było wprzód — rzekł ucinając mowę, bo nie nawykł długo się wyrażać — ale co się nie zrobiło, o tém mówić już niema co: trzeba czynić co teraz mamy przed sobą.

Złamał palce gniotąc je biędny człek, aż kości trzeszczące w nich słyhać było; chmurne czoło namarszczył, stąpał z nogi na nogę. Cosel patrzała nań z trwogą i ciekawością, ten człowiek cały w sobie, energiczny, silny, mało mówny, po wypieszczonych ludziach do jakich była nawykła, na których spuścić się było niepodobna, dziwił ją, zdumiewał, lecz cieszył. Czula w nim człowieka.

Rajmund wyglądał dziko prawie, zamyślił się, nasępiwszy brwi...

— Nocą pojadę do miasta — rzekł — ja tu w domu mało się pokazuję i tak; nie kaź mnie pani wołać aż sam przyjdę, będą we dworze sądzili że się zamknął, co nieraz bywało. Mam łódkę skrytą w krzakach pod wyspą, spuszcę się Elbą... Napowrót więcej czasu potrzeba pod wodę, ale i na to się znajdzie sposób. Co tam zdołam się wywieźć u dworu... zobaczę... Trzeba obmyśleć i resztę; wyjazd, to nie mała rzecz...

Mówiąc tak urywanemi słowy wzdychał. Cosel zobaczyła w téj chwili krążącego z dala Gottlieba, który już się mógł czegoś domyślać z dłuższej rozmowy i zaraz skinęła na niego.

Niemiec skwapliwie się przysunął.

— Ja sędzę — nieprawdaż Gottlieb — że z Pillnitz wcale piękny kąt można zrobić... Chciałabym mieć ogród, chciałabym mieć kwiaty, bo pewnie się ztąd nie rychło ruszę. Jeśli będziecie w mieście, to wy mi ogrodnika nastręczcie, bo Polak któremu to chciałam polecić, wymawia się że nikogo nie zna.

Gottlieb spojrzął na panią i na Polaka, jakby pragnął odgadnąć czy to prawda była; skłonił się i zaczął mruczeć szybko, zaklinając że dla swój najdroższej pani zrobi wszystko.

Na tém się narada skończyła, Cosel poszła do domu... Gottlieb uczepił się jeszcze Zakliki, aby co z niego wyciągnąć. Nad wieczorem Polak, jak go tam na dworze zwano, zniknął. Obudziło to podejrzenie szpiegów, probowali drzwi: zastali je wewnątrz na rygiel zamknięte. Mieszkanie było na dole od ogrodu, podkradziono się więc pod okno. Naprzeciw niego stało łóżko, a na niem widać było ogromnego chłopca wyciągniętego, w ubraniu w jakim chodził i twarzą obróconego do ściany. Uspokoił się więc szpiegi, iż w domu był i dali mu spać do syta. Nie było też co robić. Czarna noc zapadała powoli, tylko czerwony odbrzask nieba zachodniego w wodach Elby się odbijał, gdy Zaklika łódkę pocichu odwiązawszy od kółka u którego była przymocowaną, wsunął się w nią, odepchnął od brzegu i pochyliwszy puścił ją z wodą. Prąd rzeki szybko ją ku Dreźnie unosił. O téj porze łodzi prawie nie spotykało się na Elbie, i znać ją było dobrze potrzeba, ażeby nie wpaść na mielizny i kamienie. W czasach gdy jeszcze błędził niczém nie zajęty po okolicach Zaklika, pływał wiele i żegluga się bawił, tak że po za Pillnitz ku Pirnie i dalej znał wszystkie rzeki załomy i mielizny. Noc go więc czarna wcale nie ustraszała, a w kilka godzin ujrzał już najprzód światełka przedmieść rozrzuconych u brzegów, potem jakby jasną lunę nad zamkiem świecącą, bo na zamku zabawa była i illuminacya.

W Dreźnie będąc na dworze Cosel, Zaklika miał zręczność wielu tam poznać ludzi; serce go ciągnęło raczej ku stojącym w cieniu i na boku, niż do tych co błyszczeli wśród przedpokojów i wmieszani bywali do intryg, lub im posługiwali. Znajomych i przyjaciół miał wielu. Nim dopłynął myślał teraz ciągle do kogoby się udał.

Na dworze który nieustannie pieniędzy potrzebował, gdzie klejnoty garściami pięknym paniom sypano; handel pieniędzmi i klejnotami był jedną z potrzeb powszednich.

Miał król kredyt na znaczniejsze summy w Wiedniu u Oppenheimerów, w Berlinie u Liebmana, w Dreźnie dostarczycielami i pośrednikami było dwóch izraelitów wielce znanych miastu, z których jeden nawet grał pewną rolę i trzymał dom otwarty a żył z przepychem. Byli to sławni Lehmann Berendt i Jonas Meyer...

Ostatni przybył tu z Hamburga w r. 1700 w początkach panowania Augusta i przekonawszy się, iż znajdzie wiele do zrobienia, przy takim wiekuistym na pieniądze głodzie, osiedlił się w Dreźnie. Pierwsza to była wexlarnia i bank w tém mieście, na który król pono dał mu dom, zwany Starą Poczta, a naówczas Judenhauzem. Meyer pałac z niego zrobił, założył ogród, na pierwszym piętrze sal kilka zbytkownie wystroił i dawał czasem swym klientom bale i maskarady. Meyer zakrawał już wówczas na dzisiejszych bankierów tego rodzaju, nosił się po francuzku, stroił bogato, i mawiano, że wcale niepowabny... miewał chwile szczęścia osobliwego, gdy sobie go pozyskać chciano.

Towarzysz jego Lehmann Berendt, człowiek był wcale innego rodzaju... pochodził on z Polski i zachował cechy izraelitom tutejszym właściwe.

Skrzętny był, skromny, cichy, niepozorny, w interesach wyrachowany, niezapierający się wcale ani pochodzenia, ani wiary, ani pragnął się mieszać do świata, w którym wiedział jak drogo okupywać trzeba prawo obywatelstwa.

Kilka razy w różnych sprawach, hrabina Cosel posyłała Zaklikę do niego. Lehmann na zawołanie do niej przychodził, mieli z sobą interesa znaczne.

Izraelita, który najlepszą miał zręczność poznać ludzi, w sprawach pieniężnych, odgadł szlachetny charakter w Cosel; wierzył jój i był dla niej z wielkiem uwielbieniem. A że rodzina jego pono siedziała niegdyś w Krakowskiem i on tam młode lata przepędził, a Zaklika też ten kąt kochał... rozgadywali się z sobą nieraz, Lehmann żartując język dawny przypominał. Czasem podać kazał wina lampkę i z Rajmusem przegawędził jaką godzinę, tak się poznali bliżej i poprzyjaźnili.

Zaklika wiedział że Lehmann już po upadku Cosel, dał jój dowody poszanowania i wierności.

Cale różny od Jonasa, który był wielbicielem króla, służką z kolei wszystkich wpływowych ministrów, który padał na twarz przed wszystkimi i chwalił co tylko zrobili,

nie brzydząc się zepsuciem dworu. Berendt wprawdzie pieniądze robił z tych ludzi, ale w duszy miał dla nich pogardę i wstręt do nich. Ta płochosć i rozwiązłość, która tu stała się prawem i obyczajem, oburzała go.

Wprawdzie popisywać się z tém ani mógł, ani chciał; lecz z twarzy jego niemal czytać się dawało, co o tych ludziach trzymał. Z przyjemnością odzierał ich ze skóry. Natomiast dla uczciwszych, nieraz był, nawet bezinteresownie pomocnym. Z tego co z sobą nieraz poszeptali pocichu, Zaklika wnosił iż na Lehmana śmiało się spuścić może, a przynajmniej rady szukać u niego.

Gdy czółno poniżej mostu w znanym sobie kącie u gospodarza Wenda, bo ich tam na przedmieściach wielu jeszcze naówczas mieszkalo, bezpiecznie umieścił Zaklika, odziewszy się po oczy płaszczem i kapelusz nacisnąwszy posunął się do miasta.

Przeszedłszy bramy, choć godzina była późna, poznał po ruchu ulic, iż w zamku zabawa być musiała. Zdala już gorejącą nad ogrodem Hesperyd w Zwingrze widać było illuminacyą. Król dawał zabawę maskową przy pochodniach dla Denhoffowej. W ulicach ludzie się strumieniami w różne strony leli, a między nimi i nie jedną maskę widać było, wyglądającą z lektyki lub karety. Szał panował wszędzie... znać było znowu dobre czasy.

Nie zbliżając się do zamku nawet, znanymi uliczkami Zaklika szukając mroku, po pod domami, z których nie wiele oświeconych było, dostał się niepostrzeżony do Judenhauzu na Pirnaiską ulicę. Lehmann miał tu skromne na tyłach mieszkanie oddzielne. O téj godzinie prawie pewien był Zaklika, że go zastanie samego, że może sług nawet nie będzie, a szło mu o to, ażeby nikt go nie widział i nie poznał.

W istocie co żyło poszło patrzeć na bal do Zwingru, pod gołém niebem, pośród olbrzymich drzew pomarańczowych... kręcący się i szumiący z południowych krajów szaleł i wrzawał. Stara kucharka otworzyła mu i wpuściła do Lehmana, który wyszedłszy do sieni ledwie go poznał, a otrzymawszy znak, wprowadził niepostrzeżonego od służby do swojego gabinetu w tyle domu.

Ścisnęli się za ręce w milczeniu.

Lehmann był przystojnym mężczyzną już niemłodego wieku, siwiał, ale piękna twarz wschodniego typu, bez zmarszczek, spokojna, malowała charakter z życiem przejeđnany, znający jego warunki i ostygły już wielce.

Czarne oczy patrzyły chłodno i rozumnie, a mimo ich ostygnięcia czuć było, że je coś ogrzaćby potrafiło.

Zaklika przywitawszy go, obejrzał się niespokojnie; gospodarz domyślił się o co mu chodziło i szepnął, uderzając po rękę:

— U mnie jesteś bezpieczny; nikt was tu i nie zna i nie pozna i, gdy trzeba, nie zobaczy.

— Tegobym sobie życzył — rzekł Zaklika.

Lehmann wyszedł na chwilę, dając mu znak i powrócił prędko. Przysunął krzesło do stołu, posadził go i usiadł sam.

— Co się z wami dzieje? — zapytał.

— Dzieje się tak źle — odparł Zaklika — iż gorzej, gorzej już być nie może. Wygnano nas z pałacu, z domu, z Drezna a teraz idzie o to, żeby nas pono i z Pillnitz wypędzić... jeżeli nie gorzej. Nieszczęśliwą tę ściga zemsta nikczemnych ludzi... trzeba ją ratować.

— Tak jest, tak jest — odparł Lehmann, poprawiając czarnej czapczki, którą starym obyczajem nosił na głowie — ale siebie nie gubić.

— Myślę, że się to da pogodzić! — odezwał się Zaklika.

— Tak, tak, tylko rozumnie i ostrożnie.

— Cosel uciekać musi — dodał Zaklika.

— Dokąd? — spytał żyd z uśmiechem — chyba za morze... tu sobie panowie wzajemne czyniąc przysługi, oddają zbiegów.

— Sądzę, że o nas się upominać nie będą.

Lehmann głową pokiwał.

— Hrabina — mówił dalej wierny sługa — musi z sobą zabrać co ma, bo co zostanie, wezmą chciwi następcy, jak zabrali pałac, i co w nim było.

Bankier głową znowu dał znak potakujący.

— A czy bezpiecznie uciekając zabierać z sobą reszty? A gdybyśmy w ręce nieprzyjaciela wpadli?

Chwycił się oburącz Izraelita za głowę.

— Jużto, wierzcie mi — rzekł — radbym hrabinie z duszy dopomódz; znam jęj historiją, znam charakter: była to jedna perła w tém błocie. Winiem ja jęj wiele i pomogę chętnie. Żyd jestem, ale serce mam i uczciwych ludzi szacować umiém; ale posłuchajcie mnie, panie Zakliko: siebie, dzieci i rodziny dla nięj gubić nie mam prawa.

— Ja przecie, gdyby mnie na katownie najsroźsze wzięto nie wydam was, ani hrabina, a więcęj nikt, chyba Bóg jeden wiedziéć będzie o waszym dobrym uczynku.

Lehmann rękę mu podał: — Zgoda — rzekł — trzeba żeby was tu u mnie nikt nie widział, ani wchodzącego, ani wychodzącego, bo i za mną jak za wszystkiemi szpiegi chodzą.

— Nie bójcie się o to — dodał Zaklika.

— Co mi dacie, to wam prześlę gdzie będzie trzeba — dodał Izraelita — rzecz jest skończona.

Jeszcze raz sobie dłonie podali.

Lehmann z szafy dobył flaszkę wina i dwa kieliszki: nalał je i siadł.

— Dziękuję wam — odezwał się Zaklika — nie zabawię długo, muszę się jeszcze o wielu rzeczach dowiadywać, wiele przygotować, a czasu mam mało.

— A o czémże dowiedziéć się chcecie? — spytał chmurno Lehmann zniżając głos — u nas tu zawsze gospodarstwo jedno, kto na oczach u króla, kto z nim razem pije i bawi się, w łaskach. Od rana do wieczora zabawiamy się, a co nam do zabawy przeszkadza, to zmiatamy z drogi do Königstein, lub gdziekolwiekbądź, byle nam nie zawadzało.

Litości tu ani serca nie pytać, bo niéma nieczulszych ludzi nad rozpustnych. Jeden pod drugim kopią, jedni drugich wysadzają; król posługuje się wszystkimi, obsypuje łaskami gdy potrzebni, i gardzi niemi...

Wszystko jedno: jest to co było wczoraj i co pewnie jutro będzie, aż póki jaka burza wszystkiego tego razem nie zmiecie.

— Król więc zakochany? — spytał Zaklika.

— On? zakochany? — odparł Lehmann — a czyż taki człowiek kochać co może oprócz siebie? Ktoś na niego mówił, gdy swoją religię na waszą zmieniał, iż nie wierzy aby cokolwiek mieniał, bo nic nie miał: tak samo z tą miłością, której nigdy nie było.

— A Denhoffowa!

— A! a! — zawołał Lehmann — co ma być? pieniądze zbiera i klejnoty: król już pono myśli zawczasu za kogo ją wyda gdy mu się uprzykrzy.

Siostrę jęj hetmanowę Friesenowi swatają, a ją? no! weźmie Haxthausen, albo Francuz Besenval, bo już ich mają w zapasie.

Ruszył ramionami Lehmann.

— Cóż ty się tu chcesz nowego dowiedziéć? tu się ludzie zmieniają nie rzeczy.

Chwilę potém jeszcze po cichu mówili z sobą, Lehmann wziął klucz, wyprowadził go do furtki ogrodowój, wypuścił nią i klucz mu zostawił. Pożegnali się mrucząc. Zaklika obwinęty płaszczem poszedł dalej... Nie sądził aby niebezpieczném było podsunąć się z tłumem ku Zwingrowi, chciał zobaczyć jak to tam teraz wyglądało: zdawało mu się że się niewidzianym przesunie.

Już był w zamkowej ulicy pełnej przesuwających się masek i *nobles venisiens* i dominów, gdy go ktoś po ramieniu uderzył...

Zwrócił się zdziwiony: za nim stał uśmiechnięty Fröhlich, stara jego znajomość. Tego dnia nie zmienił on stroju, który dlań był urzędowym, ani uśmiechu z ust, bo ten także do urzędu należał.

— Jakżeście mnie poznali? — zapytał Zaklika.

— Tu takich szerokich ramion oprócz króla i was niéma nikt — szepnęła Fröhlich — ale cóż wy tu robicie? Słyszałem żeście byli u dworu tęg... tęg, która upadła...? a teraz?

Zaklika dla utajenia się, odparł żywo:

— Nie było tam co robić! opuściłem go!

— To rozumnie — rzekł Fröhlich — wszystko dobre, ale swój kark zawsze trzeba najwięcej szanować... cha! cha! niech każdy ratuje się jak może! Powróciliście więc do służby króla? czy może już Denhoffowój służycie?

— Jeszcze nie — odparł Zaklika — a jakże się ona wam wydaje?
— Mnie? — zapytał Fröhlich — ona mi się wydaje, jak te małe stworzonka czarne, co to skaczą i kają, które się zdaje łatwo zgnieść a trudno złapać.

Począł się sam śmiać, i zatknął sobie usta.

— Piérwszy niedoperz którego zobaczycie na balu, to będzie ona. Ładne cacko, ale drogo kosztuje.

Jeszcze mówili z sobą, gdy przechodzący Hiszpan w masce, stanął o parę kroków od nich i widocznie przypatrywać się im i przysłuchiwać zaczął. Zaklika chciał się oddalić, gdy maska się wcisnęła, zajrzała mu pod kapelusz i pochwyciła za rękę.

Fröhlich natychmiast się wysunął.

Z pod czarnej maseczki poznać nie było można człowieka, który zmienionym głosem począł natarczywie pytać, „co tu robisz? co robisz?”

Nie miał już Zaklika lepszej odpowiedzi do dania, nad tę którą zbył Fröhlicha.

— Szukam służby — rzekł.

— Ho! to ci się twoja pani sprzykrzyła...

— Nie jest ona panią dziś i sług nie potrzebuje.

Stali właśnie w jednej z bram zamku wychodzących w ulicę, Hiszpan pociągnął Zaklikę z sobą pod jej sklepienie, którą kilka mdłych oświecało latarni.

— Szukasz służby, a jakiejżebyś żądał?

— Jestem szlachcic, szlacheckiej służby wymagać mam prawo, takiej, która się przy szabli lub szablą odbywa.

Hiszpan coś zamruczał.

— A Cosel? gdzie Cosel?

— Zapewne w Pillnitz? nie wiem?

— Chodź ze mną.

— Dokąd?

— Nie pytaj, przecież się nie lękasz?..

Zaklika poszedł.

Po drodze postrzegł iż nieznajomy prowadzi go do Flemminga.

Pomimo maskarady na Zwingrze, Flemming był w domu, zapijano u niego. Maski przychodziły i wysuwały się, kilku co woleli siedzieć u kielichów, nie ruszali się; Flemming spodziewał się nawet króla na chwilę.

Wrzawa buchała z pokoju w którym goście się zabawiali. Hiszpan wszedł przez drzwi otwarte, szepnął coś Flemmingowi na ucho i generał żwawo poszedł do progu. Cichym głosem zawołał na Zaklikę aby szedł za nim i uprowadził go z sobą do odosobnionego gabinetu... Tu cicho było i spokojnie, na stole papierów pełno. Młody człowiek pochylony nad nimi, pisał coś szybko... Flemming wciągnął Zaklikę w ciemny kąt gabinetu, Hiszpan poszedł za niemi.

— Kiedy rzuciłeś służbę u Cosel? — zapytał.

— Kilka dni temu.

— Cóż myślała?

— Urządzała się w Pillnitz...

— I siedzieć myśli? — zapytał Flemming.

— Ja sędzę...

Patrzyli na siebie z Hiszpanem i potrzęśli głowami.

— Jakżeś się z nią rozstał...?

Zaklika zmiarkował że obudzając zaufanie, o czémś potrzebném będzie się mógł dowiedzieć.

— Zostałem wypędzony — rzekł — bo tam teraz mało sług potrzeba.

— A znasz dobrze Pillnitz, ludzi i drogi?

— Doskonale.

— I przyjąłbyś służbę inną?

— Czemuż nie?

— Choćby, choćby — dodał Flemming — wymagała, żebyś przeciw dawnej swój pani wystąpił.

— Ja nie mam pani ani pana, oprócz króla JMości — odparł Zaklika — bom przecie szlachcic polski.

Flemming poklepał go po ramieniu śmiejąc się do rozpuku.
— Za dwa dni przyjdź do mnie! rozumiesz? — rzekł cicho...
— Rozumiem — szepnął Zaklika...
Flemming chciał mu coś dać, ale Rajmund się cofnął z ukłonem.
I tak się rozstali.

Zaklika zyskał na tém pewność, iż dwa dni bezpiecznych miał przed sobą; przez dwa dni można było uczynić wiele, można się było uratować.

Z tądy wyszedłszy lepiej się otulił płaszczem, zajrzał do miejsc kilku, pomówił z kilkoma poufałymi, na przedmieściu zapukał do jakiejś chaty i tak zmarudziwszy do późnej nocy, siadł na czołno, opatrzywszy się dwoma wiosłami, i pod wodę z całych sił robiąc niemi, puścił się nazad do Pillnitz.

IV

Między innymi wiadomościami, które Zaklika mógł zaciągnąć była i ta, że nazajutrz znowu maskarada wenecka na starym rynku miała się odbywać. Nie było dnia bez koncertu, bez opery, baletu, tańców i wieczerzy i jakiegoś widowiska... Ponieważ pani Denhoffowa i hetmanowa Pocijowa i matka ich marszałkowa Bielińska, wszystkie bardzo lubiły muzykę i śpiewały arye włoskie... opera najczęściej je do pół wieczora zajmowała. Sprowadzani z Włoch muzycy, śpiewacy, kompozytorowie dobrani byli tak, że kosztowny ten teatr był może jednym z najdoskonalszych w Europie. Muzykę pisał Lotti, koncerta grywał Tartini, Santa Stella występowała jako prima donna, Durastanti zwała się hrabiną sopranistek, Senesino, Berselli ściągnięci byli pańską zapłatą do Drezna. Aldrovandini malował dekoracje, Bach dyrygował muzyką.

Z równem staraniem urządzony był balet, a potem komedia francuzka.

Nie zbywało więc na rozrywkach. Sam król wśród tych maskarad i redut, często zamaskowany i przebrany występował, lubiąc niespodziane przygody i znosząc nawet chętnie ich nieprzyjemności dla zabawy, jaką mu nastroczały. Na dzień następny naznaczoną była wenecka maskarada z jarmarkiem... Denhoffowa miała być jedną z gospodyń, marszałkowa i pani Pocijowa także... Król rozesał rozkazy, aby mu się kto żyw stawił, i żeby na placu było tłumno. W nocy już zaczęto przygotowania, gdyż nic wówczas nie kosztowało spędzić tysiące ludzi ze wsi pobliskich i przerwać im najpilniejsze prace dla kaprysu pańskiego, któremu wszystko służyć musiało.

Przybywszy o mroku do Pillnitz i uwiązawszy czołno na swém miejscu, Zaklika znalazł jeszcze cały dwór uspionym i niepostrzeżony wkradł się do swjej izby, oczekując w niej, iżby się pani obudziła...

Nie było chwili do stracenia: zaledwie się okna otwały, przeszedł się przed niemi razy kilka, ażeby hrabinę z domu wywołać, rozmowa bowiem w pokojach była niebezpieczną. Hrabina zobaczywszy go, wysła zaraz i znalazła się u brzegu Elby.

Zaklika zdał jēj szczegółową sprawę ze wszystkiego, a najpierw z swjej rozmowy z Lehmannem. Zdawało mu się i niemożnością i niebezpieczeństwem zabierać z sobą klejnoty i pieniądze, chciał więc je o białym dniu, coby najmniej obudzało podejrzeń, jako rzeczy przeznaczone dla dzieci hrabinęj zawieźć do Drezna tak, aby mógł wcześniej nazad powrócić. Ciężkie kufarki i szkatuły, w innym razie byłyby wymagały kilku ludzi do dźwigania, siła nadzwyczajna Zakliki pozwalała mu podołać im samemu, nie obudzając podejrzeń.

Hrabina godziła się na wszystko... Konie przez Zaklikę zgodzone, miały na nią czekać w lesie u brzegu Elby o mroku. W domu urządzać chciał Zaklika tak, ażeby się jak najdłużej odjazdu hrabinęj nie domyślano. Przepzęgi na pocztach miały być pozamawiane i była nadzieja, że nim do Drezna dojdzie o ucieczce wiadomość, nim pogoń się puści, Cosel będzie już na ziemi pruskiej, gdzie jēj, jak się spodziewała, ścigać nie zechcą.

Z wielką przytomnością umysłu, zabezpieczone wszelkie drogi do ucieczki, zdawały się zapewniać, iż hrabina dogonioną nie będzie. Zaklika się już cieszył, gdy Cosel oświadczyła mu, że przejeżdżając przez Drezno, na maskaradowy plac wstąpić musi...

Słyszając to oniemiał Zaklika i pobladł.

— To być nie może — zawołał — to dobrowolne rzucenie się w paszczę! Pani będziesz poznana... a wówczas...

Cosel potrząsała głową.

— Chcę — rzekła — i tak być musi. Znasz mnie waćpan, że mam wolę żelazną, że jestem upartą, że nie odstępuję od tego, co raz postanowiłam. Muszę go widzieć, muszę ją widzieć; to nie fantazyja, to potrzeba: to lekarstwo. Chcę spojrzeć na nich, aby stracić tęsknotę, a nabrać obrzydzenia do tego człowieka, którego kochałam i Kocham.

— Lecz pani narażasz się.

— Doskonale wiem na co się narażam — przerwała Cosel... Mogą mnie pochwycić i zawieźć do Königsteinu, czy do jakiego tam zamczyska; mogą mnie zabić... ale ja muszę tam być. Na obronę życia mieć będę oręż przy sobie... resztę zostawcie mnie...

Zaklika zbladł, załamał ręce; lecz znając Cosel, nie odezwał się więcej.

Hrabina szybko weszła do domu, ażeby go zaraz do Drezna odprawić z tém, co najdroższego miała... On poszedł natychmiast przez Gottlieba nakazać zaprzędz do bryki, dla odwiezienia podarków i rzeczy przeznaczonych dla dzieci. Nie obudziło to szczęściem żadnego podejrzenia. Parobczak, który miał powozić, dobrany był taki, co nie znał miasta i nie wiele miał w gębie języka. Zaklika zamierzał go jeszcze w drodze podpoić dla bezpieczeństwa. Sam przynosił szkatuły, okrywając je bielizną i sukniemi, tak aby ich widać nie było... siadł na wóz i nie żałując koni ruszać kazał. Wyprawa ta dobrze się powiodła, chłopak upił się nim dojechali do miasta, tak że ani ulicy, ani domu, do których się skierowali, wskazaćby był nie mógł. U furtki ogrodowej Lehmana, którą sam otworzył, poskładawszy szkatułki i zamknąwszy ją od uliczki, bezpiecznie poprzemknął je niepostrzeżony do izby bankiera. Żywa dusza nie widziała go tu... Ścisnąwszy dłoń uczciwego izraelity, wymknął się nazad, a że chłopca znalazł śpiącego na sianie, sam ujął konie i popędził, nie popasując do Pillnitz.

Tymczasem Cosel żegnała to spokojne ustronie, gromadziła papiery, paliła listy i musiała to wszystko dopełnić tak, aby żadna ze służek nie zobaczyła nic nadzwyczajnego, i przedwcześnie wydać jej nie mogła. O zwykłej godzinie podano obiad, gdy niespodzianie zjawili się nań z Drezna, hr. Friesen i Lagnasco, zapewne z poleceniem zajrzenia co się tam działo.

Hrabina miała tyle mocy nad sobą, iż ich prawie wesołą twarzą przyjęła, i usiłowała nie wydać się z tém co nosiła na duszy. Owszem udawała zrezygnowaną, zajętą ogrodem i domem, przywiązującą najwyższą cenę do tego spokojnego ustronia, a zobojętniałą na to co się w stolicy dziać mogło.

Rolę tę przeplatając żalem do króla i wyrazami czułości dlań, czyniła ją tak prawdopodobną, że przybyli wcale się nie domyślali udania.

Hr. Friesen miał interes, prosił o pożyczkę dość znacznej summy. Cosel go lubiła, gdyż dał jej nieraz dowody przyjaźni: uśmiechając się odmówiła mu.

— Mój hrabio — rzekła — jestem uboższą niż ci się zdaje. Król zwykle odbiera co raz dał; każdej chwili mogę resztę utracić; nie mogę ci służyć: daruj.

Friesen przyjął to bez gniewu.

Goście opowiadając o nowych zabawach, o królu, o pani Denhoff, o dworskich przygodach i wróżbach przyszłości, zagadali się do wieczora. Szczęściem musieli wracać na maskaradę obowiązkową, bo król nie przebaczyłby jej opuszczenia i pożegnali wkońcu gospodynię.

Zaczynało zmierzchać, hrabina Cosel skarżyła się przed swoim dworem na ból głowy ze zmęczenia rozmową pochodzący i oświadczyła że tego dnia wcześniej się spać położy. Nakazano ciche sprawowanie się we dworze, Zaklika sam obszedł wszystkie kąty zalecając zachowanie się spokojne. Cosel wcześniej niż zazwyczaj zamknęła się w swoim pokoju.

Gdy gęstszy mrok padł, Zaklika który w płaszczu i przy pistoletach koło domu stróżował, obrawszy chwilę zapukał do małych drzwiczek wychodzących ku ogrodowi. Wsunęła się czarna, zakwefiona postać i niepostrzeżona chwyciwszy rękę Zakliki zbiegła ku brzegowi Elby. Tu czołno czekało i cicho odbiło od brzegu nie potrzebując wiosła, bo płynęło z wodą. Gęste trzciny i łozy zakrywałyby je przed oczyma ludzi nawet we dnie, teraz zaś nie było nikogo coby je mógł dostrzedz. O kwadrans może drogi ztąd niedaleko od brzegu, na który w pustym zupełnie miejscu wysiedli, znaleźli wedle obietnicy powóz nie pozorny, ze czterema końmi i woźnicą. W owych czasach dworskich przygód i awantur miłosnych nikogo dziwić nie mogło, że w nocy wymykała się kobieta.

Zaklika do powozu wsadziwszy Cosel, która najmniejszej nie okazywała obawy, sam siadł z woźnicą i ruszyli tak do Drezna. Tu miała już umówiony dom i gospodę u brzegu Elby, gdzie wysiąść mogli i później znaleźć mieli powóz inny i konie do pospieszniejszej nocą dalszej podróży.

Parę mil do Drezna przebieżono bardzo prędko. Tu Zaklika spróbował jeszcze hrabinę skłonić ażeby się wyrzekła niebezpiecznej wycieczki na rynek: odpowiedziała mu ruchem ręki i jednym słowem. Zaklika w domino ubrany, w masce, miał jęj towarzyszyć nie oddalając się na krok...

Powóz porzuciwszy u mostu, szli dalej piechotą.

Dnia tego osób było więcej jeszcze, wrzawa i wesołość wzmogły się, lud drezdeński który z tych zbytków korzystał, chętnie się bawił niemi. Domy w zamkowej ulicy postrojone były i oświecone lampami, ulica nabita powozami, ludźmi, końmi i lektykami tak, że przecisnąć się było trudno.

Hałas ten, śmiechy, pisk, od których Cosel była odwykła, a których nigdy bardzo nie lubiła, z początku przykre na nięj uczyniły wrażenie; kilka razy jakby zwątpiwszy o swych siłach przycisnęła się do muru nie mogąc iść dalej, to znowu jakby pchnięta myślą jakąś czy uczuciem podbiegła żywo. Zaklika osłaniał ją i czuwał nad nią.

Godzina była właśnie gdy największy tłum na rynku się zgromadził. Na galerji ratuszowej muzyka w dziwnych strojach odegrywała fanfary, dołem roilo się maskami najosobliwzemi.

Dokoła rynku stały w kwiaty poubierane stragany, budy, ławki, sklepiki, przy których postrojone panie, we wschodnich ubiorach sprzedawały drobne fraszki, napoje i łakocie. Koło kilku z tych bud okazańszych największym ściskiem otoczonych rozlegały się śmiechy. Illuminacya rześista otaczających domów rzucała blaski jasne różnych barw, na jaskrawy tłum masek i dominów.

Wśród nich arlekiny i poliszynle na wystawionym umyślnie teatrzyku odegrywali improwizowane farsy. Tu także widzowie stali gęstą ciżbą bijąc w dłonie i śmiechem jednym, wielkim napelniając chwilami rynek, głuszac muzykę.

Śpiewy, kapela, dzwonki, krzyki, śmiechy, wołania, wszystko razem tworzyło gwar straszny, w którym ucho nic rozeznac prawie nie mogło. Zwało się to wesołością, a było kipieniem chaosu. Dla oka widok tego rynku równie był przykrym, ze swą ruchawą powierzchnią falujących głów, podnoszonych rąk, skaczących postaci, okrytych lachmanami i świecidłami w najkrzykliwszą zlanemi pstrociznę.

Czasami na tle jaskrawem wybitniej wypłynęła na chwilę figurka wdzięczna lub widmo poczarwane i wnet zasłaniały je pokrzyżowane, połamane okruchy ludzi zbitych w jedną nieraz plątaną masę.

Z okien kamienic wyglądały to strojne popiersia kobiet, to szare i ciemne jakieś postacie ludzi smutnych, zmuszonych z wierzchołka nędzy patrzeć i przysłuchiwać się szaleństwu. Niekiedy trzaskały zamknięte jak piorunem drzwi kamienicy, czasem z okna wyleciał improwizowany fajerwerk, z innych sypano na wyciągnięte dłonie cukierki, owdzie piasek i kamyki.

Cosel w końcu ulicy zamkowej stanęła, jakby jęj serca zabrakło znowu iść dalej. Zawahała się.

Zaklika skorzystał z tęj chwili i szepnął raz jeszcze prośbę: pani, wróćmy się. Zamiast odpowiedzi, jakby popchnięta jego słowem Cosel posunęła się żywięj ku rynkowi oglądając wzrokiem ciekawym...

Na kilkanaście kroków przed nią stał jeden z tych *nobles venitiens*, w kapeluszu z piórem czarném, w aksamitnej sukni, ze złotym na piersiach łańcuchem, w czarnej maseczce. Stał wzięwszy się w bok, w postawie tak malowniczej, tak zręczny i piękny, iżby malarzowi za wzór mógł służyć. Około niego roily się maseczki, u boku jego dwóch podobnie ubranych stało nieco się cofnawszy.

Cosel na piérwszy rzut oka poznała Augusta. Herkules Apollo nie miał równego sobie w kraju, w którym o pięknych mężczyzn nie było naówczas trudno. Zawahała się nieco... lecz wprędcie nabrawszy męztwa podstaąpiła ku niemu.

Chociaż ciemny strój dosyć ją okrywał, Cosel też mogło wprawne poznać oko. Do zgonu zachowała ona majestat piękności, szlachetne ruchy, wdzięk kształtów niezrównany. Król spojrzawszy na nią zdrzał widocznie, lecz zdawał się oczom nie wierzyć.

Nie zaczepiając go, Cosel przeszła przed nim parę razy obojętna. August posunął się ku niej. Zdawało się, że ją zaczepi: wstrzymał się z jakąś obawą. Maseczka spojrzała nań, jakby go wyzywała: August podszedł.

Dwór cały mówił po francuzku i w tym języku rozpoczęła się rozmowa. Hrabina zmieniła swój głos, który drzał mimowolnie. August nie zadawał sobie tej pracy.

Co się działo w biédném sercu kobiety, któż wyrazić potrafi.

Z blizka przypatrywać się jój król zaczął.

— Na honor — zawołał — piękna maseczko... pochlebiam sobie, że znam tu was wszystkie... a jednak.

— Mnie nie...

— A wy znacie kto jestem?

— Ja was znam.

— Któż taki?

Zdrzał głos, potem nagle wyrwało się słowo i pobiegło wprost do ucha:

— Kat —

Król się wyprostował dumnie.

— Zły żart...

— Najsmutniejsza prawda.

August popatrzał na nią.

— Jeśli mnie znacie, — rzekł — a śmiecie rzucić mi tém słowem w oczy... powiedziałbym i ja, że was znam, a jednak — nie, to nie może być.

— Nie znacie mnie — śmiejąc się powtórzyła Cosel.

— W istocie i ja tak sądzę. Nie możecie być tą, której się domyślam, bo ta nie miałaby odwagi i przyjść tutaj, ani pozwolenia.

— Kobieta? — zapytała maska — kobieta nie miałaby odwagi? kobieta pytałaby o pozwolenie?

I rozśmiała się.

Król drgnął, jakby w tym śmiechu coś go uderzyło; chwycił jój rękę: wyrwała mu ją z pośpiechem.

— Intrygujesz mnie piękna maseczko — odezwał się — a mówisz że nie znasz.

— Nie znam... — odpowiedziała Cosel — nie. Niegdyś znałam kogoś, co był podobnym do ciebie, ale tamten miał serce królewskie, szlachetność pańską, duszę bohatera... a ty...

Król jak zwykł był, gdy nim owałdął gniew, zaczerwienił się mocno i natychmiast pobrał.

— Maseczko — zawołał — to przechodzi coś granicę swobody karnawałowej...

— Swoboda jest nieograniczoną...

— Więc dokończ — rzekł król — a ja?

— A wy?

Znowu Cosel głosu zabrakło. — Jeśli nie jesteś katem, toś igraszką w rękę oprawców.

— Cosel! — zawołał nagle August — chwytając ją za rękę.

— Nie, nie! — wyrывая ją krzyknęła ze śmiechem szyderskim maska.

Jakżeby ona tu być mogła i tak spokojnie znieść widok stypy na swoim pogrzebie; widziałam ją niegdyś: znam kobietę, której wyrzekłeś imię. Między mną a nią nie ma nic wspólnego. Tamtę źli ludzie zabili i pogrzebali: ja żyję.

Król słuchał milczący i pomieszany. Nagle Cosel zbliżyła mu się do ucha, rzuciła w nie kilka słów, których tylko śmiech suchy zaszeleścił w powietrzu, i nim August się opamiętał znikła.

Król rzucił się za nią, lecz zręczna Cosel wmięszala się w tłum i poza osłaniającym ją Zakliką, wbiegła za stojące stragany. Tu płaszcz swój cały czarny miała czas zerwać z ramion z pomocą Rajmunda i czerwoną jego podszewką osłonić ramiona, tak że gdy drugą stroną wybiegła na rynek, nikt w niej już pierwszego nie mógł poznać zjawiska.

Zaklika napróżno ją wstrzymywać usiłował, znała dobrze z lat dawnych tego rodzaju maskaradowe jarmarki i ich obyczaje, biegła więc wprost tam, gdzie Denhoffową znaleźć

się spodziewała. W trzech straganach naprzeciwko ratusza ustawionych, z których średni przystrojony był na wzór neapolitańskich *Aqua fresca*, w wieńce z cytryn i pomarańczę, siedziały pani Pocijowa, przy której służbę odprawiał z gitarą na wstążce, stojący przy niej hr. Friesen, p. marszałkowa Bielińska, ubrana za Wenecyankę, przy której stał na straży Montargon i pani Denhoff w neapolitańskich kobiet stroju, cała okryta klejnotami.

Była to mała kobiecinka, młodziuchna z twarzą wielce zmęczoną, na której miejsce rumieńca, zastępowały róż i bielidło, z melancholicznym wyrazem, źle ukrywającym figlarną pustotę. Budkę jej otaczała młodzież, a najbliżej kręcił się Besenval francuzki poseł, który ją dowcipami do śmiechu tłumionego pobudzał.

Cosel udało się stanąć tak z boku, że się jej dobrze mogła przypatrzeć, a z pod maski pogardliwe widać było i gniewne razem oczy. Jakby czując ten wzrok na siebie zwrócony, Denhoffowa wstrząsała się i pochyliła nieśmiało w tę stronę.

Cosel wyciągnęła rękę cudnych arystokratycznych kształtów po szklankę limoniady, którą Denhoffowa częstowała.

— Piękna gospoś — rzekła głosem, w którym drgało wzruszenie — zlituj się nad spragnioną... nie proszę o jałmużnę, wiem że sobie za wszystko płacić każesz.

Pokazała w palcach sztukę złota.

Denhoffowa jakby przeczuwając jakąś groźbę, drżącą ręką, rozlewającą się podawała szklankę.

— Słówko jeszcze — rzekła Cosel, przysuwając się jej do ucha. Spójrz na mnie.

To mówiąc odjęła tak maskę, że tylko Denhoffowej mogły być na chwilę widoczne rysy jej twarzy.

— Spójrz na mnie, wraz sobie te rysy w pamięci: jest to twarz nieprzyjaciółki, której przekleństwo ścigać cię będzie płochą zalotnicę aż na łożu śmierci. Przypatrz się mi: jest to ta, której się lękałaś, którą chciałaś osadzić w więzieniu, którą pozbawiłaś serca króla, która cię dzień i noc przeklina. Pamiętaj! że ciebie gorszy los czeka: ja odchodzę czysta, zdradzona, niewinna; ty wyjdiesz ztąd zbrukana i sponiewierana bez czci, jak ostatnia z ostatnich. Chciałam cię widzieć i powiedzieć ci to słowo, choćbym je życiem miała przypłacić i rzucam ci w twarz niem: jesteś nikczemna! jesteś podła!

Denhoffowa przelękniona pochyliła się i zaczęła mdléć; około straganu zrobiła się wrzawa i ścisk; król nadbiegał, Cosel wysliznęła się zręcznie i wraz z Zakliką rzuciła w małą boczną uliczkę.

Poza sobą słyszeli zmieszane głosy, tłumnie cisnące się fale ludu, i krzyki i nawoływania żołnierzy... Zaklika ścisnął w rękę pistolet który pod płaszczem trzymał, Cosel biegła przed nim żywo. Coraz mniej wyraźna ścigała ich wrzawa, która się zmieniła w jakieś mruczenie i szum głuchy... Na sąsiednich większych ulicach przebiegały konne patrole, powozy i jeźdźcy przelatowali je żywo, znając jednak najmniejszy zakątek miasta i Zaklika mógł bezpiecznie przeprowadzić Cosel do bramy miasta.

Na nieszczęście nim do niej dojść mogli, przyszedł rozkaz z zamku ażeby wrota wszystkie pozamykać i żadnej nie wypuszczać kobiety... Na drodze już usłyszeli o tém rozmawiające panie, które wyjechać chciały, a którym nie dozwolono z miasta się ruszyć do jutra. Zaklika zasłyszawszy to pobiegł do nich i spytał czy ten rozkaz stosował się także do mężczyzn.

— A! nie — zawołała jakaś rezolutna pani śmiejąc się — królowi tancerek pewnie zabrakło, więc nas tu chęć gwałtem na noc zatrzymać.

Cosel zmieniając płaszcz swój znowu czarną stroną, dotąd dosyć się szczęśliwie w cieniu domów potrafiła przesuwać; dalej jednak niesposób było w tym stroju iść, gdyż kobiet niepuszczano, a twarz i postawa Cosel nazbyt znane były: każdy oficer mógł się jej domyśleć.

Zaklika któremu każda chwila wydawała się wiekiem, pociągnął za sobą Cosel do Lehmana. Zabawa w zamku ręczyła za to iż tam teraz pusto było, w istocie stary bankier sam siedział ze swą rodziną, gdy weszli pocichu i Zaklika zażądał co najprędzej jakiegokolwiek ubioru męskiego dla Cosel.

Lehmann pochwycił co miał pod ręką: płaszcz czarny i trójgraniasty kapelusz nie pierwszej mody. Z mimowolnym pełnym boleści uśmiechem jakimś, hrabina narzuciła na siebie te suknie... Lehmann błady wypuścił ich tylnymi drzwiami... U wrót które zdala już widać było parą latarni oświetlone, stało mnóstwo żołnierstwa, trabantów kilku na

koniach, oficerowie posiadawszy z nich przechadzali się wzdłuż drogi. Zaklika wziął pod rękę hrabinę i środkiem ulicy ją poprowadził, Cosel miała spuszczone głowę i kołnierzem zakrytą twarz.

Gdy podchodzili ku grupie żołnierzy, niektórzy z nich zwrócili się ku nim i zdawali patrzeć z uwagą, ale nikt nie zatrzymywał.

Słychać było urywaną rozmowę oficerów, śmiejących się głośno.

— Cóż znowu? czy najdroższy klejnot wykradł kto z miasta?

— Cha! cha.. Szukają owszem Cosel, która swoim zwyczajem pono się na królu publicznie w rynku pomścić miała.

— Cosel! ale téj już na świecie niéma!

— Ho! ho! wróci ona, bo się jój jeszcze boją.

— Gdy Teschen upadła, nikt o niej nie myślał; ta jeszcze panią, bo drżą usłyszawszy jój imię.

Drudzy się śmieli.

Wśród tego gwaru przeszli tłum bez przeszkody, wsunęli się pod ciemne sklepienie, a gdy minęli most na fossie, Cosel lżej westchnęła: była już napół wolną.

W godzinę potem ciemną nocą toczył się szybko jój powóz gościńcem ku Prusom, a Zaklika z pistoletami w rękach przy woźnicy, przysłuchiwał się niespokojnie, czy pogoni za sobą nie chwyci uchem.

Cosel szukano jeszcze w Dreźnie i Pillnitz.

V

Berlin w pierwszej ćwierci XVIII wieku był zaledwie słabym zarysem téj stolicy, jaką został od niedawna. Wzniósł się on i zabudował właśnie w téj porze i był niemal nowym; a miał już charakter właściwy miasta, koszar, wojska, klasztornego porządku i ciszy... Tu nic już naówczas nie szło jak samo chciało, ale jak z góry rozporządzono; wzrost, upiększenie, handel były nakazane, zaprowadzone i wzięte w kluby odrazu. Nic smutniej nie mogło po Dreźnie wyglądać nad ową nad-Sprejską stolicę. W ulicach widać było więcej żołnierzy niż ludu, a bębny i piszczałki głośniej się słyszeć dawały niż dzwony, i koszar więcej było niż kościołów. Po większych ulicach sterczały regularnie ustawione domy, które tam stanęły nie że chciały, ale że musiały... Pusto było dosyć... Jednakże Berlin już miał pięć kwartałów i przedmieścia rozsypane szeroko a nędzne, dokoła... Gdziekolwiek wśród domków i domów, pałace familii królewskiej odznaczały się wymuszonym wdziękiem, który wydawał się z kąd inąd zapożyczony. Na Spandawskim przedmieściu świecił tak Montbijou królowej, na Stralausem belweder króla...

Wszystko tu było nowe, jak samo państwo: najstarsze gmachy liczyły wiek swój na lat dziesiątki. Parę posągów nudziło się w téj pustyni, para szerokich placów czekała życia i mieszkańców. Tak na Molcke-markt stał już Fryderyk I, przeznaczony pierwotnie do arsenału.

Jeden most na Sprei był już murowany, a zwano go mostem nowym, i zamiast Henryka IV wstawiono nań elektora Fryderyka-Wilhelma.

Pałac królewski z początkiem wieku budować zaczęto... gasił inne wspaniałością... a Schluter tak go obwieszał wieńcami, iż z pod nich ścian widać nie było; że zaś po nim dwóch innych go kończyło, każdy swym smakiem, trzy smaki zrodziły rzecz niesmaczną. Berlin miał już naówczas nasiona wszystkiego co wielkie miasta stanowi, brakło mu tylko życia i ludzi. Teatr, galeryę, bibliotekę, muzea zakładano spiesźnie, napełniano jak było można; jednakże tu, jak w Dreźnie bywało, nie poświęcano wojska porcelanie, ale zato na wagę złota kupowano żołnierzy. I to co Berlin w istocie miał najciekawszego, a w czém spoczywała przyszłość jego i monarchii, to było wojsko wymustrowane jak machina, regularne jak zegarek, poruszające się jak jeden człowiek.

Tu stał ów sławny pierwszy batalion grenadyerów największych na świecie, złożony z ludzi z całego świata zbieranych, mogący być wzorem tego co z człowieka zrobić można w tym rodzaju, i do jakiej doskonałości dochodzi mechanizm militarny. Grenadyerów tych olbrzymów płacono olbrzymio, choć na inne rzeczy wielka była oszczędność. Niektórzy z nich mieli domy własne i oprócz mustry zajmowali się handlami. Najdorodniej-

szy z olbrzymów tych, Jonasz Norwegczyk, którego przywieziono zgarbionym i krzywym, tu się dopiero wyprostował i stał owym ideałem żołnierza, jakim później służył.

Berlin po Dreźnie był to klasztor po teatrze. Gdy powóz zapyłony i zblocony pani Cosel wtoczył się szczęśliwie w ulice tej stolicy, a piękna hrabina wyjrzała oknem w te piaszczyste puste aleje... na te jakby wymarłe domy, ścisnęło się jej serce; ale tu spodziewała się bezpieczeństwa, spokoju, opieki: tu chciała czekać aż się może w losie jej coś odmieni.

Z Frankfurtu już wysłany przodem sługa, najął jej przy jednej z większych ulic mieszkanie, które po pałacach jakie nie dawno zajmowała wydało jej się nędznym i biednym, choć było tylko zimnym, niezamieszkanym i pustym.

Ale dla niej była to tylko gospoda... Zaklika siadł drugiego dnia na straży, urządzono co było potrzeba do życia. Cosel zajęła ciemny kąt, w którymby o niedoli swojej marzyć mogła i nowe gospodarstwo się rozpoczęło. Smutne dni długie a jednostajne.

W Berlinie wszakże *incognito* nikomu pozostać nie było wolno. Trzeciego dnia Cosel oznajmiono odwiedzić marszałka Wartesleben gubernatora Berlina, a drugi marszałek Natzmer dowódca żandarmerii często przejeżdżając się ulicą domowi się przypatrywał.

Wszyscy byli bardzo grzeczni.

Z wysokich sfer doleciała wiadomość że tam przybycie hrabinę, a nadewszystko przekazu na znaczne summy do Liebmana bankiera, widziano okiem bardzo przyjaznym. Z Dreznia pomimo ścisłych stosunków trzech Fryderyków, nie zdawało się grozić nic, i Cosel spodziewać się nie mogła, aby ją tu jeszcze prześladować chciano.

Tu dopiero wśród tej samotności milczącej, w pośród tego miasta głuchego, które zasypało o mroku, wśród tej ciszy złowrogięj, cały ogrom nieszczęścia stanął przed oczyma tej, która nań była skazana.

Goryczą zapłynęło serce. Całe dni siadywała nieruchoma, nie mówiąc słowa z oczyma czarnymi wlepionymi w ścianę, lub na ulicę, duchem i sercem uciekając w czasy ubiegłe.

Serce jej zadawało sobie pytanie, czy tak łatwo przestać kochać, czy tak łatwo można zapomnieć, czy za szczęście doznane tak prędko można niewdzięcznością płacić?

Charakter króla wydawał się jej poczwarną zagadką! Przypominała sobie czułość jego, dowody przywiązania, nie dawne jeszcze tryumfy swoje a jego przysięgi, i nie mogła pojąć upadku.

Nie zwątpiła o królu, wątpiła o człowieku. Mężczyzna cały jak go Bóg stworzył zdawał się jej dzikiem szyderstwem. Nie rozumiała życia, nie pojmowała przysięgi, naigrawania się ze świętości, oplwania przeszłości i zadania jej kłamu. Świat wydawał jej się czems nie zrozumiałym. Pytała własnego życia i szukała w niem winy czując karę: nie mogła znaleźć tak wielkiego grzechu jak była boleść.

W kilka dni kazała sobie przynieść Biblię.

W kilka dni także wszedł około południa Zaklika, który przychodził zwykle tylko gdy był zawołany, lub gdy musiał coś oznajmić. Stał w progu ze spuszczonei rękami: Cosel podniosła głowę ku niemu.

Milczał długo.

— Co powiesz panie Zakliko? coś nie dobrego?

— A gdzież na świecie dobre! — rzekł — chodzą już koło domu szpiegi, pytają; chciałem tylko powiedzieć abyś się pani ich strzegła. Nie myślę się, prędzej czy później zjawi się tu pewnie ktoś z oświadczeniami przyjaźni: zamknij pani usta.

Hrabina się zmarszczyła.

— Musisz mnie już znać — rzekła — że ja i milczeniem kłamać nie umiem. Miałam odwagę jemu i jej rzucić obelgą w oczy, będę mieć mężstwo powtórzenia to każdemu co słuchać zechce.

— Pani — odważył się dodać Zaklika, choć spuszczeniem głowy dała mu znak że rozmowa ma być skończoną — pani, na cóż ich jątrzyć i zemstę wywoływać? I tak kłamać będą.

Nie odpowiedziała już nic uparta Cosel, z oczów spuszczonei potoczyły się dwie lzy gorzkie. Zaklika wyszedł.

We trzy dni potem młody, ładny mężczyzna kazał się zameldować do hrabinę.

Był to van Tinen.

Hrabina знаła go z tego, iż raz już był do niej wysyłany dla układów, do których chciał przyjść jak Watzdorf niewczesnymi oświadczeniami gorącej miłości. Te obelżywe oświadczenie musiała ona znosić cierpliwie, choć ją obrzydzeniem dla nikczemników napelniały.

Przyjęto van Tinena.

Oświadczył najprzód iż się niezmiernie zdziwił, gdy będąc w Berlinie dowiedział się o pobycie jój tutaj, o którym jakoby wcale nie wiedział wprzód.

Cosel spojrzała mu w oczy z szyderstwem.

— A gdzieżeś pan był gdym opuszczała Saksonią?

— Ja? — rzekł van Tinen — byłem w Dreźnie nawet tego wieczora, gdyś pani pono o mdłości przyprawiła nieszczęśliwą Denhoffowę, ale gdy się to raz uciszyło, nie dowiadywałem się dokąd się pani udać podobało.

— Tak więc się bardzo cieszę — odpowiedziała Cosel — iż mogliście o mnie zapomnieć: nic więcej teraz nad to nie życzę.

— Ja sędzę — odparł van Tinen — że i tam radziby być pewni, iż pani wyrządzonych sobie krzywd zapomniiałaś także.

Milczeli chwilę, van Tinen szepnął:

— Mógłbym pani wiele ciekawych opowiedzieć rzeczy...

Zakrawało to na chęć wkradania się w łaski u Cosel, na zyskanie zaufania.

— Jam nie ciekawa — smutnie rozśmiała się Cosel — myślisz pan że mnie cokolwiek dziś jeszcze obchodzić to może? Wierzyłam dawniej w tych szarów szczerłość, myśląc że z serca się rodzą: dziś wiem że je tworzy pycha i pustota...

— Bawimy się nadzwyczajnie — rzekł jakby nierozumiejąc van Tinen... Nie są to rzeczy nowe dla pani, która w tyłu świetniejszych zabawach byłaś królową; jednakże...

Znać chciał wyznania, Cosel milczała; van Tinen śmiejąc się po dobrej woli opowiadać zaczął:

— Miejsca te dobrze pani znane, bo niegdyś w Laubegast pono...

— Mieszkałam tam szczęśliwa — szepnęła Cosel — a! to prawda.

— Flemming na równinie pod Laubegast prawie na przeciwko Pillnitz, dawał wielką fetę dla króla i Denhoffowej.

— A! a! — zawołała Cosel.

— Sześć najprzód pułków wyszło w pole — mówił przybyły — cała królewska lejbgwardya konna użyta była. Na wyżynach ustawiono działa i wojska tak rozporządzono, ażeby dwór miał widowisko prawdziwej wojny. Jakoż udało się wszystko przepysnie. Rozdzielone pułki postępowały dając ognia, nacierając, a choć oprócz kilku wywróconych i podeptanych, nikomu się nic nie stało, można było przysiądz zdala, że bitwa była najzaciętsza i przelów krwi okrutny.

Król przypatrywał się temu igrzysku, z jednej strony mając przy sobie Denhoffowę, z drugiej hetmanowę Pocięjową, obie konno jako amazonki. Otaczał go cały dwór na pysznych rumakach... Reszta dam w poszóstnych powozach patrzyła nie wysiadając z nich, a był cały świat niewieści.

Cosel uśmiechnęła się szydersko.

— Teraz mu dwie towarzyszy — rzekła — widoczny postęp, a w odwodzie ta ariergarda w powozach. O! rzeczywiście, to wspaniale i po królewsku.

Van Tinen zniżył głos.

— W istocie te dwie — dodał — nie są wcale o siebie ani o nikogo zazdrosne.

Ale wracam do mojego opisu — począł znowu: — nieopodal rozbite były wspaniałe namioty. Pod jednym z nich król obiadował, mając przy sobie: Denhoffowę, Pocięjową, Bielińską i co najprzedniejsze osoby z towarzystwa.

— I pan tam byłeś? — spytała szydersko Cosel.

Van Tinen się zarumienił.

— Nie, jam był w drugim namiocie, ale widziałem doskonale wszystko. W czasie obiadu muzyki nam przygrywały, a na vivat były działa i tak na przemiany grzmot armat i trąby towarzyszyły wesołym okrzykom.

— Prześlicznie — rzekła Cosel — i koniec?

— Nie, to dopiero początek. Po obiedzie nastąpiła zabawa, ze stołów nie zbierano, Flemming chciał resztkami nakarmić żołnierzy; ale że chleba brakło, w każdy kawałek

chleba wetknięto po guldenie i użyto ich przeszło tysiąc. Zatrąbiono wtedy do szturmu... Żołnierze stojący w bojowym porządku posunęli się mężnie ku półmiskom, ale ci co ich dochwycili się pierwsi, pod naciskiem drugich zostali złamani; padli: trzeci szereg pchał drugi. Stoły się wywracały, ludzie dusili, kupy żołnierza wiły się po ziemi; widowisko było przepyszne: pękaliśmy od śmiechu! Trwało to póty, póki resztek potraw stało i nie zatrąbiono do odwrotu. Król zdala odpoczywał na pagórku z damami...

Gdy wieczór nadszedł, w królewskim namiocie rozciągnięto kobierce; stanęły muzyki, zaczęły się tańce i trwały ochoczo do siódmej wieczorem.

Flemming przez cały czas chodził z kielichem od gościa do gościa; zaklinał, całował, prosił, lał, przepijał i sam pono się najpierwszy upił. Król także zdawał się w nadto dobrym humorze, ale majestat pański umiał utrzymać, tak że nikt tego nie poznał. Przypatrywałem się z politowaniem służbowemu szambelanowi J. K. Mości, który stał za nim godzinę, trzymając na tacy szklanekę wody, a że wprzód sam coś innego znać pił, niedobrze się mógł na nogach utrzymać, i gdyby go kto wówczas palcem trącił, byłby się niechybnie wyrzucił.

Nigdy Flemminga w takim nie widział humorze.

— Nie dziw — rzekła Cosel — obchodził swoje tryumfy, a mój upadek.

— Nareszcie król się zabierał wychodzić — kończył van Tinen — gdy pijany Flemming rzucił mu się na szyję z poufałością braterską, nie zważając że tyle oczów na nich patrzyło i ozwał się głośno, tak żeśmy to wszyscy słyszeć mogli: „Bracie! kochany bracie, kwita z przyjaźni naszej, jeżeli mnie opuścisz”¹.

Pani Denhoff, która króla na krok nie opuszcza, zaczęła hamować Flemminga, ale to przychodziło z trudnością; Flemming był tak szczęśliwie pijany, iż nic już nie widział przed sobą, oprócz ludzi równie jak on napitych. Gdy go Denhoffowa za rękę chwyciła, on ją o mało nie przycisnął oburącz. Wydała mu się ładną i powiedział jój to tak wyraziście, że aż krzyknęła z oburzenia i gniewu; ale w téjże chwili zaczęła się do rozpuku śmiać.

Pomimo tych zakłęk, król i Denhoffowa dostali się na konie i pojechali. Szczęściem że zręczny laufer ścigał króla krok za krokiem, inaczej już leciał z konia. Chciano go koniecznie do powozu posadzić... rozgniewał się; koniuszego Backnitza, który cokolwiek za ostro się brał, król pchnął precz, a na Denhoffową krzyknął: „Dajże mi pani pokój, znam się z moim koniem: proszę się o mnie nie troszczyć”. Jakoż w galop się puścił, co koń wyskoczy, a kawalergardy, dwór i co żyło za nim. Hrabina spadła z konia, ale ją otaczający kawalerowie pochwycili... to ją jakoś opamiętało i choć konno jeździ śmiało, zajęła miejsce w powozie.

— Powinni jój byli pozwolić kark skręcić — odezwała się Cosel.

— Najzabawniejszy był Flemming — dodał van Tinen — bo po odjeździe dam i króla, jeszcze mu nie dosyć było. Okrutną miał do tańca ochotę, więc brał pozostałe służące i kręcił się z niemi raźnie, aż póki nadchodzący ranek nie przerwał téj pięknej zabawy.

I Flemmingowi nic nie było.

— Przecież — odezwała się hrabina — nie pierwszy to raz w ten sposób się z królem obchodził. Sam król mi opowiadał, jak po pijanemu nadokazywawszy, nazajutrz do niego na zamek przyszedł i rzekł: „Słysz, że Flemming wczoraj trochę się niedorzeczy znajdował, ale W. Kr. M. tego mu za złe nie weźmiesz”. Król do czasu śmieje się i przepuszcza — dodała — lecz któż ręczy, że się nie dostanie kiedyś do Königsteinu, gdy mu się jego przyjaciele, tak jak on mnie przysłużą.

Król łagodnym jest jak baranek — rzekła śmiejąc się szydersko — nieprawdaż panie szambelanie, a wiecie dlaczego? dlatego że gniewając się, popsułby sobie zabawę? Potém gdy mu się znuży człowiek, skinie i każe, aby go więcej nie widział. Na tém komedia skończona!!

Cosel zaczęła się przechadzać, van Tinen zmilkł przestraszony wyrzeczonymi przez nią wyrazami.

— Nie dziwię się téj goryczy, jaka płynie z ust pani — rzekł jednakże.

— Tak, masz słusność... — przerwała — gdybym i ja nie miała serca, nie miała czucia, nie bolała na krzywdę, a targowała się tylko o jój zapłatę, mogłabym mówić inaczej.

¹Bracie! kochany bracie, kwita z przyjaźni naszej, jeżeli mnie opuścisz — Bruder, ich sage dir die Freundschaft auf, wenn du weggehst. Pam. von Loen'a. [przypis autorski]

Mogłabym powiedzieć, że August ma najlepsze serce, że nie on winien ale okoliczności; pierwsza zmarszczka na mej twarzy, znudzenie po tylu latach pożycia, moje gniewy i gwałtowności tak bezprzyczynne!! Boć powinnam była śmiać się z Duval, cieszyć gdy Dupare przyjechała i nie wiele więcej wartą Denhoffową wziąć za przyjaciółkę?

Nieprawdaż kochany szambelanie. Nie korzystałam z dobrych przykładów, jakie mi dawały pani Haugwitz, Aurora, Esterle i Teschen, chodzące z sobą pod rękę na lipskim jarmarku!! w takiej zgodzie serdecznej!!

Śmiała się spazmatycznie.

— Ja widocznie stworzoną nie byłam do tak dobrego towarzystwa... — dodała — nie umiałam się znaleźć, nie rozumiałam świata ani ludzi: winnam sama sobie. Sądziłam, że w piersiach są serca, że w duszy są sumienia, że miłość nie jest rozpustą, że przyrzeczenia są święte, i że królowie słowa dotrzymują. Wszystko to były złudzenia moje, winy moje i grzechy. Dlatego gdy tamte szczęśliwe... ja umieram z upokorzenia, z tęsknoty, ze wstydu.

Van Tinen słuchając tych wyrzekań, które z ust cudnie pięknej kobiety wychodząc, wrażenie na nim czyniły mimowolne, przejmujące, uczuł się poruszonym, zmieszanym, zawstydzonym. Spojrzała nań Cosel z politowaniem.

— Słuchaj — rzekła zbliżając się do niego — wiem, czuję, żeś ty tu nie przybył przez litość dla mnie, przez ciekawość dla siebie, ale z rozkazu.

— Pani!

— Nie przerywaj mi: słuchaj! Ja ci to przebaczam — kończyła — wam wszystkim idzie o to więcej, abyście zrobili karierę, niż byście ludźmi byli. Powtórz im to coś słyshał, odemnie, niech znają głąb mojej duszy: między niemi a mną wszystko zerwane. A jeśli chcesz się zasłużyć, dodaj, żeś słyshał odemnie, z żywych ust hrabiniéj Anny Cosel, iż tak jak niegdyś zapowiedziała królowi, że mu niewierność i zdradę zapłaci śmiercią, tak jeszcze dziś powtarza. Za rok, za dwa, za dziesięć, pierwszy raz gdy napotkam Augusta, w łeb mu strzelę. Noszę pistolet przy sobie, nie rzucę go nigdy, aż nabój dla niego przeznaczony wyleci.

Powiedz im i to panie van Tinen...

Van Tinen pobałdł śmiertelnie.

— Pani hrabino — zawołał — jest to w istocie zmuszać uczciwego człowieka do zdrady. Posądzasz mnie pani niesłusznie, ale ja zostaję w służbie króla polskiego, jestem jego szambelanem, przysięgłem mu na wierność. Tego, co słyshał z ust pani, nie mogę już nie powtórzyć! Muszę! pani to powtórzysz sama innym, pochwalisz się tém, żeś mi także w oczy rzuciła tę groźbę.

To nie dworactwo już, ale obowiązek każe wyznać.

— Alboż ja ci bronię? — zapytała Cosel — ja cię o to proszę. Nie będzie to rzeczą nową, August to pamięta.

— Ale to posłuży nieprzyjaciółom, na których pani nie zbywa do nowego spiknięcia się na jéj zgubę, to da im oręż w ręce!

— Alboż im na orężach zbywa — przerwała — jeden mniej, jeden więcej, nic nie znaczy. Kłamstwo, potwarz, zdrada, im wszystko dobre. Czyż, gdybym nawet była pokorną, uszłabym prześladowania? Podli czują we mnie istotę, co ich podłości nie znosi, nikczemni mają we mnie wroga... moja uczciwość jest dla nich wiecznym wyrzutem ich podłości. Jakże mogą przebaczyć kobiecie, co się tak jak oni skalać i zbezcześcić nie chciała?

Śmiech spazmatyczny towarzyszył tym wyrazom, van Tinen stał jak na mękach.

— Widzisz, dodała, taką jestem dziś, jaką byłam w szczęściu. Nie zmieniła mnie niedola, roztworzyła tylko duszę skrwawioną, nic więcej.

W czasie rozmowy, oczy jéj piękne to szklily się łzami, to osychały od ognia, co się w nich palił; van Tinen patrzył w końcu, zapomniawszy swéj roli, jakby na niezrównaną artystkę, ze starożytnéj tragedyi greckiej. Miała w sobie Cosel wszystko, co stanowi Medę, co ideał święty wcielić może w rzeczywistość. Współcześni ze zdumieniem, jak van Tinen nieraz wychodzili poruszeni jéj wymową i pięknnością promieniejącą.

Gdy zamilkła, szambelan długo nie mógł się także oderwać z wlepionemi w nią oczyma, zdawał się walczyć z sobą.

— Nie mogłaś mnie pani boleśniej upokorzyć niczém nad to wyznanie — rzekł — wystawiłaś mnie na próbę. Nacóż mam to kryć przed nią: jestem królewskim sługą, gdy powrócę z Berlina spytanym będę; na pytanie kłamstwem odpowiedzieć nie mogę: rzecz jest zbyt wielkiej wagi. Słowa moje pochwycone zostaną i w sumieniu mém będę cierpiał, żem się do jój nieszczęść przyłożył.

Van Tinen w tój chwili był szczéрым.

— Nikt w świecie do mojego nieszczęścia nie może już nic dodać — odezwała się Cosel. Myślisz że boleję nad utratą pałaców, znaczenia i łaski? nie!! nie! mnie boli to, że w żadne serce ludzkie uwierzyć już nie mogę, że widzę podłość wszędzie, że sama sobą się brzydę i sobie nie wierzę sama! Daj mi jego serce — napowrót... zrzeknę się korony świata. Jam go kochała! całe życie moje w nim było... on mi był bohaterem, on mi był bogiem na ziemi: bohater stał się polyszynellem, bóstwo zmazało się kałem... a więc plugawy świat! i życie ohydne.

Szambelan starał się ją pohamować: płakała.

— O moje sny złote! o moje marzenia dziewicze, gdzieście się rozwiąły!! nie ma was... nie ma!

— Racz się pani uspokoić — przerwał coraz mocniej wzruszony i pomięszany posłaniec — nie uwierzysz pani, jak mnie boli, żem był powodem rozżalenia jój; że moje przybycie...

— Niceś nie winien — odparła Cosel — pokazałam ci rany, ale dawno je noszę, a każdy dzień je powiększa. Jeśli cię pytać będą, nie szczędź tój niepocziwej Cosel.

Van Tinen nie mógł powstrzymać się dłużej, litość wzięła nad nim górę.

— Zaklinam panią — odezwał się — uchodź ztąd... więcej powiedzieć nie mogę.

— Jakto? — spytała Cosel — czy i tu mi jeszcze co zagraża? czy król Fryderyk pruski wydałby tak kobietę na męczarnią, jak król polski Patkula? Powinien przecież pamiętać, że jemu odmówiono Böttigera, gdy się o niego domagał?

Van Tinen stał milczący: zacięte usta świadczyły, że więcej powiedzieć nie mógł.

— Dokąd uciekać? szepnęła sama do siebie: ziemi braknie... ja daleko żyłbym nie potrafiła, tam mnie jeszcze serce ciągnie... niech zresztą zrobią już ze mną co zechcą. Życie mi zbrzydło. Odebrali mi dzieci... nie mam nic prócz żółci, którą się karmię.

Szambelan chcąc zakończyć tę scenę, której nie przewidywał, pochwyił za kapelusz.

— Żal mi pani szczerze — rzekł — lecz zdaje się, że dopóki trwać będziesz w tych usposobieniach... nikt w świecie ani uratować, ani na los jój wpłynąć nie może: wszyscy przyjaciele hrabinéj.

To wyrażenie ją rozśmieszyło.

— Moi przyjaciele? a policzcie mi ich kochany panie van Tinen — odezwała się żartobliwie.

— Masz ich pani więcej niż sądzisz — rzekł gość — ja pierwszy!

— A! pan pierwszy! prawda — dodała — takich, jak pan, wielubym naliczyć mogła. Przynajmniej trzech czy czterech, co mi się ofiarowali pocieszać nieszczęśliwą wdowę, aby z nią podzielić swe ogromne łupy, z których mi wkrótce nic nie pozostanie. A! takich! takich!! — rzekła wzgardliwie.

Van Tinen był tak zmieszany, iż nie umiając nic odpowiedzieć już, ukłonił się z lekka i ścigany czarnymi oczyma Cosel, wyszedł powoli z pokoju.

VI

W Dreźnie dawnym obyczajem szło życie u dworu, zabawy były jego ostatecznym celem. Poważne strony życia dostarczały tylko do nich powodów i zręczności, materyału i żywiołów.

Król starzał a wiek podeszlejszy, który wiele wyczerpał i zużył, stokroć jest do zbawienia trudniejszym. W młodości bawi to nawet co smutnémbym być powinno, później rozrywka staje się posępną, wszystko czczém i pustém. To w czém dawniej człowiek widział ziarno, przemienia się w pustą łupinę. August téż był coraz do rozbawienia trudniejszym. W pierwszych jego płochych amorach było coś choć chwilowo przypominającego serce, w ostatnich bawiły się zmysły. Czczą galanterya francuzka okrywała to swą jedwabną, złotem naszywaną sukienką.

Zabawy następowały coraz wytworniej, jedne po drugich, a po nich król ziewał i znajdował, że teraz nic nie miało smaku, siły, barwy ani woni. Gniewało go, cokolwiek błogi ten spokój szeregu bezmyślnych rozrywek przerywało, co mu przeszkadzało śmiać się gdy brytany brały zrozpaczonego niedźwiedzia, lub patrzeć jak biedny jeleni miotał się w przedśmiertnych męczarniach.

Były to także ulubione rozrywki, w które już młodziuchnego syna zaprawiał, a zdawało mu się to rycerską zabawą. Widok krwi dodawał smaku innym widowiskom, stanowił kontrast z obrazem słodkim uśmiechów niewieścich, skoków baletniczych i pieszczącą ucho włoską muzyką. Aby się napawać melodią, dobrze było wprzód w dziki ryk zwierzęcia się wsłuchać.

Nieprzyjaciele Cosel pracowali około króla pilnie. Unikał on o niej wspomnienia, dawał do zrozumienia że niechętnie o niej słyszy: nic to nie pomagało. Zawziętość ubierała się różnie, najczęściej w pozorną obawę o króla, o jego bezpieczeństwo, o drogi spokój pański. Malowano kobietę nieszczęśliwą, jako niebezpieczną.

Oddalona, swobodna, mająca w ręku środki potężne, bo wiadano że znaczne z sobą summy uwiozła, mogła się stać groźną.

Flemming, Löwendahl, Watzdorf, Lagnasco, Vitzthum, niepytając króla nawet ślali szpiegów i kreślili plany, jakby ją pochwycić, a korzystając z tego, owe skarby, jak po Beichlingu, rozszarpać.

Jednemi zemsta, drugimi kierowała chciwość. W czasie swojego panowania Cosel nie zaszkodziła z nich nikomu, wielu z nich jęj byli winni wyniesienie się swoje i swobodę. Jęj zawdzięczał kanclerz Beichling że mógł resztę życia na wsi, w marzeniach, projektach i alchemicznych doświadczeniach przepędzić; Löwendahl przez nią był polecony królowi. Z pochlebców bez liku, nie pozostało ani jednego przyjaciela. Jeden Haxthausen miał odwagę, nawet przeciwko radom Flemminga do końca dotrwać wiernym i nie zdradzić nieszczęśliwej; jeden Friesen nie wziął jęj za złe odmowy posiłków i zachowywał się neutralnie: reszta, pomimo że czas już sam winien był te uczucia ostudzić, nie miała pokoju ażby ją zgubiła.

Jątrzone więc króla codzien, nieustannie.

Gdy van Tinen powrócił z Berlina, pod wrażeniem pięknych oczów Cosel zrazu walczył z sobą. Żał mu jęj było. Nie pokazał się zaraz na dworze, ale go Löwendahl wyspiegował i zawezwał do siebie.

— Jakżeś ją znalazł, mów — zawołał — zdaje się nam wszystkim, iż król zachował dla niej dotąd pewną słabość. To jest rzecz niebezpieczna... Nam daleko z Denhoffową i Pocięją jest lepiej. Te ani się do rządów mieszają, ani mu ludzi stręczą, ani chcą panować. Prawda że ogromnie króla kosztują i on sam mówi że nigdy tyle Cosel nie wymagała, ale koniec końcem, nam z tém lepiej. Cóż Cosel? Ma jeszcze nadzieję powrotu? mówi dotąd o przyrzeczeniu ożenienia? odgraża się że strzeli..?

Van Tinen smutnie na to odpowiedział:

— To pewna, że nieszczęśliwa kobieta.

— Nieszczęśliwa! sama sobie winna! Trafiły się jęj najlepsze partye, najwierniejsi sprzymierzeńcy, oszalała na tém przyrzeczeniu ożenienia, sądzi się ciągle królewską żoną, niemal królową? czy i dotąd?

— Tak się zdaje, bo w niczém mi się nie zdaje zmienioną — rzekł van Tinen.

— Ale mówże wyraźniej, opisz coś widział? — nalegał Löwendahl.

— Przyznaję się wam, iż to com widział i słyszał serce mi zakrwawiło. Zawzięta jest, gniewna, nie przebaczy nigdy, ale w nieszczęściu swém wzbudza uszanowanie: jest do prawdy cudowną, jest wielką.

— Więc tém niebezpieczniejszą — dodał śmiejąc się Löwendahl — ale zbrzydnać musiała?

— Zbrzydnać? — podchwycił pierwszy — piękniejszą jest niż kiedykolwiek była, ani śladu łez, ani bólu na tęp marmurowej twarzy. Od lat ośmiu najmniejszej zmiany w świeżości, najlżejszego zmarszczka: promienieje młodością.

— Tém gorzej! — powtórzył Löwendahl — tém gorzej; król mógłby ją zobaczyć, a po zwiędłej zawczasu twarzyczce Denhoffowej, znowuby na nim mogła zrobić wrażenie.

— Niewątpliwie — potwierdził van Tinen — bo je czyni na każdym.

— Mówiłeś z nią?

— Tak jest, a raczej ona mi się wylała z całą goryczą.

Powoli dał z siebie wyciągnąć szambelan, co marszałkowi wiedzieć potrzeba było i do nieść zwiększając Denhoffowej. Jakkolwiek płocha i lekkomyślna, jakkolwiek złośliwa, bojaźliwa o siebie i bronić się pragnąca na wszelki sposób, Marynia Denhoffowa tak bardzo złą nie była, żeby kobietę nieznaną, biedną, której największą krzywdę już wyrządziła, chciała pozbawić ostatka swobody... Przykrzyło jej się to naleganie nieustanne i postrachy, byłaby się opierała może, gdyby nie pani Bielińska, która zmuszała ją być ze wszystkimi dobrze i nie sprzeciwiać się faworytom króla, aby swe panowanie przedłużyć.

Löwendahl tegoż dnia stawił się u pani Denhoffowej, wybrał godzinę gdy sama była z siostrą i począł od pochlebstw które obie lubiły. Z wielką zręcznością, niby nieumyślnie przeszedł do porównania obecnego czasu z dawnym; mówił wiele o Cosel i zakończył tём, że miano o niej wiadomość.

Denhoffowa zapytała: — A cóż się z nią dzieje?

— Siedzi w Berlinie, pod opieką króla pruskiego i używa dawniej sobie swobody, żeby nas, króla, dwór i wszystko co się tu działo i dzieje w najszkaradniejszych malowach kolorach. Jestto niewdzięczność czarna, aleśmy do niej nawykli.

— Zresztą — dodał Löwendahl — mniejszaby o to, gdyby zawsze nie powtarzała swego, że przy pierwszym spotkaniu królowi w łeb strzeli.

Denhoffowa porwała się z krzykiem z kanapki na której siedziała, zakrywając oczy..., pani hetmanowa ruszyła ramionami tylko.

— Ktoby się tam tego lękał, albo na to uważał — zawołała — to są brawady bezsilne!

— Takby się zdawać mogło, gdybyśmy pani hrabinę nie znali — przerwał Löwendahl — szczególnie ja, który mam nawet zaszczyt być jej krewnym. Jestto kobieta, która nigdy nic próżno nie mówi.

— Szczęściem niema żadnego podobieństwa ażeby kiedykolwiek z królem spotkać się mogła — dodała Pocijowa.

— Jakto? czyż pani sądzi że ona czekać będzie sposobności a nie szukać jej? Wszak tak samo jak potrafiła raz wkraść się na maskaradę, może się dostać przebrana do Drezna, czekać na króla choćby w ulicy.

— A! tak! tak! — poczęła gorąco Denhoffowa — ja przeczuwam niebezpieczeństwo... Król jest nieuważny, tę kobietę należy... ja nie wiem? cóż z nią zrobić?

Loewendahl ruszył ramionami.

— Kto woli swój używać nie umie, temu ją odebrać należy i uczynić niewolnikiem: rozumié pani.

Obie kobiety zamilkły, obu przyszło na myśl, że to co teraz spotkać miało Cosel, mogło później być Maryni udziałem. Marszałek Loewendahl zdał się tego domyślać i dodał:

— N. Pan nigdy dla osób które chociaż krótko kochał nie był surowym, świadkiem te panie, jakieście tu spotkać mogły; ale są wypadki...

Na tę naradę nadeszła najzręczniejsza z nich, matka, pani marszałkowa Bielińska; pomimo wieku już dobrze dojrzałego ubrana z wielką pretensją, przegładająca się we wszystkich zwierciadłach, poprawiająca coś około fryzury nieustannie i piękne białe ręce, okryte pierścieniami wystawująca chętnie na uwielbienie. Powitała Loewendahla z uprzejmością poufałą, z uśmiechem i popatrzwszy po córkach, wpadła z jednego schwyconego słówka na tok rozmowy.

Denhoffowa wtajemniczyła ją w te obawy, które przyniósł z sobą przyjaciel domu; tam gdzie szło o córki, dla marszałkowej nikły wszelkie względy: litościwa w innych razach, stawiała się mściwą i gniewną. Córki tutaj były całym jej mieniem i przyszłością: co im zagrażało, doprowadzało ją do szału.

Wysłuchawszy opowiadania, uniosła się.

— Ale, bo też szczególne zachowują względy dla prawdziwie szalonej kobiety! Król jest nadto dobry! wyzywa go! urąga się, sama winna będzie jeśli sobie ciężki los zgotuje. Temu raz koniec położyć należy.

Marynia miała króla przestrzedz... złożono to na nią; lecz po namyśle marszałkowa znalazła iż ona tego dobrze nie potrafi uczynić.

Postanowiono więc aby ona tylko zagaiła, a marszałkowa sama wymownie dokonała reszty.

Loewendahl w tak dobre ręce powierzwszy sprawę swój zemsty, odszedł.

Wieczorem zabawa była w Ogrodzie Hesperyd. Tak się naówczas zwał podwórzec Zwingru, świeżo, wspaniale i z przepychem królewskim dokończonego. Była to mała cząsteczka jakaś olbrzymiego pałacu królów, który miał doń przytykać. Ogród urządzony był obyczajem i smakiem wieku, w kwatery kwiatów poobsadzone bukszpanem, z wodotryskami, grotami i bogatą mytologicznych figur ozdobą. Wieczorem rozsypane lampy i kolorowe latarnie czyniły go piękniejszym jeszcze niż we dnie. Z drzew poustawiane gaje pomarańczowe, w których przygotowano siedzenia, dozwalały parom przechadzającym się używać spoczynku w cieniu i ukryciu. Na balkonach galeryi otaczających dokoła Zwinger, grały muzyki, a melodee ich rozchodziły się daleko z lekkim wiatrem wieczora. W pośrodku ogrodu rozbity namiot jaśniejący całą illuminacją, stanowił salę improwizowaną, w której po wieczery miały się odbywać tańce.

Król przybył ubrany cały w niebieskie jedwabie ze srebrem i białe koronki, a wyglądał młodo i chciał sobie znać młodsze jeszcze pierwszych swych podróży po Europie przypomnieć lata. Denhoffowa także tego wieczora była w sukni blado niebieskiej i w bieli i było jęj wcale do twarzy. Zmuszając się do wesołości powitała króla, którego każdy bawić musiał, pod karą niełaski i zaczęła od pustych żarcików. Część wieczora upłynęła na śmieszkach, do których Pociiejowa dobrze pomagać umiała.

Pani Hetmanowa i siostra jęj były w jak najlepszej przyjaźni, a choć jedna o drugą mogłaby była być zazdrosną, nigdy tego uczucia oznaki najmniejszej nikt w nich nie dostrzegł. Hetmanowa mała, delikatna, jeszcze napozór wężlejsza od siostry, daleko była wytrzymalszą od nięj. Polska i Saksonia naówczas zdumiewała się owęj sławnęj konnęj podróży jęj z Frielinem z Warszawy do Gdańska i napowrót odbytej z takim pośpiechem, iżby pocztyliona znużyła. Pociiejowa ani dnia po nięj nie potrzebowała spoczywać. Ona Denhoffowęj w ciężkich razach pomagała przy królu w rozmowie, w naprowadzeniu jęj na co było potrzeba i tego dnia podjęła się wreszcie z rozkazu matki, wtrącić coś o Cosel.

August był zmęczony i chmurny.

Hetmanowa wtrąciła coś, że dawnięj za czasów hrabinęj bawił się łatwiej i z większą ochotą, że może tamtęj żalował.

Pełen grzeczności król odpowiedział żywo, iż w towarzystwie tak miłych i pięknych dam, nic żalować i o niczém pamiętać nie było podobna.

Denhoffowa pochwyliła tę zręczność by ująwszy go pod rękę, zacząć coś prawić o Cosel; lecz jak zwykle wywiązała się z tego wcale nie szczęśliwie, gdy w pomoc jęj czatująca nadeszła matka: naówczas obie poczęły lament z tematu hrabinęj.

Królowi się to widocznie nie podobało: spuścił głowę i nic nie odpowiadał. Chwila była, w której obie kobiety strwożyły się; wyszedł jednak z tego zamyślenia i odezwał się żywo:

— Kochana hrabino, chcięj być o mnie spokojną; czuwa nademną wielu proszonych i nie proszonych stróżów i nic mi uczynić złego nie dadzą. Nie rad mówię o tém: chodźmy i wmięszajmy się do tańca.

Zamiar przypuszczenia szturm do Augusta spelzł tedy na niczém. Flemming i Loewendahl powtórzyli po wieczery przy kielichach, to co te panie poczęły niezręcznie w ogrodzie Hesperyd. Tu swobodniejszy król, dał im mówić i słuchał.

Jednakże olimpijska brew zmarszczyła się kilkakroć.

— Słuchaj Loewendahl — rzekł szydersko — dajesz mi wprawdzie dowód wielki przywiązania do mojęj osoby, ostrzegając przeciw hrabinie, która jest twą kuzynką i której winienieś to czém cię zrobiłem; powinienbym ci być wdzięczen, a jednak powiem szczerze, stajesz się dla mnie dziwnym.

Staranie o moje bezpieczeństwo zostawcie mnie, proszę.

Loewendahl umilkł, podstawił tegóż wieczora wprawdzie van Tinena, z opowiadaniem o Berlinie, ale król i tego słuchał z roztargnieniem, bo go nie lubił.

Rzecz obrachowana na wielkie skutki skończyła się na niczém.

Intryganci spostrzegli, iż należało innych użyć dróg i środków.

Jakkolwiek Cosel ustronne pragnęła prowadzić życie w Berlinie, zbyt była głośną jęj piękność, jęj sława, zbyt ciekawą osobą, zbyt głoszony dowcip, żeby wkrótce nie zaczęto się ubiegać o jęj znajomość.

Większa część osób otaczających dwór Fryderyka, znaną jęj była z pobytu kilkakrotnego w Dreźnie. Nudzono się tak bardzo jednostajnymi paradami wojskowemi, które

król codziennie odbywał i wieczorami u N. Pana lub królowej, iż każdy spragniony był jakiegóż rozrywki.

Król sam częściej bawił w Potsdamie lub Wusterhausen niż w stolicy, nie chybił nigdy zaciągu warty o dziesiątej godzinie, dawał potem posłuchanie ministrom lub szedł na przechadzkę; o południu przyjmował wojskowych i cudzoziemców, potem zasiadał do skromnego stołu z królową i rodziną, pracował po południu w gabinecie i nie ukazywał się na pokojach aż wieczorem. Tu przybywała królowa, kilka dam, kilkunastu oficerów, czasem zaproszony ktoś obcy, grywano w pikietę, lombra i tryktrak i palono tytuń... tak schodził czas w dosyć poufałym ale też i nudnym kółku do jedenastej: o tej godzinie wszystko się kończyło zwykle urzędowie. W niebytności króla przyjmowała co wieczora królowa o siódmej u siebie i zapraszała czasem kilka osób na wieczerzę. Nie urozmaicało nic tego toku życia, chyba nader skromny wieczorek w mieście u któregoś z dygnitarzy. Wcale to było niepodobne do szumnego Drezna, z którego się też tu śmiano pocichu, a nade wszystko z rycerskich i wojskowych zabaw Augusta, których nikt tu nie brał na seryo. Wojsko saskie przydane w złoto, galony, lamy i pióra, nie mogło się ani porównać z pruskim, w jednakowych niebieskich mundurach zaszytym, mało strojnym, w którym czerwony mundur huzarski i trochę galona stanowiły całą ozdobę; oficerowie nawet od żołnierzy mało się różnili ubiorem. Zamiast wymyślnych chorągwi powiewała tu wszędzie jedna, biała, z dumnym nad lecącym orłem godłem: *Nec soli cedit!* Naówczas dewiza wydawała się nieco zuchwałą, przyszłość ją wszakże usprawiedliwiła.

Nie było na świecie dwóch charakterów mniej do siebie podobnych, sprzeczniejszych i mających większe prawo wstępu wzajemnego do siebie nad Fryderyka pruskiego i Fryderyka Augusta polskiego. Od czasu jak pewien wybryk nieprzyzwoity panna von Pannewitz wypłaciła królowi — policzkiem, nie spojrzawszy pono nigdy na kobietę i był najwierniejszym z małżonków, a rodzinę swą trzymał w tak ciasnych karbach i życie wiódł tak oszczędnie, iż od jego stołu wstawano się zwykle nietylko trzeźwo, ale głodno.

Porządek w państwie, w mieście, w domu, w wojsku posunięty był do pedantyzmu; srogość i surowość niekiedy do bezlitości: obyczaje musiały być spartańskie, bo tu wszystko szło, jak z góry przykazano. Szlachta próbowała wprawdzie nieco się opodatkowaniu opierać; ale Fryderyk zapowiedział jej z góry, że jego władza, jak skała z brązu nie da się pożyć niczym.

Przed jedzeniem odmawiano modlitwy, stół był mieszczański, a o balach na dworze nikt nie myślał. Jadano na glinie, a gdy obcych trzeba było przyjmować, dobywano srebra ciężkie, które nazad szły do skrzyń nazajutrz.

Miewał król fantazyje, lecz wcale innego, niż August rodzaju. Po odejściu królowej od stołu, po chudej wieczerzy, zbierali się poufali do Tabacznego kolegium, to jest do izby, w której król fajkami częstował. Przy fajkach wiele było wolno, a najpierw zabawiać się, biorąc którego nieszczęśliwego na zęby. Padał ktoś zawsze ofiarą. Po środku sali stał prosty stół, który obsiadali w wielkich mundurach ministrowie, jenerałowie i czasem obcy goście. Dawano wszystkim holenderskie fajki, czy kto chciał palić, czy nie i stawiano przed każdym kufel duksztyńskiego piwa. To było całe przyjęcie, bo na kosztowne wina nie myślał się król rujnować. Upoić piwem i tytuniem, było wielką dla króla pociechą. Wyśmiewać uczonych, arystokrację, urzędników... główną zabawką. Żarty po piwie czasem przebiegały miarę, gdy się w Wusterhausen mięszały do nich niedźwiedzie, a podszczuci zapaśnicy kufłami bić się zaczęli; lecz zawsze to jeszcze nie dochodziło do ostateczności: odchorowywało wielu, rzadko kto umierał.

Na wielkie święta urządzano dysputy w tabacznym kolegium i zadawano jako temat, że uczeni są głupcami. Morgenstern stawał na katedrze w niebieskiej aksamitnej sukni z czerwonymi obszegami, haftowanej w zajęcie, w czerwonej kamizelce, w peruce omal niespadającej do kolan i ogonem lisim u boku zamiast szpady. Godzinę prawil i to króla bawiło niezmiernie.

To były jedyne dworu pruskiego zabawy. W Dreźnie wyśmiewano się z Berlina, w Berlinie Drezno miano za coś sąsiadującego z piekłem, bo Fryderyk polski nie wierzył w nic, a pruski po swojemu był pobożny.

Raz gdy przy wieczerzy nowo-przyjęty kamerdyner z obowiązku czytał modlitewkę i przyszedł do wyrazów: „Niech cię Bóg błogosławi” zdało mu się przywoitszém obróconemu do króla, przeczytać: „Niech Was Bóg błogosławi”. Nie podobało się to królowi:

— Huncwocie, czytaj jak napisano, zawołał — przed obliczem Bożem ja taki jestem huncwot jak i ty.

Po zabawach w tabaczném kollegium, po chudych dworskich obiadkach, których własna córka króla opis nam zostawiła, nie jeden zapragnął innego towarzystwa, trafniejszych żartów, rozmowy wytworniejszej. Znajomi hrabinéj Cosel, zaczęli czasem do niéj przybywać; znudzona kobieta otworzyła drzwi dla garstki téj gości i pocichu wieczorami zbierało się czasem z dworu osób kilka... cichutko, skromnie, bo w Berlinie hałasu robić nikomu nie było wolno.

Król Fryderyk, choć pewnie o tém był uwiadomiony, bo wiedział dobrze o wszystkim, co się u niego w stolicy działo, nie mówił nic. Ośmieliło to kilku młodych dworaków, kilku wojskowych do odwiedzania hrabinéj. Zwykle przychodzili przed wieczorą, a że ona sypiać nie mogła i do pierwszej siadywała, gawędzono dobrze za północ. Drzwi potem otwierały się pocichu i goście rozchodzili się do domów. Nie mogła Cosel posądzac króla, pod którego schroniła się opiekę o wielką miłość dla Augusta; zbyt wielkie były ich życia i charakterów różnice; nie wystrzegano się więc wcale w rozmowach mówić o Dreźnie, co niechęć ku niemu dyktowała.

Przynoszono tu plotki, które ztamtąd dolatywały, a hrabina nie kryła niechęci swójéj dla płochego Augusta. Nie jedna wiadomość ciekawa dostała się ztąd przez młodych, idąc do starych, aż do tabacznego kollegium, gdzie ją królowi w kłębach dymu przy piwie do ucha podano. Naówczas uśmiechał się król Fryderyk, ale głową dziwnie potrząsał i zdawał dziwić, że Cosel była tak śmiała, bo napozór wielką miłość i szacunek wyznawał dla wspaniałego sąsiada.

Jednego wieczoru, gdy się zwykle młodszy goście zebrali u Cosel, niespodziewanie przywłókł się i stary generał, należący do tabacznego kollegium. Ostudziło to w młodszym zapał do swobodnéj rozmowy, ale nie powstrzymało Cosel od powieści zwykłych i wymyślań na króla.

Stary generał głową potrząsał i słuchał, i dziwić się zdawał, i nie dowierzać. Dosiedział tak do północy i dłużej, a gdy się inni wynosili, pozostał nieco. Zdziwiło to nieco Cosel.

Stary, który mówił mało, zbliżył się do niéj, żegnając ją z wielkiém uszanowaniem:

— Pozwoli mi hrabina uczynić jednę małą uwagę — rzekł ochrypłym głosem — bardzo się u niéj przyjemnie czas przepędza, ale choć drzwi zamknięte i okna, dużo ztąd wychodzi na ulicę. Lada wiatr to zanieś nad Elbę; zmarszczy się najjaśniejszy nasz sąsiad na naszego króla, że tu pod jego bokiem takie się rzeczy prawić mogą na jego dobrego sąsiada i sprzymierzeńca. Królowiby to było markotno...

Cosel się zmarszczyła.

— Jakto? — spytała — więc u was w domu własnym między czterema ścianami nie wolno mówić, co kto ma na sercu?

— Mówić wolno — rzekł generał — ale powiedziawszy można gdzie pojechać, choćby się nie życzyło.

— Jakto i ja?

— Kochana hrabino — rzekł wzdychając stary generał — nawet wamby się to mogło przytrafić. U nas tu rygor wojskowy we wszystkim... kraj to taki i porządek... A jabym wam radził grać w tryktrak lub pikietę, bo to rzecz zabawna a za to nie ma biędy.

Cosel spuściła główkę smutnie.

— Myślicie że ja to mówię jako stary gdéra, któremu się coś przywiduje. A! nie, wierzcie mi, że może mi kto szepnął abyście byli ostrzeżeni.

To mówiąc wyszedł generał powoli, a hrabina padła na kanapę, szydersko uśmiechając się sama do siebie.

Nie usłuchała jednak przestrogi, a gdy poufale zebrano się towarzystwo, mówiła wiele, głośno, jakby wyzywając do téj surowości, którój się nie spodziewała.

Jednego poranku zjawił się u drzwi domu generał-gubernator miasta Berlina, Wartesleben. Grzecznie pokłonił się hrabinie, uśmiechnął, pokręcił węsą a potem zapytał: — czyby to prawdą było, że hrabina życzyła sobie zmienić rezydencyę i w spokojniejszym kątku w Halli zamieszkać?

— Ja w Halli? — zdumiona przerwała Cosel — a cóżbym ja robiła w Halli?

— Wié pani, powietrze tam jest bardzo zdrowe, widoki piękne, spokój wielki, wygody wszelkie. Nic przyjemniejszego nad pobyt w Halli.

Cosel nie wiedziała co ma odpowiedzieć zrazu; słuchała tych pochwał coraz bardziej zdziwioną się niemi okazując.

— Ale ja nigdy w życiu nie miałam myśli jechać do Halli.

— Rzecz to jest dziwna — odpowiedział Wartlesleben — Najjaśniejszemu Panu ktoś o tém oznajmił i król wydał rozkazy ażeby tam pani wszelka opieka była daną. Rozporządzenie króla to rzecz nieodwołalna, więc najlepiej już, pojechać do Halli.

Nie mogła długo słowa przemówić Cosel, patrzała milcząca; łzy popłynęły z oczów: załamała dlonie...

— To więc jest rozkaz — odezwała się w końcu — to wygnanie nowe... za co?

— Król sądzi że tam pani będzie lepiej. Hrabina wie, tu w ulicach Berlina łatwo się echo rozchodzi. Każde słowo odbrzmiewa, sięga daleko... tam... w Halli nikt nie usłyszy i większa panuje swoboda. To mówiąc powstał.

— Hrabina może nie jutro, ale nawet pojutrze wyjeżdżać rano — dodał: — Czas jest piękny a podróż można odbywać powoli. Lecz że drogi nie zawsze bezpieczne, król JM. ofiaruje jój kilku ludzi eskorty, którzy aż na miejsce odprowadzą. Jest to z jego strony galanteria bezprzykładna... Za to powinna mu być pani wdzięczną.

Generał Wartlesleben skłonił się bardzo grzecznie, raz i drugi i wyszedł zostawiając hrabinę osłupiałą.

Raz który ją tu osiągnął, nie myliła się, ręka z Drezna wymierzyła. Chciano ją zmusić do milczenia, do poddania się losowi, do ulegania niedoli; oburzał się w niej duch nieugięty, a każdy pocisk taki nową w niej energię pobudzał.

Tegoż dnia hrabina kazała pakować powozy, najmować konie i wierny Zaklika z nawieszoną brwią, wdychając, pracował znowu nie śmiejąc rzec słowa.

Gdy Cosel siadać miała do powozu, kupka ludzi zbiegła się pod jój dom, a widząc tę piękną w czerni kobietę z podniesioną głową, majestatycznym postępującą krokiem do powozu ostawionego konnemi; ludzie strwożeni rozeszli się pocichu i zdało im się że spojrzeli na ofiarę, którą wieziono na rusztowanie.

VII

W ciasnej uliczce miasta Halli, w niepokąnym mieszczańskim domu, nieopodal od gmachu w którym sobie niewiele wymagający kupcy tutejsi i obywatele wydawali bale; w oknach pierwszego piętra, od niejakiego czasu dziwne zjawisko zwracało oczy przechodniów.

Była to kobieta. Całe dni siedziała w tém oknie i patrzała w niebo oczyma, które nic nie widziały, a postawa jój, rysy, wyraz twarzy, piękność anielska, smutek co się na niej malował, zwabiały tłumy ciekawych.

Nikt w Halli nie znał tej kobiety i odniedawna zjawiała się tak w tém oknie smętna, zadumana, nieporuszona, obudzając litość i zdumienie. Całej historii nieszczęścia jakiegoś poza tą chwilą domyślać się było można.

Siedziała dziwnie zamyślona, nieprzytomna; wzrok jój nie spadł nigdy w ulicę na przechodniów, nie zbłąkał się na twarz ludzką: patrzała gdzieś w przeszłość czy w przyszłość. Czasem tylko gdy tłum się zebrał, gdy zaszemrał, gdy młodzież szeptać zaczynała głośno, uciekała od okna strwożona.

Drzwi tego domu stały zawsze zamknięte, nie miała znajomych, nie odwiedzał jój nikt; służa przynosiła jój z sąsiedniej garkuchni jedzenie, niekiedy tylko młody, pięknie ubrany mężczyzna pukał do drzwi, targował się o wnijsie: puszczano go na krótko i smutny nazad odchodził. Studenci zwali go kochankiem pięknej nieznajomej, ale on nań nie wyglądał.

Nie było naówczas w Halli mowy o czém inném, prócz o tém cudnym zjawisku. Tak była piękną ta kobieta, taki wyraz smutku głębokiego miały jój oczy, taką zagadką była ta wielka pani ukryta w ubogim domku. Każdy bowiem domyślał się w niej pani; pańskością tchnęła twarz, a gdy przestraszona odskakiwała od okna, ruchy jój zdradzały nawykłą być i pokazywać się piękną kobietą. Z królewską powagą rzucała się szpiegowana w głąb pokoju i długo potem niewidać było nic, oprócz białej firanki.

Gospodarz domu pytany ostrożnie, gospodyni natarczywie badana przez sąsiadki, służki nawet na które nalegano datkami, miały usta zamknięte. Spytani oglądali się ostrożnie, bojaźliwie i mruczeli ruszając ramionami, że nic a nic nie wiedzą, że to była zdaleka, chora,

obca jakaś niewiasta. Oprócz tych ciekawych jednak, przechadzał się czasami ulicą to jakby przypadkowo zbłąkany żołnierz, spoglądając ku oknom, to jakiś człowiek nieznamy, który tak wyglądał jakby niedawno mundur jakiś z siebie zrzucił. Niekiedy nawet wieczorami pod przeciwległym murem zasiadali żołnierze i niepotrzebnie w ciasnej uliczce spoczywali, jakby z przypadku, choć im tam pewnie bardzo wygodnie nie było. Tą piękną nieznaną o której najrozmaitsze krążyły domysły, była hrabina Cosel; lecz jakżeż teraz zmieniona.

Ostatnia podróż złamała mężstwo kobiety, duszę jej napęliła trwogą, odjęła nadzieję. Smutną była do szalu, rozpaczającą do obłąkania, łzawą i nad wyraz biędną. Zemsta co ją ścigała, była tak długą, niezblaganą, nienasyconą, że po niej już się wszystkiego spodziewać mogła, nawet śmierci.

Z Berlina jeszcze mogła w początkach swobodna ratować się ucieczką: w Halli była już niewolnicą. Zaklika który jej aż tu towarzyszył, doniósł nazajutrz po przybyciu, iż wszystkie wyjścia z domu były strzeżone, że Halla stała się więzieniem. On chodził jeszcze wolny, ona już krokiem ruszyć nie mogła. Chciała do kościoła w niedzielę, widziała jak ją krok w krok ścigano: wróciła. Gospodarz domu i gospodyni byli uniżeni i grzeczni, ale im wcale ufać nie było podobna. Dom ten usłużny urząd pruski wskazał i znać się upewnił, iż w nim niewolnica będzie bezpieczną. Mieszczanin miał lisią twarz i kose wejrzenie, żona jego chodziła niema i blada, obawiając się słowa rozmowy.

Zaklika próbował się do nich zbliżyć, cofnęli się jak od zapowietrzonego. Drugiego czy trzeciego dnia, oznajmiono szambelana van Tinen. Cosel ze wstrętem i oburzeniem kazała mu drzwi otworzyć. Wszedł nader skromny, smutny, zmieszany, jakby nie wiedział co powie.

— Mów pan z czém przybyłeś — odezwała się Cosel — bo wiem że go tu nie litość sprowadziła, ale czyjeś rozkazy.

— Mylisz się pani — rzekł van Tinen — jedno i drugie. Woląłem ja przybyć tu, niżby miano wysłać kogo innego, któryby mniej miał na jej nieszczęście względów.

— Nie miej pan względów — odpowiedziała Cosel — mów otwarcie; cierpię wiele, ale mężstwo w sobie wyrabiam: na wszystko jestem gotową.

— A! gdybyś pani gotową tylko była na jedno — odezwał się van Tinen — na trochę rezygnacyi i łagodności. Wszystkoby jeszcze dało się naprawić. Któż wie?

— Czegóż chcesz odemnie?

Van Tinen westchnął.

— Jam posłaniec, z czém mi kazano, przychodzę: król wymaga od pani tego pisma które jej dał niegdyś... przyrzeczenia...

— I sądzi że mu je oddam, abym z żony spadła na pospolitą zalotnicę, którą mu odpędzić wolno, gdy się nią znuży? Kochany van Tinen — dodała spokojnie — jeśli po to tylko przychodzisz, jedź nazad i powiedz że Cosel nigdy a nigdy nie sprzeda swego honoru!

— Pani, na miłość Boga — począł przysłany — nie zarzekaj się! Możesz uporem swym sprowadzić największe nieszczęście, tak jak zwrotem tego kawalka papieru odzyskać możesz wolność... wszystko...

— Serce Augusta — szepnęła Cosel — a! nie! nie; nie wierzę w nie: niema go tam w tej piersi brylantami obsypanej, złotem opasanej, jak brylanty i złoto ostygłej. Nie odzyskam nic, bom na wieki co najdroższe straciła! nie wierzę w niego i w ludzi!

Powtórzyła mu tylko to co mówiła ciągle. Van Tinen nie poprzestał na tej próbie, siedział parę godzin nie mogąc nic z niej dobyć więcej, ale litując się pozostał dni kilka, dając czas do namysłu.

Każdego tak dnia przybywał, rzeczywiście litując się niedoli hrabiniej; powtarzał pytanie, prośbę, nakłaniał, błagał, a ona z coraz większym odpowiadała mu chłodem.

— Tego papieru nie oddam, w nim honor mój, obrona moja i dzieci moich, które mi wydarto; cześć leży: umrę, ale on go mieć nie będzie.

Drugiego dnia już po przybyciu van Tinena, hrabina zawołała Zaklikę, który wyglądał teraz prawdziwie jak z krzyża zdjęty. Był to szkielec człowieka: żółty, blady, obciągnięty skórą sfaldowaną, straszny, a niemy. Gdy spojrział na ludzi, od tego wzroku nienawiści pełnego, cofali się jak od groźby, czuć w nim było boleść co szuka tylko pozoru aby się stała wściekłą.

Straszno było mówić w tym domu, niebezpiecznie dłuższą prowadzić rozmowę, by w niej zmywy nie posądzono. Zaklika przychodził i wychodził niby coś posługując około sprzętów, coś wynosząc i z czéms wracając, i tak zrywana, rozbita toczyła się rozmowa.

Cosel powiedziała mu krótko: — nieprawda, wszak już jestem uwięzioną?

— Strzegą nas dokoła.

— A ciebie?

— Mnie dotąd nie.

— Trzeba byś mnie porzucił i był wolnym. Zaklika stanął i drżąc począł całować.

— Ja? Was, panią? porzucił? a cóż ja zrobię z sobą? a gdzież się ja podzieję? a do czegoż życie przywiążę? więc chyba iść i w studnię... i umrzeć.

— Nie — odparła Cosel — to nie koniec mojej niewoli; ja go znam: to początek. Potrzeba żebyś ty był wolnym, dlatego ażebyś może mnie uwolnił.

Rajmund się zadumał.

— Potrzeba? mów pani.

— Będziesz wiedział gdzie się znajduję. Ufam ci, obmyślisz środki, postarasz się mnie uwolnić... kilka tysięcy zostało, które Lehmann zachować potrafi; dam kartkę do niego, potrzeba ażebyś je miał.

— Ale ja — oburzył się Zaklika.

— Nie dla siebie, dla mnie trzeba, byś ty je miał.

Spojrzała nań: skłonił głową posłuszny.

— Najprzód idź, spróbuj, pytaj, czy cię puszcza; zdradź mnie: mów że mi służyć nie chcesz, aby ci dali wiarę. Zrób co chcesz. Na piersiach nosisz mój skarb i poniesiesz go: ja ci go powierzam. Rozumiesz mnie Zakliko?

Podawała mu rękę drżącą.

— Jednemu tobie wierzę! w tobie jednym ludzka dusza mieszkała. Nie zdradź mnie ty ostatni!

— Ja? — oburzył się Zaklika — i oczy tak mu dziko błysnęły, że się Cosel cofnęła. Ja? — powtórzył i strząśł się.

— Umrzec mogę, ale zdradzić?

— Więc trzeba żebyś ty był wolnym, bez podejrzenia wolnym... Idź.

Nie można było mówić długo, Rajmund wyszedł: nazajutrz go pół dnia nie było. Powrócił wieczorem, prowadził z sobą najętego sługę i dziękował za służbę.

Cosel miała siłę odegrać scenę gniewu i wyrzutów, bo gospodarz i gospodyni słuchali podedrzwiwami.

Odprawę odłożono do rana, Zaklika poszedł na miasto. Wielka miłość dla tej pani której życie był oddał, uczyła go tego co najmniej umiał: chytrności. Poszedł do urzędu wzywając rady i pomocy, mówił że chciał się uwolnić, że się urodził polskim szlachcicem i nikt go wstrzymywać niema prawa.

Na to rozśmiał się pruski urzędnik, który wiedział ile szlachty polskiej pochwytanéj na granicach chodziło pod karabinami pruskimi, ale mu nie powiedział nic. Może gdyby nie blada twarz i schudzenie, byłby mu dla wzrostu i siły zaciąg do olbrzymów zwiastował; lecz Zaklika nędznie wyglądał, a odkarmić człowieka zbyt było może kosztowném.

Puścić go więc się nie wahano i Zaklika konia kupował na targu. Wrócił jeszcze raz do Cosel, ale już go nie podsłuchiowano wiedząc że się kłóci ze swoją panią i że ją opuszcza.

— Jedź do Drezna — powiedziała Cosel — głoś wszędzie żeś mnie porzucił i czekaj. Lehmann da ci pieniądze, trzymaj je w złocie, miej w pogotowiu. Usłyszysz co się ze mną stanie. Jeśli będę wolną przybądź do mnie, jeśli będę uwięzioną, ratuj. Jeśli byś ściągnął podejrzenie, a pochwycić cię miano, papier który masz przy sobie zedrzyj, połknij, ale go nie daj nikomu. Nie niszc go póty, póki iskierekę będziesz miał nadziei że siebie ocalić i skarb mój ocalić możesz. W ostatniej godzinie — dodała brwi marszcząc chmurno — zniszcz, niech zginie! jak ja ginę; ale niech oni nie wiedzą o tém, niech jak groźba i postrach wisi nad niemi, niech się lękają odkrycia: niech...

Słów i tchu jéj zabrakło, podała mu rękę, którą Zaklika przyklękawszy całował długo i płakał, ale nie wyrzekł i słowa.

Gdy dłoń tę od leż jego mokrą wyrwała Cosel, załamała rękę i zawołała:

— Są jeszcze ludzie i serca...

Zaklika jak pijany, jak nieprzytomny wytoczył się z tego domu, którego drzwi się za nim zamknęły.

Nazajutrz przybywający van Tinen znalazł ją weselszą, spokojniejszą, więcej zrezygnowaną.

Zdawało mu się że namyśliwszy się może zwróci to przyrzeczenie i że się sama zlituje nad sobą; ale wprędce postrzegł że się mylił tłumacząc tak jej uspokojenie. Cosel powiedziała mu gdy wchodził:

— Mój panie van Tinen, jakże mi ciebie żal: nie będziesz w łaskach u króla, nie pokocha cię poczciwy mój kuzyn Loewendahl, nie upoi Flemming i nie dostaniesz ani tysiąca talarów! Ja jestem taka uparta, bezrozumna, szalona! nie prawdaż?

— Więc wszystkie moje starania daremne?

— Tak mój kochany panie van Tinen — dodała pierścień z palca zdejmując — żal mi cię niefortunny bogów posłańcze; chciałabym żebyś choć méj dobrej woli miał pamiątkę: przyjm ten pierścień. Świecił on tym szmaragdem lepszym życia mojego godzinom, nie zdał mi się dziś na nic! Przeszał być pamiątką miłą, bolał mniej jak rana na ręku. Weźmij go, proszę.

Van Tinen przyjął pierścień w milczeniu. Jeszcze próbował ją skłonić, jeszcze chciał mówić. Cosel się rozśmiała dziko.

— Oszczędź sobie pracy a mnie nudy, mój kochany van Tinen; wiem co do słowa co mi powiedzić możesz, ale słowa te odbite od mojego uporu próżne się toczą po ziemi. A! dosyć tego już, dosyć, kiedy się spełni przeznaczenie.

Jeszcze raz na wyjeźdnym przyszedł ów poseł z dosyć smutną twarzą, ale już ani nagląc ani namawiając. Cosel zdziwioną była jego powrotem.

— Żal mi pani — rzekł — tak serdecznie mi żal pani; nie mogę przewidzieć jaki los ją spotka: lecz...

— Wiem że zawsze być musi smutnym dla mnie — odezwała się Cosel — ale to bynajmniej mojego postanowienia nie zmienia. Królewskiej ręki przyrzeczenia danego mi nie zwrócę. Wolno mu było dać to uroczyste poręczenie lub nie, lecz je cofnąć, królowi? słowo? dane kobiecie! oszukać ją! Ja tego nawet przypuścić nie mogę. Nie, taki Flemming lub podły Löwendahl może bez wiedzy króla chcieć je wyzyskać, aby mu je rzucić pod nogi i kazać sobie zapłacić za nie; król tego żądać odemnie nie może. To nie jego wola! Odwróciła się i wyszła. Tegoż dnia van Tinen odjechał.

Dziwne uczucie wioził z sobą: pierwszy raz wysłany spełniał swój obowiązek z zimną krwią i obojętnością dyplomaty, powoli stałość tej kobiety, mężstwo, wytrwanie, charakter jej robiły na nim wrażenie coraz większe, tak że zachwiał się, zawstydził roli którą grał; litość, wstyd ogarnęły nim: czuł się upokorzonym.

Wracał gniewając się więcej na tych co go posłali, niż na tę nieszczęśliwą, co go odprawiła z takim niezachwianém mężstwem w obronie honoru.

Przybywszy do Drezna, van Tinen czas miał spocząć; dwór cały gotował się znowu na wielką uroczystość, która się miała nazajutrz odbyć w Moritzburgu: nie wezwano go więc aby się stawił, bo wszyscy czém inném byli zajęci, a on sam wcale się z raportem z podróży nie spieszył. Rad był że w ten sposób przedłuży przynajmniej niepewność co do losu Cosel, który przewidywał gorszym jeszcze niż był obecny.

Moritzburg właśnie od niedawna, wśród lasów opodal otaczających Drezno, na wspaniałym stawie wzniesiony był dla spoczynku po łowach. Prześlicznie wśród głuchych ostępów i gęstych ścian starodrzewu wydawał się ten zameczek ze swemi wieżyczkami. Całe ówczesne towarzystwo przy królu bawiące zaproszone było na tę gospodę narodów czterech części świata. Mnóstwo cudzoziemców, a z dawnych króla przyjaciółek ks. Teschen, hrabina Königsmarck, obok Denhoffowej i Pocięjowej.

Placem zabawy był rodzaj wału usypanego umyślnie nad wielkim stawem, na którym wzniesiono naprędce sale i gabinety połączone z sobą galeryami i całe strojne w gałęzie i wieńce zielone. Wśród stawu miały się odbywać wyścigi wodne, regaty na gondolach sprowadzonych z Wenecyi i czółnach hollenderskich, dokoła zaś napędzony zwierz dostarczał dla myśliwców zabawy, bo go ścigano, pędzono, szczuto i strzelano aż na stawie.

Tyle się osób zebrało na tę uroczystość, że wszystkie pokoje zamku, zabudowania, namioty rozbito nad stawem; dwa rzędy baraków wystawionych naprędce, nie starczyły

na pomieszczenie i powozy służyć musiały za gospody na nocleg, a inni spali pod gołym niebem wśród drzew... i nazajutrz rano, że nie każdy się kładł bardzo trzeźwym, peruk, szpad i trzewików, po lesie i krzakach szukać musiano.

Van Tinen wmięszal się w tłum, błądził od budy do budy; jakoś ta cała zabawa i wesołość dzięką mu się wydała. Król który tu sam gospodarzył, niezwykłością widoku zadowolony był i wesoły. Nigdy dla dymisjonowanych swych amatorów nie był bardziej uprzejmym i czułym. Denhoffowa płonęła z zazdrości gdy mówił z księżną Teschen, Königsmarck pogardliwym okiem rzucała na Denhoffową, gdy król jęj czynił honory jarmarku.

August cały był zajęty swém dziełem, illuminacją, wspaniałością fety, którą wydał, i nie spoczął aż gdy skończywszy po północy wykonanie programu, siadł z dobrymi przyjaciółmi do puharów i toastów.

Tu językom puszczono wodze, a Flemming, Vitzthum, Friesen mogli mówić dowoli, nawet o tych paniach, dla których August przed chwilą okazywał największe uwielbienie.

Przebrano wszystkie intrygi dworskie i skandaliczne historyjki, o których król lepiej wiedział od innych.

Löwendahl siedział także w końcu stołu.

— Zdaje mi się że tego głodysza van Tinena dziś tu widział — rzekł król z przekonaniem.

— Wrócił z Halli — odparł marszałek kwaśno, spoglądając na króla, który wstał i poszedł z nim w pusty kąt sali.

— Van Tinen był wysłany do Cosel? cóż przywiózł?

— Co zwykle od nięj wszyscy — zamruczał Löwendahl — nikomu jęj nie żal tyle co mnie, lecz z uporem tym niema ratunku.

— Trzeba było w zamian za to pismo ofiarować jęj swobodę i, coby chciała!

— Powiada że go za nic nie sprzeda.

August się zmarszczył.

— Przecież raz skończyć to trzeba — dodał Löwendahl.

— Tak, jutro list wystosować do króla JMości pruskiego, prosząc o wydanie hrabinęj — dokończył król — co dalej ma się zrobić, zobaczymy.

— A tymczasowo dokąd się jęj N. Pan udać każe?

— Niech ją zawiozą na zamek Nossen... namyśli się tam może. Nie mogę ścierpieć tęg zuchwale wypowiedzianęj mi wojny. Dostyc już tego. Głowę mi nią obija Denhoffowa: wiecznie o tęg słyszę.

Dać mi z tęg pokój raz przecie!!

Te słowa królewskie wyrzeczone w zniecierpliwienu i pod wrażeniem rozkołysanęj zabawami wyobraźni, podchwyczone, i nazajutrz zaraz były wypotrzebowane. Przypomniał je Flemming Augustowi.

W liście do króla pruskiego żądając wydania hrabinęj, położono za powód nietylko jęj śmiałe przeciw Augustowi mowy, ale oskarżenie o spisek na jego życie.

Odgróźki publiczne mogły to poniekąd usprawiedliwić.

List wyprawiono przez kuryera do Berlina.

Król Fryderyk ani chwilę się nie wahał; przywołano z jego rozkazu porucznika Ducharmoi z pułku księcia Anhalt-Dessau.

— Udasz się waćpan do Halli — odezwał się król do niego — znajdziesz tam hrabinę Cosel. Weźmiesz ją pod straż, na swą odpowiedzialność i odprowadzisz do granicy Saskięg... tam oddasz ją w ręce oficera, który waćpana pokwituje.

Ducharmoi młody człowiek, ale nawykły do karności wojskowęg, choć mu ta rola wydała się nader przykrą, natychmiast udał się do Halli. Stanąwszy tu bardzo rano, przez uczucie delikatności, nie spieszył tak bardzo z pochwyceniem pani Cosel. Przeszedł się parę razy pod jęj oknami dla upewnienia, że mu nie uszła; zobaczył ją i tęg się uczuł skłonniejszym do postępowania z jak największą delikatnością. Około południa wszedł do domu, który Cosel zajmowała i kazał się jęj oznajmić.

Jakkolwiek hrabina przygotowaną była do takiego końca, widok wojskowego okrył twarz jęj błądosią. Ducharmoi skłoniwszy się oświadczył, że ma rozkaz króla towarzyszenia jęj do granicy, gdzie zostanie oddaną władzom saskim.

Jak piorunem rażona stała hrabina przez chwilę.

— Co za niesprawiedliwość! co za barbarzyństwo! — zawołała i strumień łez puścił się jój z oczów.

Od téj chwili nie wyrzekła już ani słowa.

Kazano zaprzęgać powozy, zniesiono rzeczy; Ducharmoi podał jój rękę; zesłała machinalnie, posłusznie, nie patrząc na nic i na nikogo, rzuciła się w głąb powozu. Ruszyły konie, oddział jazdy pruskiej towarzyszył z porucznikiem na czele. Przez cały czas podróży do saméj granicy, nie dała znaku życia. Powóz się wreszcie zatrzymał; Hrabina drgnęła: przez okna jego zobaczyła znane sobie mundury saskie i oddział, któremu wydaną być miała. W téj chwili przywołała do siebie pana Ducharmoi, który się zbliżył do karety.

Gorączkowo zaczęła szukać po kieszeniach i dobywać, co miała kosztowniejszego przy sobie. Znalazła złote pudełeczko i piękny kameryzowany zegarek: oboje podała oficerowi.

— Weź to pan na pamiątkę odemnie.

Ducharmoi się wzdragał.

— Proszę pana, błagam, weź — dodała — niech to się nie stanie łupem tych obrzydłych sasów.

Wypróżniła woreczek z pieniędzmi, przeznaczając je dla pruskich żołnierzy. Potem znowu rzuciła się w głąb powozu, zapuściła firanki i nie spytała nawet ani dokąd ją wieźć, ani co z nią uczynić miano.

VIII

Z dawnéj służby, która ją otaczała, nie pozostawiono przy hrabinie nikogo: kobiety obce, twarze nieznané ją otaczały. Obejście się wprawdzie było dosyć łagodne i piérwsze życia potrzeby zaspokojone; lecz od chwili, gdy ją w ręce saskich żołnierzy oddano, niewola stała się widoczną... czuć ją było na każdym kroku. Noc tylko przebyła hrabina Cosel w Lipsku.

Rano urzędnik w peruce, przy szpadce, milczący wykonawca z wysoka płynących rozkazów, wszedł do pokoju, w którym noc we łzach i miotaniu się bezsilném spędziła. Niósł z sobą rozkaz na piśmie od króla, zabrania i przejrzenia wszystkiego, co hrabina miała z sobą.

Spojrzała nań okiem pogardliwém, nie chcąc się z nim wdawać w rozmowę. Zabrano i opieczętowano szkatułki, papiery, kosztowności, przerzucono kufry, przebrano suknie, szukając tego, czego znaleźć nikt nie mógł. Upokarzające to przetrząsanie trwało godzin kilka, ocalało od niego ledwie to, co hrabina miała przy sobie i na sobie.

Gdy urzędnik miał już odchodzić, cisnęła mu jeszcze garść pieniędzy i kilka pierścieni w oczy Cosel, i tak milcząca, jak była w czasie ohydneho zaboru tego, co się zwało jój własnością, odwróciła się wzgardliwie.

Któż potrafi odmalować stan duszy kobiety dumnej, namiętnej, czującej się niewinną, a prześladowanej z zimném i obrachowanym okrucieństwem? Naprzemian łzy i gniewy, to omdlenia i do szału podobne obłąkanie i śmiech dziki, obudzały nawet w sługach politowanie nad nieszczęśliwą...

Zaledwie dawszy jój spocząć chwilę, kazano znów siadać do powozu... dokąd? nie mówił nikt.

Oddział żołnierzy na koniach otaczał karecę... jechali do wieczora, pędząc szybko. Na niebie rozognioném po słońca zachodzie, pokazały się mury zamku, wieże, i powóz przez ciemną bramę wjechał w podwórze.

Cosel podniosła oczy. Miejsce jój zupełnie było nieznané. Zamek zdawał się pusty i dawno niezamieszkały. Kilku ludzi oczekiwało u drzwi do niego wiodących. Sługi musiały prowadzić osłabłą po wschodach wązkich, które wiodły na piérwsze piętro. W kilku sklepionych izbach znać było pewne przygotowanie dla jój przyjęcia. Były to stare mieszkania z oknami wązkimi, z ogromnymi kominy, z grubymi mury, odarte, bez ozdób żadnych, ledwie w sprzęt opatrzone, a więzienny mające pozór.

Cosel rzuciła się na łóżko znękana.

Noc przeszła bez snu, w strasznych marzeniach, które rodzi niewola. Miało się na brzask i niebo pochmurne rumieniło się na wschodzie, sługi spały jeszcze... w korytarzu słychać było chodzącą straż tylko, gdy Cosel wstała i pobiegła do okna, które głęboko w framudze osadzone, dzienny blask przez szyby w ołów oprawne przepuszczało.

Widok z tego okna nie mógł jęj nic w życiu widzianego przypomnieć. Przed jęj oczyma rozciągała się równina, daleko lecąca ku sinym lasom na widnokręgu. Wśród nięj gdzieś sterczała kupka drzew, widać było dachy i z za zieleni słupem wspinał się dym ludzkich ognisk ku niebu. Pusto i cicho było dokoła.

Zamek stał na górze, która urwisto spuszczała się ku małej osadzie. Dołem szedł gościniec, sadzony karłowatemi wierzbami. Na gościńcu nikogo... tylko z głowy spuszczone porykując, szło stado krów ku pastwiskom i pastuszek odarty je poganiał...

Okolica była nieznaną.

Z sypialni, w której noc spędziła, cichemi kroki weszła Cosel do drugiej, obszerniejszej komnaty.

W środku jęj stał stół dębowy, przy ścianach dwie ławy i kilka stołków, na murze dwa stare zapylone dziko patrzące wizerunki...

Nad kominem obity, starty, widny był herb jakiś w kamieniu kuty, z którego tylko została tarcza i hełmy. Za tą komnatą sklepioną, jak pierwsza, była jeszcze krągła izdebka w wieżycy z oknem, na drugą zamku stronę. Tędy widać było lasy i wzgórze, i osady, i znowu inny kraj nieznaną, wśród którego na górach jeszcze, parę gniazd rycerskich sterczało.

W krągłej baszcie było nieco sprzętu... pusta szafa w murze, a na jednej jęj pulce, rzucona niegdys, niepodjęta przez nikogo, wałała się stara biblia poszarpana, rozsypana, pogryziona przez myszy i warstwą pyłu okryta.

Cosel schwyciła ją chciwie, ale księga z rąk jęj się wysliznęła i kartami łóznemi rozproszyła po podłodze.

Z izby drugie drzwiczki żelazne, zaryglowane starannie, wiodły już gdzieś w tajemnicze ciche mury zamczyska, w którym głosu życia ludzkiego słycać nie było.

Dzień się robił. Jaskółki latały koło okien, zwiłając się u gniazd swoich. Cosel wróciła do sypialni. Kobiety już się były pobudziły, ofiarując swe usługi. Ona ich nie potrzebowała. Głód zaspokoiwszy trochę ciepłego napoju, który połknęła sama, nie wiedząc co bierze, poszła do okna. We framudze kamienna ława pozwalała usiąść i patrzeć w świat, choć na tym świecie nie było nic, tylko szerokie pole puste i trochę zieleni.

Cosel zwróciła oczy na drogę.

Drogą sunęły się w pole wozy i szli ludzie, pędzono stada; potem tuman kurzu leciał po nięj wirując i osiadał gdzieś daleko zmęczony.

Godziny szły nie policzone. W południe zastawiono jadlo. Jedna z kobiet namawiała do stołu. Cosel poszła i patrząc na swój obiad więzienny rozplakała się.

Inne były owe biesiady gdy przyjmowała królów u siebie, klękających przed jęj czarnymi oczyma. Oczy te nie zgasły, ale szczęście jak mara szyderska pierzchnęło... I znowu Cosel szła do okna i znowu patrzyła na drogę, nie przyznawała się sama przed sobą do tęg nadziei, że na gościńcu kogoś zobaczyć miała. Wierzyła że Zaklika szukać jęj będzie.

Ale tego dnia i następnego na gościńcu nie zobaczyła nikogo oprócz trzód, pastuszków i wozów. Nikt ku zamkowi nie podniósł oczów. Od okna chodziła do okna, dokoła dziko było i pusto. Wieczorem odarty dzieciak zbierał ziele pod murem. Hrabina rzuciła mu ocalony jakiś pieniądz i wychyliwszy się zapytała cichym głosem, jak się zamek nazywa? Dzieciak nie zrozumiał, nie rychło się zebrał na odpowiedź, nie śmiało przebąknął: „Nossen!”... i umknął przerażony.

Imie nawet nie dobrze było jęj znane. Parę razy przypadkiem niegdys obilo się o jęj uszy. Wiedziała teraz że była w okolicy Drezna i Meissen. Ona, co uwolniła Beichlinga, jego braci i współwinných, co osładzała los Böttigera, teraz sama przyszła do gorszej niż oni doznali niewoli!

A z niewoli tęg nie było w świecie człowieka coby ją chciał lub mógł uwolnić. Przyszedł jęj znowu przez myśl Zaklika, ale cóż on mógł jeden przeciw murom, strażom i królowi?

Tak trzeciego popołudnia zadumana spoglądała w dziedzińce, gdy na drodze spostrzegła jeźdźca.

Jechał zwolna od strony Drezna.

Koniowi cugle puścił, rozglądał się ciekawie po okolicy; podniósł głowę ku zamkowi: zdawało się że jeszcze umyślnie zwolnił kroku, czegoś tu szukał oczyma. Opończę miał na sobie szarą; twarz żółta, wychudła przypomniwała wiernego sługę: zadrzała i poczęła białą dawać znaki chustką.

Jeździec dobył podobnej i ocierając nią niby opylone czoło, dał też znak iż spostrzegł ją. Był to w istocie Zaklika. Z postawy, ruchu, choć w dali poznać go mogła. Serce jej silniej uderzyło. Ten przynajmniej człowiek jeden o niej pamiętał... ten jeszcze mógł ją ocalić.

Jadący drogą powoli się tak przesunął oglądając na zamczysko i znikł za obrywem góry.

Zaklika siedział zrazu kilka dni w Halli i czatował. Nie ruszał się ztąd, ażeby mógł w ślad puścić się za hrabiną, wreszcie mu Prusacy precz jechać kazali. Namysliwszy się więc, przebrawszy, ruszył do Drezna. Tu udał się wprost do Lehmana.

Bankier przyjął go widocznie przestraszony, blady; drzwi pozamykał i najprzód pytać zaczął, czy go kto nie widział. Upewniony iż z nikim w Dreźnie ani się spotkał, ani mówił, że wrzekomo służbę porzucił, Lehmann dopiero odetchnął. Długo jednak nie przyszedł do słowa, a gdy mówić zaczął, zdawało się iż szmeru własnej mowy się lęka.

— Wy nic nie wiecie — rzekł — kto to uczynił, trudno zgadnąć; powoli do tego przyjąć musiało zapewne, ale dziś już miary jej nieszczęściu nie będzie. Król w gniewie, a królewski gniew zimny, lodowaty, straszny. Gdy król zły jest tylko, przechodzi mu to prędko; gdy obrażony zawezmie się, nieubłagany jest.

Cosel zgubiona!

Zaklika słuchał tylko.

— Tak, Cosel jest zgubiona — mówił Lehmann — gdy król komu złe wyrządzi, już go ścigać będzie i nie dopuści nigdy do oczu swoich. Cosel mu odmówiła oddania przyrzeczenia jakie jej dał. Ona go nie zwróci, on jej nie przebaczy. Rozkazano zabrać jej wszystko. Löwendahlowi poruczono szukać wszelkiego jej mienia, pieniędzy, klejnotów, summ. Pillnitz zabrano na skarb, inne dobra także.

Król sam polecił szukać i spisać co było, aby, jak mówi, ocalić to dla jej dzieci i wyrwać jej z rąk środki pomsty i uciezki.

Lehmann się zbliżył do Zakliki.

— Odemnie też odebrano wszystko. Król przysłał, sprzeciwić się niepodobna; książki świadczyły.

— Jakto? wszystko! juścić nie tę zatajoną summę, którą mi hrabina u was odebrać poleciła?

To mówiąc dobył zasztytą w rękawie kartkę; bankier wziął ją rękami drżącymi.

— A wiesz ty — spytał — coby było nam dwóm, gdyby tę kartkę i tę summę odkryto? Poszedłbym do Königsteinu, a moje dzieci z torbami. Flemming, Löwendahl i inni chwyciliby radzi zręczność zajrzenia do mojej skrzyni żelaznej.

I ręce mu drżały.

— Więc i tę summę im wydałeś? — zapytał zrozpaczony Zaklika łamiąc ręce.

Lehmann patrzył nań długo, zdawał się walczyć z sobą.

— Słuchaj — rzekł — przysiąż mi najprzód na to co masz najświętszego, że mnie, choćby ci życie wydrzczyć chciano nie zdradzisz...

Z szuflady bióra Lehmann wydobył zastawiony u niego przez ks. Teschen krzyż brylantowy.

— Przysiąż mi na to — zawołał.

Zaklika ujął w ręce krzyż, podniósł palce do góry i zimno rzekł: „przysięgam.” Złożył potem krzyż do szuflady i dodał: odemnie ci nie trzeba było przysięgi, dość szlacheckiego słowa. Nie zdradził Zaklika nikogo i nie zdradzi.

Chmurno nawisła mu brew.

Lehmann patrzył nań a biały był aż do warg, które mu zastygły ze strachu.

— A jeśli u ciebie znajdują pieniądze gdy cię złapią?

— Najprzód, pieniądze własne mieć mogę, choćby i od tych znaczniejsze; potem i hrabina mi je też dać mogła.

— Ale cokolwiek ona miała, to dziś fiscus zabiera; nawet podarki od niej, nawet powierzone klejnoty, cokolwiek należało do niej kiedy.

— Jam nigdy nic nie miał i u mnie nic szukać nie mogą. Dasz mi te pieniądze?

Lehmann się zawahał jeszcze.

— Mogę być nieszczęśliwym przez ciebie, ja i dzieci moje; ale niech nie mam na sumieniu żem nie ratował w nieszczęściu. Bóg jest jeden i nieszczęśliwi u niego wszyscy równi.

Otworzył kufer żelazny, dobył worek i zaczął pocichu liczyć na stole pieniądze. Odetchnął Zaklika i otarł pot z czoła. Spalone wargi szukały napoju: znalazł wodę i wypił całą karafkę; potem siadł zadumany w końcu stoła, oparł się na łokciu i ze zmęczenia usnął.

Gdy Lehmann zajęty liczeniem zwrócił się ku niemu i zobaczył go uśpionym, zrozumiał dopiero co ten człowiek milczący przecierpieć musiał, gdy w tej chwili pierwszej uspokojenia zdjął go mógł taki sen nagły mimo woli i wiedzy.

Na palcach przeszedł do drugiego krzesła izraelita i usiadł czekając niecierpliwie aż się obudzi. Pragnął on bardzo aby to jak najprędzej nadeszło, gdyż mimo litości nad człowiekiem, lękał się go dłużej mieć w swoim domu.

Zaklika który padł ze znużenia, ale w którym dusza czuwała niespokojna, rozbudził się prędko i prawie przestraszony porwał się z siedzenia. Przetarł oczy: wstyd mu było że się tak słabym okazał.

Rzucił okiem na pieniądze, pocichu zgarnął je do trzosa w którym miał trochę swojego grosza i w milczeniu opasał się nim pod suknią.

Lehmann czekał nic nie mówiąc. Gdy wziął za czapkę Zaklika, bankier się zbliżył do niego i rękę mu położył na ramieniu.

— Bogu tylko jednemu wiadomo, czy się kiedy jeszcze zobaczymy — rzekł — żal mi was szczerze, ale jak od pocziwego czynu hamować? Widziałeś mnie żem się lękał, nie miéj za złego człowieka: mam dzieci, a dla nich żyję. Teraz przy rozstaniu nie odmów mi jednéj rzeczy, ale posłuchaj wprzódy. Miałem hrabinéj summy znaczne i długo, w naszych rękach pieniądz się mnoży. Rachunki nasze skończone, popłaciłem wszystko, przecież w takiém nieszczęściu człowiek rachować powinien inaczej: weź jeszcze to dla siebie czy dla niéj i z Bogiem idź!

Wyciągnął woreczek który trzymał ukryty pod suknią, milcząc prawie gwałtem mu go wcisnął do ręki i dodał:

— Nie byłeś u mnie, nie znasz mnie: ja ciebie nie znam.

— To dla niéj — rzekł Zaklika ściskając go za rękę.

— Wyjdz ogrodem — dodał izraelita.

Bał się nadto będąc znajomym pokazać w mieście Rajmund, aźby nie obmyślił co miał czynić. Na przedmieściu nad Elbą zostawił był konia. Stał tam jeszcze wówczas nie jeden domek Wendów, którzy dawniej po całym byli Dreznie rozsiani, choć z nich dziś nie zostało nic. Za owych czasów gdy przy dworze wisiał, jak mówił, Zaklika nie mając co robić, włóczył się często po przedmieściach: tu go uderzyła mowa do jego własnej podobna. Słuchał długo rozmawiających z sobą Serbów tutejszych i językiem swym zabrał z niemi znajomość. Rybak z którym się najpierw poznał zwał się Hawlik, zaprowadził go do swojego ubogiego domu i tak zawiązała się między niemi drużba, która w trwałą przeszła przyjaźń.

Hawlik był katolikiem, Zaklika mu dziecko trzymał do chrztu i pokumawszy się z nim, polubił prostych ludzi. Rodzina była dosyć biédna. Niegdyś mieli oni tu spory pas ziemi, ale im się nie wiodło; z każdego ich nieszczęścia jakiś Niemiec skorzystał: sprzedawali tak kawałami ojcowiznę, aż mało co jéj zostało.

Grunt Hawlika przypierał do brzegu rzeki, a ciągnął się ogrodem aż na wyniosły jéj brzeg, ale mało z tej piaszczytej ziemi było pożytku. Hawlik téż rolnikiem nie był, wolał stawiać więcierze, isć z niewodem lub z wędką. Czasem się téż poszczęściło na ryby. Życie było ubogie, smutne, lecz się wlokło jakoś z końca w koniec roku.

Zaklika przychodził dawniej do nich często, siadał pod chatą z niemi wieczorami i tak rozmawiali długo o swéj biédzie. Wend lepsze czasy pamiętał, wszystko to w okół było nasze, mówił, ale różnemi sposoby wyzęgli nas z ojcowizny; teraz się swoim językiem odezwać straszno, a wkrótce nas nie będzie, chyba na cmentarzu szukać; albo trzeba zostać czém nas Bóg nie stworzył, lub wymierać. Po miastach nas nie dopuszczą do niczego: dość by kto Wendem był, aby go popchnięto. Maleje liczba nasza, widzimy jak ginimy, a niema na to ratunku. Znać Bóg skazał na bezpotomny zgon.

A gdy się im z serca wyrwała ich stara pieśń serbska, nie wazyli się jéj nucić, chyba po nocy i pocichu i dzieci się jéj uczyły ukradkiem.

U Hawlików stawał Zaklika ilekroć mu trzeba było niewidzialnemu być w mieście, dla konia był chłew, choć niepokazny, dla niego posłanie na górce, i misa kaszy na wieczręę i szklanka piwa, ale serca pocziwe i dłonie serdeczne.

I teraz u nich gościł, radzi mu byli. Nigdy też o nic nie pytali, ani co robił, ani pogo przybył; tylko czy mu się na świecie wiodło, choć z twarzy widzieli że nie bardzo.

Poszedł do nich nocować Zaklika i z myślami się biedzić. Nie wiedział czy mu bezpiecznie się tu pokazać aby języka dostać, i czy go albo nie uwiężą lub nie zatrzymają. Rankiem nazajutrz ostrożnie się zakapturzywszy poszedł mostem naprzeciw Narrenhausu. Tak mu się zdało, iż Fröhlicha spotkawszy najbezpieczniej się od niego coś dowiedzieć potrafi. Stary Fröhlich o swęj godzinie szedł lub jechał zawsze, na zamku pełnić służbę, która się zaczynała od śniadania. Można było być pewnym, że się go u mostu o dziewiątej spotka. Dla większego bezpieczeństwa Zaklika usiadł na wschodkach domu Fröhlicha, aby go minąć nie mógł. Jakoż o godzinie naznaczonej stary trefniś ze swym spiczastym kapeluszem i srebrnym kluczem był u drzwi. Zobaczywszy siedzącego, poczał go nogą trącać niepoznając.

— Hej, mości panie! jakże mam nazywać? czy mój dom bierzecie za gospodę?

Zaklika się odwrócił, trefniś go poznał.

— Co się to z was zrobiło, mości Unglücku? — zawołał — wyglądasz jakbyś się ożenił? Hej?

— Powracam z podróży?

— Katolik! prawda? to chyba z czyśca?

— Włóczyłem się po świecie — odparł Zaklika — cóż się tu u was dzieje?

— Co? chcesz żebym ja ci historyografem był tego co na wołowej skórze nie spisać? — rozśmiał się Fröhlich. — Co się u nas dzieje? dobryś! Spytaj co się u nas nie dzieje?

Chwycił się za głowę.

— Nie wiecie co się z moją dawną panią stało? — zapytał Zaklika...

— Ani nawet kto była twoja dawna pani?

— Hrabina Cosel.

Fröhlich obejrzał się i palec położył na ustach.

— Cyt! na Boga! któż to imie wspomina? przy królu tego imienia wymówić nie można. Śmiać się niema z czego, a ty wiesz że ja śmiechem żyję i pewnie umrę ze śmiechu².

— Ale powiedzże mi choć co się z nią stało.

— Jakto? ty nic nie wiesz? gdzieś był?

— Daleko...

— Myślę że i daleko o tém mówić muszą. Ta w której niewoli był pan nasz lat ośm, jest pono w niewoli u niego... i potrwa dłużej jęj niewola niż panowanie trwało.

— A gdzie jest? — zapytał Zaklika.

— Mówią że siedzi gdzieś na zamku w Nossen, ale dla nięj pewnie co paradniejszego zbudują — rozśmiał się Fröhlich z nalogu a smutnie. Nie! nie! niechciałbym być kobiętą. Prawdę rzekłszy i mężczyzną być nie dobrze... a ci śpiewacy włoscy co są nijakiego rodzaju, mówią że im też na świecie niekoniecznie wyśmienicie — paplał Fröhlich — gdybym miał do wyboru, chciałbym być... osłem. Mięsa osłego nie jedzą, skóra gruba od kija broni, a gdy długouchy aręj śpiewa, wszyscy uciekają i spokojny: dodaj że apetyt nie wymyślny i starą miotłą żywić się umie.

Możę być szczęśliwsza istota?

— Nossen! Nossen! — powtarzał zamyślony Zaklika zapomniawszy o trefnisiu.

— Ja o osłe a ty o Nossen! co ci po tém Nossen, nie gadajmy o smutnych rzeczach: bądź zdrów.

Fröhlich włożywszy urzędowy swój uśmiech na usta poszedł, Zaklika został.

Łatwo mu było od Hawlików dowiedzieć się o zamku i drodze do niego i tegoż dnia niepokazując się nikomu ruszył po nad Elbą wskazanym mu gościńcem.

Uradowało go to, że właśnie przybywającego zobaczyła zaraz Cosel, domyślił się jęj po białęj chustce, a czuł że jęj z sobą pociechę przyniesie.

²pewnie umrę ze śmiechu — Fröhlich istotnie ze śmiechu umarł w Warszawie, zob. Dr. Vehse. [przypis autorski]

W gospodzie konia postawiwszy, że tu już sami siedzieli Niemcy, Zaklika handlarza grał rolę i skór pytał, i tak się rozgościł pod „złotą podkową”, a niby za towarem chodząc miał czas powoli zamek oglądać.

Były to opuszczone mury, a straż przy Cosel z kilku ledwie składała się ludzi. Nie wpuszczano tam nikogo, ale pilności zbytniej nie było. Okna od mieszkania wysoko stały w murach, nikomu na myśl nie przyszło aby niemi uciekać można; to też i straży u okien żadnej nie postrzegł Zaklika. Żołnierze fajki palili w podwórzu i na korytarzach u drzwi hrabiniej.

Od tyłów zamku podejść nawet pod okna było łatwo, ale że góra była łysa, zewsząd widna, z gościńca mogli ludzie dopatrzeć i wydać.

Ażeby mieć pozór do dłuższego pobytu, drugiej nocy stękać zaczął Zaklika że zachorzał i po kościach mu łamało, że pilno mu było w dalszą drogę, a tu może spoczywać przyjdzie, póki się nie wylize.

Gospodarz z pod złotej podkowy wcale się nie gniewał za to, mając do żywienia konia i człowieka; owszem znajdował iż ostrożność radziła dobrze się wyleżeć i wypocząć, ażby łamanie i darcie odeszło, ku czemu sadło niedźwiedzie w pomoc ofiarował.

Przy wieczerzy już się też rozgadać było można z panem Wuischem, który trzymał gospodę. Zaklika tak się był po sasku wyuczył, że go po wymowie ani było poznać. Szepnął mu zaraz gospodarz, iż na zamek tę panią przywieźli, która na życie króla godziła. Od niego dowiedział się też Rajmund ilu stało żołnierzy na warcie w zamku i jakie przedsiębrano ostrożności. Dwie kobiety, starsza ochmistrzyni i garderobiana, a oprócz tego kucharz i chłopiec składali teraz cały dwór tej pani, której wprzódy złocista ciżba skinienia patrzyła.

Prawiono dziwy o uwięzionej...

Zaklika został niepodejrzany na drugi dzień, a że dał parę talarów gospodarzowi na zatargowanie skór, bezpieczniejszy już, poszedł z południa niby zamek oglądać i okolicę.

Od jednej strony kędy były lasy i pusty gościńiec, prawie niepostrzeżonemu przez zarośla i krzaki podkraść się było można pod mury. Z tej jednak strony czy wychodziło jakie okno mieszkania Cosel, nie wiedział i musiał to do dalszego zostawić badania.

Wieczorem wziął drugą porcję niedźwiedziego sadła u gospodarza i położył się myślać, jakby mu zamydlić oczy i pobyt w gospodzie przeciągnąć.

IX

Rano gdy przy piwie grzaném siedział w izbie Zaklika, weszło trzech żołnierzy ze straży zamkowej na piwo też, z wielkim hałasem, bo dawniej żołnierstwo nie chodziło inaczej.

Zaklika w nich poznał zaraz dawniej widywanych na strażach u dworu, i jeden też z nich pilno przypatrywać mu się zaczął.

— Hej! hej! — rzekł sparszy się oburącz na stole — my bo się gdzieś znamy?

— Pewnie — odparł Zaklika — bom ci to ja dworsko służył długo, pókim się do handlu nie rzucił, gdy mi ten chleb zbrzydł. Nierazem ja was też na straży u króla pana miłościwego widział.

— A! toś ten co łamiesz podkowy! — zawołał żołnierz.

— Bywało to, bywało, żem i wołu za róg wzięwszy w miejscu osadził, ale teraz już i z baranem nie wiem czybym tej sztuki dokazał.

Żołnierz mu się skłonił uśmiechając i podparł na stole. Zaklika o piwo dla niego zawołał: przyjaźń się zawiązała dobra...

— No! dostało się nam za pokutę — odezwał się żołnierz — na wartę do Nossen! koło kogo? spódnicy pilnować! Nudno, choć się powiesić.

Żeby choć byli dodali hrabiniej z parę ładnych dziewcząt, ale ochmistrzyni pięćdziesiąt lat, garderobiana ze czterdzieści. Nawet na tej pustyni niema ochoty z niemi pobarasz-kować.

— A długoż będziecie tu siedzieć?

— Któż to może wiedzieć? Już ze snu człowiek puchnie, bo niema co robić, tylko o mur plecami i chrap...

— W kartyby można grać — rzekł Zaklika.

— Z kim, o co? mało przy nas grosza, i ochota odpadła...

Ziewnął pijąc piwo, znajomość pożyteczna została zrobiona. Gdy żołnierze po piwie szli do zamku, Zaklika, zagadawszy się niby odprowadzać ich zaczął, coraz dalej, coraz dalej aż do bramy, aż w dziedzińcu i tak niepostrzeżony się aż na korytarze się wsunął.

Reszta żołnierzy biwakująca na słomie, nie dziwiła się przybyszowi; owszem radzi mu byli: siadł z niemi do gawędy i rozruszał znudzonych... Znalazły się karty, przegrał im parę talarów... Dopieroż byli radzi. Gdy odchodził, ciekawość go niby wzięła zamek zobaczyć i tak jawnie się poszedł przejść pod mury, ani mu kto słowo rzekł. Oficer był w miasteczku i grał na gitarze córce rzeźnika.

Jednakże tego dnia więcej nad to dokazać mu się nie udało.

Zaklika chorując ciągle, targując skóry, marudząc, starał się wkraść do zamku; nieposadzano go wcale, jednakże trudności były wielkie, z samego położenia wynikające. Część zamku w której osadzono hrabinę przytykała do drugiej prawie pustej; mieścił się w niej oficer i stary murgrabia z rodziną, który zawiadywał ruiną. Przez żołnierzy potrafił z nim zawiązać znajomość Rajmund i starał się go poznać bliżej. Człek był obarczony rodziną, chciwy i skąpy. Częstując go za swój grosz, wywiedział się powoli w którą stronę okna mieszkania hrabinę wychodziły i że drzwi żelazne od baszty od których miał klucze murgrabia otwierały się na wielką salę, w której z dawna niepotrzebne urzędowe papiery składano, mając kiedyś do zamku sądy i urzędy powiatowe przeprowadzić. Zaklika wielką okazywał ciekawość ku starym gmachom, radby był zamek oglądać, ale na to stary dozorca zmilczał. Innego dnia rozgadali się o hrabinę, a Polak usiłował ku niej zajęcie i litość obudzić w murgrabi. Popatrzyli na siebie... zmilczał.

— Hrabinie — rzekł Zaklika — pozostało wielu przyjaciół na dworze i są ludzie co zapewniają że kiedyś może jeszcze do władzy powrócić. Nie dziwiłbym się panie Herzog, gdyby który się tu zjawił i waćpanu piękny grosz ofiarował za to, żebyś tylko chwilkę rozmowy z hrabiną ułatwił?

Spojrzał na starego Herzoga, który sobie dłonią brodę gładził mruczając.

— Cóżbyście wy poczęli w takim razie? — zapytał Zaklika.

— Byłaby to dyabelska pokusa — odparł stary — zrobiłbym jak Luter: palnąłbym dyabła w łeb kałamarzem.

Ale stary się uśmiechał.

— A gdyby wam dano trzydzieści talarów? — spytał Rajmund.

— I za talarów trzydzieści poszedłbym na szubienicę — rozśmiał się Herzog. — Wielkim panom to się może upieć gdy co podobnego zrobią, ale chudych pacholków wiodą na rynek i pod stryżek.

— A! nie takąż to wielka winowajczyni hrabina, ani takby to wielka była wina dać jej pomówić dwa słowa z przyjacielem...

Takto się gada — dodał Zaklika — aby się gadało, ano gdyby się przyjaciel znalazł, dałby pewnie i pięćdziesiąt.

Herzog popatrzył wielkimi oczyma, usta jak do świstania ściągął i brodę pogładził. Minę miał śmieszna, sama myśl pięćdziesięciu talarów szła mu jak napój mocny do głowy.

— Jeśli asindziej wiesz o takim przyjacielu hrabinę, co mógłby dać bitych, twardych talarów pięćdziesiąt, to mu odemnie powiedz niech przyjdzie: pogadamy. Obejrawszy się wkoło Zaklika rzekł:

— Masz go przed sobą.

— Tegom się zrazu domyślał.

— Obawiać się nie macie czego, żołnierze mnie znają i jestem z niemi dobrze. Zaprowadzicie mnie do sali w tej godzinie, gdy kobiet nie ma przy hrabinie, gdy ona sama; zapukamy do drzwi... rozmowa długa nie będzie.

— Gdyby nie te baby, co przy niej są — mruknął Herzog — wszystkoby było łatwem. To nieszczęście, że one się tam mieniają i jedna zawsze siedzi.

— Niech je obiedwie żona wasza zaprosi.

— A! baba o niczem wiedzieć nie powinna.

— Spodziewam się — rzekł Zaklika — ależ ona może zaprosić, nie wiedząc dlaczego... to wasza sprawa.

Narady te trwały długo, Herzog, człek już bywały do takich robót, wiele okazywał zdolności, byle grosza dostał. Zdało mu się też, iż nieszczęśliwa kobieta nie mogła być tak ważnym więźniem stanu.

Jednego tedy dnia, gdy hrabina przechadzała się po sypialni, usłyszała zrazu nieśmiało, potem coraz wyraźniejsze do drzwi żelaznych w baszcie pukanie. Z bijącym sercem pobięła do nich i ze swęj strony uderzyła w nie. Natychmiast zamek się odryglował, drzwi w zawiasach uchyliły i Zaklika się w nich ukazał.

— Mam tyle tylko czasu, aby pani oznajmić, że jestem tu i będę w okolicy; będę czekać, a co uczynić się tylko da — zrobię.

— Ułatwić ucieczkę! ucieczkę! — poczęła żywo Cosel, — umrę zaduszona tём powietrzem. Staraj się, płąć, czyń co chcesz!

— To dotąd jest prawie niepodobnym, a przynajmniej wymaga czasu — żywo rzekł Zaklika — spuśćcie się na mnie, iż uczynię co tylko w mocy człowieka. Z okna, które wychodzi na tył od baszty, spuśćcie sznurek szary; ponieważ drugi raz rozmowa może być niepodobną, szukajcie na nim kartki.

Oznajmię co zrobię.

Herzog naglił. Zaklika worek z częścią pieniędzy wsunął hrabinie i szepnął: jedną służę trzeba kupić. Stoję w gospodzie na dole „złota podkowa”...

Drzwi się za nim zamknęły, bo kobiety mogły nadejść; ale w hrabinę duch wstąpił: skłonna do modlitwy, podziękowała Opatrzności, składając ręce i szepcząc dziękczynne wyrazy.

Zaklika, ten sługa biédny, na którego ona z góry swojego królewskiego majestatu zaledwie spoglądać raczyła, nie zdradził ją przecie!

Herzog wziął pięćdziesiąt bitych talarów z nieukrywaną radością. Łatwe ich zdobycie zlakomiło go... Powiedział sobie w duchu, że należało tę dojną krowę spożytkować i wyciągnąć z niej, co tylko się da. Nie tyle więc teraz Zaklika za nim, ile on za Zakliką gonił.

Ten już osnuwał projekt uwolnienia hrabinéj, a wykonanie prawie mu się zdawało możliwym, choć wielkiego potrzebowało przygotowania.

Herzog z chęcią go nazajutrz oprowadził po zamku i pokazał mu całą dawną budowę. Była ona niegdyś obronna, a ze starych murów, podcieniów, przejść, pozostały ganki, którymi i na zamek się dostać, i z zamku dobyć było można. Jedna taka wycieczka wychodziła prawie na gościniec, a choć jéj dawne drzwi zawalone były gruzami, oczyścić je było łatwo.

Ale nie dosyć było z zamku wyjść, należało obmyślić środki uciezki szybkiéj do granicy i miejsce schronienia, którego by August nie mógł dosiędz tak łatwo. Stosunki ówczesne z dworem cesarskim i pruskim, nic na ich opiekę rachować nie dozwalały. Zaklika sądził, iż gdyby się udało przebyć Szlązk i dostać do Polski, tam jeszcze najbezpieczniejsze znalazłoby się schronienie. Chociaż stosunki jego z krajem oddawna były zerwane, miał znajomych, krewnych dalekich i powinowatych, a wiedział że Sas, oprócz stronników, miał téż mnogich nieprzyjaciół.

Zebrać jednak konie, ludzi i wszystko co było potrzeba do uciezki, wcale niełatwym się zdało w Saxonii, gdzie dwór miał szpiegów i czujne oko na wszystkich.

Zaklika przywiązał kartkę do sznura nazajutrz i oznajmił, iż jedzie się starać, a przygotowywać do uwolnienia hrabinéj. Z Herzogiem zaś na wyjezdnie w cztery oczy pogadał, nie wyjaśniając mu nic, a łakomiąc obietnicą nie pięćdziesięciu już, ale choćby tysiąca, jeśliby do ważniejszój sprawy przyszło.

— Z tysiącem talarów cichusieńko moglibyście wyciągnąć gdzie nad Ren, wysławszy wprzódy familią i żylibyście w własnéj chacie, jak u Boga za piecem.

Stary nic nie odpowiedział, głową trząsł.

Z żołnierzami na wyjezdnie, napiwszy się piwa i pożegnawszy ich do widzenia, pod pozorem że tu znów za skórą przybędzie, Zaklika ruszył nazad do Drezna. Pieniądze, jakie mu Lehmann wyczytał, mogły na wszystko starczyć, lecz uciezka musiała je wyczerpać; myślał więc, że gdyby się tylko do Polski udało dostać, tamby już innego trzeba szukać ratunku.

Cosel została po odjeździe jego z rodzajem gorączki, wyczekując nowych wieści. Codzień biegała do okna, ściągała sznurek próżny, spodziewała się jakiegóś wiadomości. Nie obrachowywała trudności. Zdało jéj się, że człowiek ten musi i powinien ją natychmiast uwolnić, gdy mu objawiła wolę swoję; tymczasem przedsięwzięła zyskać jedną ze służ, którą jéj narzucono.

Obiedwie były chmurne i nieprzyjemne; młodsza wszakże miała poruszenia litościwsze i łagodniejszą twarz. Z nią czasem choć kilka słów przemówić było można. Cosel nie miała zwyczaju inaczej się obchodzić nawet z osobami obcymi, tylko jak królowa do wszystkich mówiła *ty* i zapewniała o swęj łasce. Chodziła, choć uwięziona, zawsze w tym majestacie dawnęj wielkości, czując się małżonką króla.

Nieinaczej też odzywała się i do Magdaleny, młodszej sługi, z którą jednak powoli do łagodniejszego zesła tonu. Nie potrafiła ją jednak sobie przyswoić, aż narzekając na jęj towarzyszkę i obudzając między niemi nienawiść. Pieniężne podarki potajemne, podziały lepiej jeszcze, ale miesiąc upłynął, nim potrafiła się o jęj życzliwości dla siebie zapewnić.

Zakliki z powrotem widać nie było. Utrudniało mu w Dreźnie zachody, to, iż go powszechnie znano, i że szukanie powozu a koni, musiało podejrzenie obudzać. Trzeba było nadzwyczajnej przebiegłości jego, ażeby wszystko to zebrać, skupić, człowieka dostać i wcale na siebie oczów nie zwrócić. Przez Wenda swego porobił znajomości w Budziszynie i tam założył główną kwaterę.

Tym sposobem znikł z oczów dworu, a za pretekst służyło mu, iż to dla jednego z panów polskich przysposabiał, którego rychło już z Königsteinu miano uwolnić, aby miał czém powracać do kraju.

Wiele to jednak zabrało czasu i jesień przyszła, i zima, a w tęg porze ucieczka była trudniejszą, drogi gorsze, ślady do wynalezienia łatwiejsze. Zaklika dostał się do Nossen, prosząc o cierpliwość do wiosny. Herzog kazał sobie zapłacić znowu, lecz drzwi otworzył, gdy Magdalena przypuszczona do tajemnicy, stała na straży. Mogła się więc Cosel rozmówić dłużej i umówić dokładniej, tak że ucieczka na piérwsze dni wiosny odłożoną została. Nie było wątpliwości, iż Herzog skuszony zapłatą ułatwi ją.

Zima w tym roku była długą i ciężką, a tego rodzaju przedsięwzięcia, gdy się wloką i odkładają, czas do rozmyślu i strachu zbytńi dają pomocnikom. Herzog nieco podpity, wybąknął coś przed żoną: resztę ona z niego dobyła. Niewiasta przemyślna znajdowała, że kto zdradza, ten już na wsze strony zdradzać i wszelką możliwą korzyść ze swęj niepoczciwości ciągnąć powinien. Zdaniem jęj więc było, udać zdradę, aby pieniądze dostać, a wydać Zaklikę i hrabinę, żeby miejsca i łaski nie postradać: tęg lepszym się to zdawało, że w takim razie nigdzie się już wynosić nie potrzebowali.

Herzog brodę gładził nic nie mówiąc: uśmiechała mu się ta trafna myśl zacnęj małżonki. Czekano tylko wiosny. Cosel uspokojona nieco nadzieją swobody przy zbliżających się świętach Bożego-Narodzenia, hojnym podarkiem ujęła obiedwie kobiety. Zaklika świętować miał z Serbami swoimi między Budziszynem a Dreznem.

Hrabina tak pewną była Magdaleny, iż się przed nią mimowolnie zdradzała... chciała by jęj towarzyszyła, gdyby z wiosną, co się w losach jęj miało odmienić. Kobiecie to wszystko wiele dało do myślenia, strach ją ogarniał. Walczyła z sobą... Pod pozorem widzenia się z rodziną wyprosiła się na dni kilka do Drezna. Siostra jęj była przy dworze Denhoffówj: pojechała do nięj. Tu naradziły się z sobą niewiasty i z narady wypadło, ażeby wszystko zanieść do pani marszałkowej Bielińskięj, a nagroda wspaniała nie minie.

Można sobie wystawić przerażenie kobiet, gdy jak piorun spadła na nie wiadomość, iż Cosel mogła się ratować ucieczką. Wnet zwołano Löwendahl'a. Piérwszym skutkiem było przyaresztowanie kobiet obu.

Tegoż samego dnia jeszcze, nowy oddział żołniérzy poszedł zmienić stojący w Nossen; podwojono straże, wzięto murgrabiego i okutego zawieziono do Drezna. W nocy pod oknami zaciągnęły warty. Cosel, budząc się, znalazła w przedpokoju oficera nieznanomego, który wraz z urzędnikiem poleconém miał przetrząśnienie papierów, rzeczy, przeszukanie mieszkania, wypróbowanie drzwi i zamków.

Na widok tych groźnych przygotowań gniew nią owładnął, lecz cóż mogła przeciwko sile? Nie śmiała pytać o nic, a lękała się żeby Zaklika nie został odkryty i uwięziony. Szczęściem po nazwisku nikt go tu nie znał, miał bowiem ostrożność zwać się wcale inaczej, a z opisu twarzy trudno było go ściagać.

Kartka Zakliki, którą hrabina z pomocą sznurka ściągnęła, zręcznie przez nią została zniszczoną w obecności tych co ją odebrać chcieli. Dowodów zamierzonej ucieczki nie było żadnych, oprócz powieści służącęj. Jednakże życie w Nossen od tego dnia stokroć się stało nieznośniejszym. Przysłano sługi nowe, wylękle i obchodzące się z hrabiną z surowością nielitościwą. Broniła ją tylko duma i milczenie.

Po wyjściu urzędnika pozostały oficer, mimo bardzo nasępionej twarzy, litościwszego serca niż inni, zbliżył się do hrabinę ze współczuciem.

— Pani hrabina nie przypomni sobie pewnie biédnego chłopca, którego nieraz w straży przy królu towarzyszącego w lepszych czasach N. Panu widziała — rzekł cicho. — Pełnię tu smutny i ciężki obowiązek; wiesz pani tylko dla tego się nie wymawiając od niego, abym mógł pani oszczędzić nieco boleści. A! nie pogarszaj pani położenia swego.

Cosel dumnie nań spojrzała.

— Chcesz mi dowieść współczucia — zawołała — powiedz mi co odkryto? kto? jakim sposobem?

— Szczegółów nie wiem — odezwał się oficer — rozkazy wyszły od króla przez marszałka Löwendahla. Służbę całą zmienić kazano. Dozorca zamku wzięty na śledztwo i badanie.

— Kto więc?

— Zdaje mi się że oprócz sług nikt — rzekł oficer. — Będę przychodził codzień — dodał — będę nad miarę surowym przy ludziach, ale w czém potrafię, pomogę i radbym przynieść ulgę.

Skłonił się i wyszedł.

W trwodze i niepewności upłynęło dni kilka. Zaklika który w Dreznie dowiedział się z odgłosu powszechnego, iż zamiar ucieczki z Nossen odkryto... przyczaił się czekając ażali jego ścigać nie będą. Rozumiał to dobrze iż mu się pokazać około Nossen nie można, a czuł zarazem iż oznajmić należało hrabinie że jest wolnym, że zatem na niego jeszcze liczyć może.

Nocami więc przebrany za żebraka przekradł się do zamku. We dnie z sąsiednich za-rosli dopatrzył że w oknie sznurka nie było i żołnierz pod nim przechadzał się na straży. Trudném się stało oznajmienie o sobie hrabinę, łamał głowę napróżno jak tego dokaże. Włócząc się mimo mrozu i śniegu po okolicy, drugiego dnia napotkał wózek wędrownego przekupnia, który po wsiach i miasteczkach rozwoził towary zwykłe na podarki wili Bożego Narodzenia. Handel naówczas nie był tak ożywionym jak dzisiaj, wędrowni przekupnie dostarczali ze stolicy wymyślniejszego towaru.

Zjeżdżał zwykle z wózkiem lub na plecach noszoną króbką przekupień do gospody wsi i miasteczka, schodziły się kobiety rozpatrywać w towarze. Do znaczniejszych domów przybywał sam handlarz i rozkładał swój towar pokuszający.

Ujrawszy ciągnącego ku Nossen starego z Drezna znanego mu przekupnia, Zaklika go zatrzymał. Przypomnieli się sobie, bo u niego dla swoich Wéndów nieraz podarki kupował.

— W Nossen — rzekł — możecie mości Treue zrobić dobre interesa: na zamku siedzi hrabina Cosel. Choć uwięziona, sług koło niej dosyć, a grosz pewnie ma i podarki na święta zrobić zechce. Byle się tam wam do niej dostać, pewnie u was dużo kupi.

Treuemu aż oczy zabłyszczały.

— Dziękuję — zawołał podając rękę — za dobrą radę, na myślby mi to nie przyszło!

— Biédna to teraz kobiéta, dodał Zaklika, ale jój resztki więcéj warte niż nasze bogactwa... A słuchajcie panie Treue, jak się tam wproście do niej, to jój pocichu starego sługę przypomnijcie, bom ja nigdy u niej służywał.

— A cóż powiem? — zapytał Treue.

— Powiedzcie jój że wierny jój sługa co podkowy łamał, żyje i chodzi po bożym świecie.

— A z Nossen dokąd pociągniecie? — zapytał przy rozstaniu Rajmund.

— Z Nossen już chyba nazad do domu, bo i święta zapasem, to je z dziećmi i żoną przebyć trzeba! — rzekł w głowę się skrobiąc Treue.

— No, to może do zobaczenia gdzie na gościńcu, bo ja za zajęciami chodzę, to się może spotkamy.

Treue jak wszyscy handlarze, gdy im o zysk chodzi, umiał sobie radzić. Przybywszy do miasteczka, odpocząwszy, udał się zaraz na zamek. Żołnierze go precz chcieli odpędzić; narobił wrzawy takiej, że aż oficer wyszedł. Z tym łatwiej się było porozumieć, ale posłał wprzódy zapytać hrabinę, czyby co kupić chciała. Dla samej rozrywki i widzenia nowéj twarzy, Cosel kazała puścić przekupnia.

Nędzny był kramik biédnego Treue i nie dla tak pańskich przeznaczony oczu, ale w osamotnieniu i niewoli wszystko rozrywka. Roztargnioną ręką rozrzuciła pogardliwie te ubogie towary Cosel, gdy Treue dopatrzywszy chwili w której nikogo nie było, zbliżył się do niej i rzekł pocichu:

— Kazano mi powiedzieć pani, że jój wierny sługa co łamał podkowy, żyje i chodzi zdrów po bożym świecie.

Zdziwił się niezmiernie Treue, gdy ujrzał na twarzy hrabinój jakby blask nowego życia, promień radości który ją przeleciał i oświecił.

— Kto ci to powiedział? — spytała.

— On sam, on sam, jasna pani — odparł Treue — spotkałem go tu w okolicy podobno na myślístwie.

Po tych słowach hrabina szybko zakupiła co jój pod rękę wpadło i Treue zdziwił się nie pomału jak mu szło w targu szczęśliwie. Nakupiwszy podarków dla służby, kazawszy sobie powtórzyć słowa te, które ją o Zaklikę uspokajały, hrabina odprawiła Treuego. Wyszedł z zamku uszczęśliwiony. Targ w gospodzie nie mniej mu się powiódł, aż zanocować musiał. Nazajutrz puścił się nazad drogą do Drezna, o milę od Nossen nastęrczył mu się znowu Zaklika. Stanął wózek, powitali się jak dobrzy przyjaciele.

— A cóż? — zapytał Polak — powiedzieliście téż o mnie?

— A ha! a jakże — rzekł Treue — i hrabina widocznie była ucieszona tą wiadomością. Zrobiłem w istocie dobry interes na zamku i w miasteczku, Bóg wam zapłać.

Zaklika chciał mu powiedzieć że téż dobry uczynek spełnił, ale z tém się powstrzymał.

W Dreznie tymczasem ciągnięto śledztwo z uwięzionych. Herzog miał nadto rozumu żeby się przyznał do czego, choć naówczas mogli go wziąć na pytki piérwsze i drugie i męczyć póki by się nie przyznał. Zaniechano jednak tego, puszczono obwinionego, odbierając mu miejsce tylko; kobiety wyszły z więzienia nie wynagrodzone i wymęczone, ale przestroga w las nie poszła.

Król August sam teraz obawiając się hrabinój, pilno czuwał nad jój losem. Znał ją nadto, by mu groźną nie była. Na piérwszą wiadomość o pogłosce iż ucieczka zamierzona została, rozgniewany nakazał daleko warowniejszy zamek Stolpen przygotować na więzienie dla Cosel. Była to ta twierdza na bazaltowych słupach zbudowana, w której niegdys biskupi Meisseńscy swoich więźniów zamykali; to samo miejsce, które przed laty szczęśliwa Cosel zwiędzała z królem, gdzie z nim razem biesiadowali w zwierzyńcu; ten zamek na którego drodze spotkała starą Mławę i wróżby piérwsze przyszłego losu...

W téjże chwili wysłano do Stolpen rozkazy, aby wieżę św. Jana na mieszkanie oczyszczono i przygotowano. August gniewnym był i obrażonym. Nieugięty umysł téj kobiety urągał się z jego władzy i potęgi, a jedna niewiasta śmiała upominać się o dotrzymanie przyrzeczeń, o królewskie słowo i rzucić mu wiarołomstwem w oczy. Było to zuchwałstwo nie darowane, nie przebaczone, a kto gniew pański ściągnął na siebie, dla tego nie było litości.

Na dwa dni przed wigilią świąt, ruch powstał w zamku niespodziany; z Drezna przysłano powóz i konie i straż nową i rozkaz króla, ażeby Cosel do Stolpen przewieziona została.

Zdumiony oficer przez litość nie śmiał wniknąć do hrabinój z tym rozkazem nowym, który cięższy, jeśli być może los jój jeszcze zwiastował.

Cosel na piérwszy szmer niezwyčajny w zamku zerwała się z siedzenia, na którym zatopiona w kartkach poszarpanych starój Biblii siedziała. Rzuciła się ku drzwiom.

Były chwile jeszcze, w których po sercu Augusta (kochała go nieszczęśliwa), spodziewała się litości, sprawiedliwości, uczucia. Zdało jój się że na święta nadchodzące przyszło jój w podarku wolność.

Drżąca stała w progu, gdy urzędnik w peruce wszedł z głębokim ukłonem. Zjawienie się podobnego gryzióórka było dla niej zawsze najgorszym zwiastunem. Trzymał papier w rękę, a okulary w drugiem: ręce mu dygotały.

— Czego ty chcesz? — zawołała Cosel.

— Rozkaz N. Pana, który natychmiast spełnionym być musi — rzekł ochryplym głosem urzędnik. — Pani hrabina przejeżdża do Stolpen, przeznaczonego jój najlaskawiej do dalszego pobytu.

Z okropnym krzykiem, ręką zasłaniając sobie oczy, hrabina rzuciła się ku ścianie, jakby się o nią rozbić chciała. Na widok tego szału podbiegły wchodzące kobiety i pochwyciły ją pod ręce. Jednym ruchem pozbyła się obu. Wrzask dobył się z ust jakby obłąkaniej, potem ryk i jęk... urzędnik stał wryty, przerażony, nie wiedząc co począć.

Niemal gwałtem musiano hrabinę sprowadzić do oczekującego na nią powozu.

W konwulsjach, bólu, płaczu i osłupiałym milczeniu na przemiany wieszona, d. 25 grudnia 1716... stanęła w bramie Jana i Donata i oczy załamane podniosłszy, ujrzała przed sobą groźną wieżę ś-to Jańską, przeznaczoną jój na więzienie.

X

Stary zamek Stolpeński był naówczas już napół ruiną... Kilkakroć wierzchołki jego wieżyc ogień z nieba druzgotał, paliły się stare budowle i podtrzymywane, opustoszałe ledwie małą załogę pomieścić w sobie mogły. Dawne mieszkanie biskupów w części przerobione zostało, w części się rozpadło w gruzy; dowódca zamku Jan Fryderyk von Wehlen, zajmował sam niewygodną basztę, dla uwięzionej, nieszczęśliwej ulubienicy Augusta przeznaczono jedną wieżę Johannisthurm, wieżę jeszcze za biskupów więzieniem będącą, której piętra, każde z jednej obszerniej izby sklepionej składające się, nosiły dotąd nazwania świadczące o dawnym przeznaczeniu.

Dawniej pani pałacu czterech pór roku, starczyć teraz musiały dwie jeszcze mieszkalne komnaty. Niższe piętro — Burgverliess już naówczas gruzem zasypane, dawno było niemieszkalnym. Dwa wyższe Johannis-gefängnis i Richter-gehorsam... przygotowane dla hrabiniej. Jedno z nich przeznaczonym było na kuchnię i dla ludzi, drugie dla niój.

Gdy wydobytą z powozu, niemal znowu siłą wwiedziono hrabinę do ciasnej sześciokątnej izby na przestral oknami wązkiemi oświeconej, ubogiej, nędznej, smutnej; gdy obejrzała się dokoła, rzuciła się ze wściekłością, którą hamować musiano, jakby głowę zbolalą roztrzaskać chciała o mury. Naprzemiany znowu to osłupienie, to łzy, to szal i wściekłość opanowały ją, tak że nieustanna straż czuwać nad nią musiała. Świadomi jój losów choć najobojętniejsi ludzie, od wzruszenia, patrząc na nią, powstrzymać się nie mogli. Jój piękność, niedola, rozpacz, wyciskały łzy. Dodani jój stróże i sługi, które dobrano umyślnie, aby ich przekupić ani litości obudzić nie mogła, stali osłupieni widokiem tego bezprzykładnego szału, co chwila zdającego się grozić śmiercią.

Ile razy oczy jój zwróciły się na ściany izby, na wiszące nad nią ciężkie sklepienie, na drzwi zaparte... powracał ryk i szal a po nim omdlenie i łzy.

Wehlen, stary żołnierz, który nigdy z kobietami nie wojował, twarda natura zdrewniałego pod mundurem człowieka, tracił głowę i cierpliwość. Smutno mu było zostać wykonawcą wyroku nad kobietą, której niedola przechodziła siły. Pierwszy ten dzień święta, obchodzonego w całych Niemczech z taką radością i uroczystością rodzinną u domowych ognisk, zatruty został Wehlenowi widokiem scen rozpacz. Żołnierze pod murami chodzący na wartach, stawali przerażeni głosem, który się z zamku dobywał. Zdało się jakby dawne izby tortur odbzmiewały jękiem wszystkich ofiar swoich z przed wieków.

Noc przeszła w tym niepokoju i dzień następny ze łzami, a potem omdlenie milcząco trzymało ją na łożu wpół umarłą znikaniem. Kobiety szeptały między sobą, że nie wytrzyma i skona. Trzeciego dnia Cosel porwała się z łoża... zażądała papieru... chciała pisać do króla.

Przewidziano to żądanie, listy odsyłane być miały Löwendahlowi i niszczone natychmiast... z zakazem, aby je kto śmiał otwierać.

Zastrzegł się August od wpływu tych rozpaczliwych jęków nie dopuszczając ich do siebie. A nużby one obudziły litość, poruszyły, zniecierpliwiły, czoło królewskie okryły wstydem.

Skazane więc były na spalenie. Ale nie broniono niewolnicy łzami je zlewać dnię całe. Wysłany list, który szedł w ogień, nie dochodząc rąk królewskich, dawał jój chwilę nadziei. Myślała, że choć jeden z wielu, choć trafem który dojdzie do Augusta. Wierzyła jeszcze w serce jego.

Gdy pierwsze wybuchy rozpacz przesyły, z przerażeniem rzuciła oczyma dokoła. Z pierwszej bytności swój na zamku, przypominała sobie te mury, które ją wówczas prze-

raziły posępne ściany swemi. Z okien jęj widać było zębate kurtyny, otaczające zamek, górę okrytą lasem i w dali sine wzgórza puste, a kraj jakiś jakby bez ludzi.

Rzucono ją tu na łup samotności, wspomnieniom, dozorowi żołdactwa, znęcaniu się sług, którzy byli razem klucznikami więzienia i oprawcami ofiary.

Za najmniejszym przewinieniem tego jęj naznaczonego dworu, grzmiał chrypliwy głos Wehlen'a, który nie rozumiał najmniejszego pobjażania w obec swoich rozkazów.

Z Drezna otrzymał on polecenie jak najsurowszego dozoru, pod odpowiedzialnością, która naówczas łatwo aż do utraty życia rozciągnąć się mogła. Ci co pisali instrukcje, nakazywali wprawdzie grzeczność dla kobiety, ale dla więźnia dozór, któryby nawet marzenie ucieczki rozproszył. I na pierwszy rzut oka była ona niepodobną. Zamek otaczały mury wysokie dokoła, wieża Ś. Jana wznosiła się po nad niemi wysoko, oknami poprzerynana, tak że straż, niemal co chwila, mogła, podniósłszy oczy, widzieć niewolnicę. Dwa podwórca bramami warownemi zamknięte przejść było trzeba, aby się dostać do stóp wieży.

We wrotach chodziły straż, przy murach byli żołnierze, sam zamek na wysokości górze panującej okolicy, każdego doń przychodzącego wystawiał na widok mieszkańców nieopodal leżącego miasteczka.

Oprócz komendanta twierdzy i kilku oficerów na to wygnanie skazanych, oprócz niewielkiej garści żołnierzy, zamek prawie nie miał innych mieszkańców. Służba hrabinę stanowiła wyjątek. Ona także dzieliła jęj więzienie. Nikomu z ludzi do miasteczka nawet wyjść bez pozwolenia nie było wolno. Bramy zamykały się wcześniej.

Twierdza wprawdzie, jako miejsce obronne, mogła mieć pewne znaczenie. Leżała blisko granicy Czech, broniła saskich rubieży, ale ztąd dawno żadna nie zagrażała wojna i opuszczono ją powoli. Königstein i Sonnenstein, te za niezdobyte naówczas uważane fortece, odebrały Stolpenowi dawną jego ważność. Nie bardzo też pilnie strzeżono zamku aż do przybycia hrabinęj. Ten więzień stanu, ta winowajczyni, co śmiała się mniemać królową i nie chciała zwrócić pisma pańskiego, ściągnęła dopiero czujność całą ku opuszczonym murom.

Stary Wehlen, który nie widział pono nigdy hrabinęj, a z niewierności króla wnosząc, wystawiał ją sobie zestarzałą i zbrzydłą — osłupiał gdy ją po raz pierwszy zobaczył. Cosel miała naówczas trzydziesty szósty rok życia, lecz szczególny dar Boży nadał jęj wiekuiłą młodość; śladu przebytych cierpień, widać na nięj nie było i nigdy może ani piękniejszą, ani ponętniejszą nie była. Blask jęj oczów, bialość i świeżość twarzy, majestatyczna postać, kształty snycerskie, wprawiały w zdumienie tych, co na nią patrzyli. Jakby urągając się upokorzeniom, które ją spotykały, Cosel przybrała tu postawę, obyczaj, mowę panującej. Rozkazywała... a w słowach jęj przebijała się tém większa duma, im nieszczęśliwsze stawało się położenie.

Jakże tam dni płynęły nieskończenie długie, nieprzeżyte, jednostajne. Cosel miała na zapelnienie ich wspomnienie tylko... a czasem... czasem wracała nadzieja. Przeklinała okrucieństwo Augusta i nie umiała razem pojąć, aby ono trwać mogło, aby ten, co ją zdawał się kochać tak czule, mógł stać się dla nięj niemyym tym katem bez duszy.

Listy, które pisała, stały się dla nięj potrzebą i nałogiem. Po milczeniu domyślać się mogła, że rzucała je w otchłań bezdenną — a jednak — jednak ulgę czuła, gdy myśl jęj wylała się na ten papier, który być mógł tylko urągowiskiem dla ludzi.

Zrobiłaż co tak złego, ażeby się wiecznie nad nią znęcać miano? a nawet pozbawić ją dzieci, pod pozorem że mogła w nie tchnąć tę nienawiść ku ojcu, którą pałała przeciw niemu?

Gdy z Nossen chwymano naprędcę co należało do uwięzionęj, ktoś rozproszone kartki biblii zagarnął. Przyszły one tu z nią, i hrabina zaczytywała się w nieśmiertelnej księdze, w której tyle ludzkich wycisnęło się boleści. Te poszarpane karty których część wiatr poroznosił, wzbudziły żądanie całej księgi. Posłała do Wehlena rozkaz aby jęj biblię kupiono. Komendant odniósł się do Drezna, kazano spełnić żądanie... biblia odtąd nie zeszła z jęj stołu. Na jęj kartach znajdowała jeśli nie pociechę, to zapomnienie. Uczyla się z nięj czém od lat tysięcy było życie: długą męczarnią przedgrobową.

Tak ją tu zastała wiosna! Wiosna... w której się wszystko budzi wesołe i młode do życia, a która dla nięj śmierć tylko przedłużać miała. W sąsiednich drzewach zaczęły przelatywać

żwawe ptaki, jaskółki przybyły do starych gniazd na wieży, aby je lepić na nowo; drzewa zaczęły zielenić i roztwierać się listkami ku słońcu. Po nad światem falami płynęło wonne ciepło, kwiatów westchnieniami zaprawne. Nawet około pustego zamku rozbudziło się do życia, polami szły plugi i ludzie się przesuwali wolni... gromadami, a ona jedna była sama i przykuta. Stanąwszy w oknie i goniąc oczyma zdala ujrzaną postać, zgadując ją, wcielając się w jej byt; Cosel zadumywała się godzinami i nie wiedziała jak czasem żołnierz stojący na straży tak samo oślepiony jej pięknnością, wpatrywał się w nią, zapominając o sobie i pytając co tak piękna istota tak straszego popełnić mogła, by ją na niewolę skazano? Stary Wehlen chodząc z fajką po wałach, nieraz sam patrzył ku górze i czuł że mu się robiło w myślach gorzko, na sercu ciężko, że mniej kochał swego wspaniałego pana Fryderyka-Augusta.

Robiło mu się żal. Za całą przechadzkę wązkie wschody, i dziesięć kroków komnaty! i wiecznie to duszące sklepień powietrze, którego słońce ocieplić nie mogło... i wieczne listy co szły na stos, lub biblia i lzy!

Wehlenowi nawet żal się z piersi dobywał.

U stóp wieży ś. Jana był mały klinek ziemi, opasany murem twierdzy i ścianą wieży: miejsca tyle jak na dostatni grób człowieczy. W tym kątku kwitły piołuny i macierzanka i dzikie gwoździki różowe. Po murach czepiały się żdźbła trawy i posiane przez wiatry nie nazwane kwiatki ubogie... Wehlen pomyślał sobie, gdyby choć ten ogródek. Ale na ogródek nawet trzeba było pozwolenia, bo on był ulgą, słodyczą, pociechą, a zbuntowanej kobiecie dać trochę litości, było ją uzuchwalić. Sam więc stary zrobił tu sobie ogródek, myśląc że choć popatrzeć na kwiatki miło będzie téj, co jak kwiat pański zwiędła na lodydze.

Cosel wyjrzała w ten kątek i zobaczyła że go kopano; przyszedł jej na myśl grób, odwróciła się... Dopiero gdy wiosna co tak żwawo sieje i rodzi, wyprowadziła tu kwiaty; Cosel się im uśmiechnęła. Nie takie miała w swoich ogrodach i w Hesperyd ogrodzie i w Pillnitz, a teraz i tych mieć nie mogła.

Zdawało jej się że gdyby zamiast na kamieniach, mogła choć usiąść na ziemi i przytulić się do niej, odżyłaby znowu. Myślała że kwiaty byłyby dla niej powiernikami i towarzyszami. Lecz prosić o to, nie mogła królowa, cierpieć wołała. Witała z rana ogródek i żegnała go gdy pachniał wieczorem.

Stary Wehlen kazał jej powiedzieć słudze, że ten ogródek jest dla niej, że go sobie objąć może. W istocie uciec ztąd było niepodobna, o trzy kroki chodziły aż dwie straże.

I jednego poranku Cosel zeszła ze wschodów bez przeszkody, aby swój ogródek zobaczyć; powietrze zdało jej się upajającym, słońce nieznośnym, światło oślepiającym; potrzebowała czas jakiś wsparta o mur spocząć, póki nie przysła do siebie.

Odtąd ogródek stał się jej całą zabawą i całe dnie w nim spędzała, rękami własnymi pielęgnując kwiatki, które przywozić sobie kazała. Niewiele ich było, mogła więc znając krzaczek każdy i pielęgnując z osobna, wlać weń życie i oczyma go wychować.

Tak zeszła wiosna i lato, bez żadnej zmiany, bez żadnej nawet jej nadziei. Głucha cisza otaczała ją ciągle, na listy nie było odpowiedzi, z dawnych znajomych nikt się nie zgłosił. Z ogromnych skarbów jej zabranych dla dzieci, rozerwanych przez chciwe ręce, płacono jej około trzech tysięcy talarów, które mogła na swoje obrócić potrzeby. Ale o tych komendant zamku wiedzieć musiał. Wpuszczano tylko osoby niepodjęzane, handlarzy i przekupniów, a i ci wprzód musieli się poddać starannemu opatrzeniu, aby z sobą nie wnieśli pociechy lub nadziei.

Od przybycia swego do Stolpen, hrabina oczekiwała Zakliki, ale upływały miesiące i ogródek przekwitał, a słycho o nim nie było; aż jesienią późną Żyd, który przyniósł jej coś na sprzedaż, gdy odeszły sługi, obejrawszy się w około bojaźliwie, szepnął, że ten co podkowy łamał żyje i kiedyś się pokaże.

Dosyć było tych wyrazów, aby już uspioną obudzić nadzieję. Przybyły poseł nic więcej nie wiedział.

Zaklika tymczasem ani na chwilę nie spoczywał. Zawiedziony w przygotowaniach swych do wykradzenia hrabinę z Nossen, musiał wszystko rozpocząć na nowo. Nie tajono bynajmniej iż Cosel wywiezioną została do Stolpen i osadzoną na wieży.

Okrucieństwo to oburzające starano się przed ludźmi usprawiedliwić, rozpuszczając pogłoski, że Cosel jeszcze w Berlinie starała się uknuć spisek na życie króla, że się odgrażała

na niego, i że dotknięta obłąkaniem, mieniła się być królową. Pocichu domawiano sobie, co żadną nie było tajemnicą, że August sam się wstydził słabości swój i lekkomyślności z jaką w jej ręce dał cyrograf na siebie, za życia żony obiecując ją poślubić.

Tego przyrzeczenia w istocie, pomimo ciągle ponawianych żądań odebrać jej nikt nie mógł, ani go przez najściślejsze poszukiwania znaleźć.

Pierwszy to raz z takim okrucieństwem postąpił sobie August i przeraził nim nawet Denhoffową; chociaż ta ani tak wielkim przywiązaniem króla, ani tak wysoko sięgającymi nadziejami pochłubić się nie mogła.

Dwór nowój pani wprawdzie był dosyć świetny, ale bliższe jej otoczenie żadnego znaczenia politycznego nie miało; ona też oprócz zabaw i rozrywek, nie panowała nad niczym.

Ci nawet co ją wynieśli dla pozbycia się niebezpiecznej Cosel: Flemming, Manteufel, Friessen, Lagnasco, Vitzthum zdala się od niej trzymali. Jeden Watzdorf, któremu się śniło że przez nią potrafi obalić Flemminga, przywiązał się do niej i zasługiwał, wyrabiając od króla znaczne podarki, które Denhoffowa nieopatrznie rozpraszała, nieraz na jeden wieczór po 10,000 talarów wydając na szumne zabawy.

Wtedy już nawet nie wiele rachując na króla i myśląc o wycofaniu się z niebezpiecznych łask jego, oglądała się na Besenvala i na młodego Lubomirskiego, który się zdawał do niej przywiązywać.

Augusta zimne i obrachowane obejście się z temi, którzy w największych u niego wprzód byli łaskach, i innych faworytów, ostrzegało aby się zawczasu wycofać starali i zabezpieczyć od kaprysu, który ich mógł w jednym dniu pozbawić wszystkiego. Tak Hoym, mąż pani Cosel, którego król potrzebował, ale nie lubił, zapatrzwszy się na los Beichlinga, na to co spotkało Imhoffa po Altrandstadzkim traktacie, wreszcie pierwszą jego żonę; nie miał pokoju dopóki się nie zabezpieczył. Posprzedawał dobra swe w Saksonii, powoził pieniądze, i wystąpiwszy ze służby saskiej, cofnął się na Szlązk. Taż sama obawa nie dawała spocząć marszałkowi Schulenburgowi. W tym roku gdy hrabina uwięziona została w Stolpen, Hoym dobra ostatnie zamienił z Flemmingiem i pojechał z smutku i tęsknoty dokonać życia w Wiedniu.

Z Denhoffową kończyły się panowania wszechwładnych metres na królewskim dworze. Aktorowie tych dramatów i intryg któremi żyło otoczenie Augusta, starzeli i wymierali, on sam tracił smak i ochotę szumnych rozrywek. Jeden jeszcze jarmark lipski po dawnemu rozrywać go umiał i na chwilę ożywić.

Zaklika długo myślał co począć z sobą i jakich użyć środków, aby się do Cosel przybliżyć. Stolpen prawie mu nie było znanym, pojechał je obejrzeć zblizka. W miasteczku stanąć mógł bez niebezpieczeństwa, nie zwracano bowiem zbyt wielkiej na podróżnych bacności; tu się też dowiedział jak w zamku gospodarowano, kto na nim dowodził i że przystęp do niego nie był łatwym. Odjeżdżając okrążył zamek i zwierzyńiec ze wszech stron, szukając doń łatwego przystępu. Nie znalazł żadnego.

W pierwszym zwłaszcza roku pobytu hrabinę czujność była wielka, a do środka nie będąc osobiście dowódcy znajomym, wcale się dostać nie było podobna.

Zaklika łamał głowę nad zadaniem i powrócił do Drezna z postanowieniem ukazania się jawnego i szukania drogi, jakąby mógł Cosel usłużyć. Znajomych z dawnych czasów pozostało mu wielu, przyjaciół żadnych. Zjawiali się wszakże teraz codzien przybywający z Polski panowie, przez których wpływ coś tu sobie wyrobić było można. Zaklika marzył iż powinien wrócić do służby wojskowej, a raz wdziawszy mundur starać się jakimkolwiek sposobem dostać do załogi w Stolpen stojącej. Droga była długa i trudna, lecz ten co ją przedsiębrał, miał za sobą żelazną wolę i poświęcenie bez granic. U panów polskich imię jego, starój rodziny, było już pewnym zaleceniem.

Ukazanie się jego na dworze obudziło zrazu pewne zdziwienie. Wszyscy wiedzieli że był przy hrabinie Cosel, nikt nie dopytywał co się z nim stało po jej upadku. Zaklika oświadczył śmiało że jakiś czas u rodziny w kraju przebywał. Chwilowe przybycie do Drezna Sieniawskiego biskupa kujawskiego, którego za młodu znał, dało mu pochop starania się przez niego o pozwolenie kupienia szarzy kapitańskiej w wojsku saskim. Król na wzmiankę o nim brew namarszczył, kazał mu się sobie przedstawić. Przez kilka lat go nie widział i dużo zmienionym znalazł; podejrzliwem okiem mu się przypatrywał, ale znalazłszy go śmiałym i spokojnym, dowiedziawszy się od niego iż dobrowolnie hrabinę porzucił, przeciw wstąpieniu do wojska nic nie miał. Szło tylko o kupno szarzy, które mu

zaraz następczo. Zaklika miał coś grosza powoli uzbieranego oszczędnością tam, gdzie się on często sywał obficie: dobito więc targu z Niemcem i nasz bohater wdział znowu, tym razem inny i wspanialszy mundur niż przedtém. Służba była z wielu miar nieznośna, chociaż dla ludzi co roztargnienia lubili przyjemna. Wojska, które się w Polsce nie uganiały za konfederatami, więcéj służyły do parady i zabawy niż do surowszych zajęć wojskowych.

W wojsku³ oficerowie często po całych latach pułków swoich nie widywali, czasu zimy oblegali przedpokoje, a latem w obozie wcale ich spotkać nie było można. Siedzieli po domach i żyli z pieniędzy zebranych za zimowe leże, opowiadając o cudach waleczności jakie dokazywali przed zdumionymi kobietami. Nie szanowano ani rozkazów, ani rozporządzeń, życie wiedziono bez skrupułu, a żołnierz odarty z pierwszych potrzeb życia pokutował. Współcześni świadczą, że nowe pułki które sztyftowano, na które brano pieniądze, wcale się nie ściągaly, a rekrutowanie ich, starym przeszkadzało się dopełniać. Nieustanna zmiana starszyny rujnowała skarb, a szła na korzyść komissoryatu i oficerów. Co było w kraju najmniej zdolnego znajdowało się w wojsku: awanturnicy, rajfury, gracze, lichwiarze, pieniacze, a procesa między oficerami były nieustanne. Generałowie żyli z żołnierzy, a ci do rozpacy przyprawieni musieli na wzór oficerów szukać chleba powszedniego, nie patrząc jak go dostawali.

Margrabia Ludwik Badeński pod którego dowództwem był kontyngens saski w 1703 r. na wojnę o spadek hiszpański przysłany, tracił głowę nie mogąc sobie z nim dać rady. Często w marszu gdy pospieszać było potrzeba, znajdował ich wywczasowujących się w szlafrokach. Historia pułkownika Görtza i jego wyjścia z Polski w r. 1704, stawi także dobry przykład karności wojska saskiego. Görtz, którego aresztować miano za niepoczciwe prowadzenie oddziału, a zbytnie pamiętanie o sobie, tak dobrze manewrował, że tych co jego mieli przytrzymać, osaczył i wziął.

Właśnie to rozprężenie posługiwało Zakliki zamiarom, wszystko tu było do zrobienia pieniędzmi... Towarzystwo w które wszedł nad hulankę i wesołe życie, prędki zarobek i roztrwonienie ochocze, nic droższego nie miało. Obyczaj i przykład dworu szczepił się w wojskowych, patrząc na parady dawane dla pięknych pań i szturmę przy puharze do pułkowników królewskich, nie brali powołania swojego na seryo. Gdzie niegdzie wśród téj zbieranej drużyny, w większej części z obcych: Francuzów, Włochów i przybłędów różnych złożonej, trafił się rzadki człowiek co żołnierzem być chciał i umiał. Z takiego się tylko wyśmiewano. Nic więc łatwiejszém nie było dla Zakliki jak wdziawszy mundur i zapoznawszy się z towarzyszymi, przygotować sobie drugi dla dostania się na zamek stolpeński, w którym pobyt nikomu się nie uśmiechał...

Stary Wehlen o którym zasięgnął wiadomości, człowiek spokojny, dobry w gruncie, po całych dniach grający w warcaby i palący fajkę, nie zdawał mu się trudnym do oszukania...

Cosel zdziwiła się mocno po milczących kilku miesiącach odbierając znowu poselstwo tajemnicze przez wędrownego izraelitę, które jéj zwiastowało przybycie tego co łamał podkowy.

XI

Nadeszła druga wiosna i po raz wtóry zazieleniało w ogródku, też same kwiatki podniosły z grządek wskrzeszone głowy ku powracającemu słońcu. Cosel otworzyła okno, dzień był ciepły, cisza w powietrzu; z dała w zwierzyńcu las i drzewa szumiały, ale ich szumu uchem tylko słuchać mogła. Ze wschodków tuż schodziło się do maleńkiego wydzielonego jéj kątku ziemi, a i ten dla niéj był łaską człowieka, który się jéj ulitował.

Nie jeden raz już tak w ogródku swoim siedząc pod zbudowaną dla niéj maleńką laubą, widywała przechodzących podwórzem, od którego nizki przymurek ją dzielił, żołnierzy i oficerów załogi. Nie lubiła wprawdzie dumna pani aby się jéj upadléj wielkości przypatrywano, lecz znękana potém witała twarz ludzką zapominając że była królową. I nie jeden żołnierz mimowolnie stanął wpatrując się w nią z politowaniem, a młodzi oficerowie tracili głowy, gdy długo wystawieni byli na ogień czarnych jéj oczów.

³W wojsku... — Wolframsdorf. [przypis autorski]

Jednym z tych co się najdłużej zawsze przechadzali szukając pozoru jakiegoś, aby się zbliżyć do ogródka i przypatrzeć pięknej Dyannie, bo ją tak zwano od czasu gdy w osobie bogini występowała na wjeździe bogów, był młody Wehlen synowiec komendanta. Stary go tu trzymał przy sobie, po części dlatego żeby mieć kogoś musztrować bezkarnie i sadzać godzinami do grania z sobą w warcaby, w części dla skutecznego zajmowania się jego wojskową karierą.

Henryk von Wehlen wcale w niej zamilowania nie miał, ale matka owdowiała spodziewająca się spadku po komendancie bezdzietnym, który uchodził za majątnego bo był dosyć skąpy, zmusiła syna by się poddał jego rozkazom.

Młody dwudziestoletni Wehlen nudził się śmiertelnie na bazaltach stolpeńskich, lecz wyrwać się ztąd nie mógł.

Jakiemże to szczęściem dla młodego, rozmarzonego samotnością chłopaka, było przybycie tego nieszczęśliwego a tak pięknego więźnia do pustego zamku! Z pierwszego wejścia na Annę, Henryk stracił głowę. Nie pojmował on, jak mógł kto mieć odwagę tak piękną istotę, taki ideał bóstwa ziemskiego zamknąć wśród murów tych i dać mu zamierać powoli. Z młodzieńczą pierwszą miłością, czystą, egzaltowaną, tajoną a gwałtowną rzucił się Wehlen ku pięknej pani, aby jej służyć i przynieść ulgę w niedoli. Stary komendant wcale nie dojrzał w synowcu rodzącego się uczucia, ani się go mógł domyśleć. On był najprozaiczniejszym z ludzi i dla niego dwie młode niewiasty zupełnie sobie były równe. Uśmiechał się dawniej do wszystkich, teraz do żadnej.

Nieznacznie Henryk poddał mu ową litość która stworzyła ogródek u stóp wieży, a później inne drobne usługi dla hrabiniej. Zastępując często komendanta, był tu niemal panem na zamku, i Cosel, która rzadko nań okiem rzucić raczyła, wiedziała dobrze iż na niego rachowaćby mogła. Woląла wszakże czekać na Zaklikę.

Jakież było podziwienie jej i radość, gdy pierwszy raz schodząc do wiosną ożywionego ogródka, Cosel zobaczyła w podwórzcu razem stojących i w dobrej zgodzie rozmawiających z sobą ludzi, Henryka Wehlen i Zaklikę. Ostatniego poznała po głosie, bo go nowy strój wojskowy zmienił zupełnie.

Dochodziła ją rozmowa dosyć głośna, Zaklika opowiadał że podjął się tu zająć miejsce kapitana Zitauera, któremu pilno było do rodziny pojechać.

Henryk i on zdawali się już dobrymi przyjaciółmi.

— A! kapitanie von Wehlen — mówił drugi kapitan von Zaklika — nie wesoło tu u was na tych starych gruzowiskach mniszych. Gdybym był wiedział że tu na tej skale takie pustkowie, taka nuda...

Henryk wszakże nie zdawał się wcale znudzony.

— A! mój panie — rzekł — kto się chce bawić, temu się do Stolpen niema co wybierać, ale spokojnie patrzeć na piękną naturę i żyć sobie cicho... bardzo można.

Cosel słuchała, oczy odwróciła aby nie dać poznać że ją rozmowa obchodzi, ale serce jej uderzyło mocno.

— Kapitanie Wehlen — rzekł Zaklika — jeśli to nie jest grzechem, toćbyście mnie jako nowego przybysza powinni hrabinie przedstawić.

— Z całego serca — zawołał Wehlen, któremu pretekst ten zbliżenia się do pani Cosel był bardzo pożądanym.

Oba razem podstąpili pod murek ogródka, znajdującego się znacznie wyżej niż podwórze, na którym stali. Kapitan Wehlen pozdrowił hrabinę.

— Pozwoli pani przybyłego tu kolegę sobie przedstawić, kapitana von Zaklika.

Cosel zwróciła się niby obojętnie, lekkiem skierowaniem głowy pozdrawiając zaledwie przybyłego, który stał zbladły, wzruszony, wpatrując się w to drogie, piękne oblicze, promieniające jeszcze tym samym wdziękiem, jakim mu niegdyś zajaśniało z między lip Laubegastu.

Hrabina nie odezwała się ani słowa z razu.

— Jesteście tu gośćmi? — spytała po dłuższej chwili milczenia zniżając się do kwiatków.

— Ale zdaje się że nim pozostanę czas dłuższy, bom tu na służbie, a nie łatwo się znajdzie, ktoby tu chciał zastąpić towarzysza.

— O! to pewna! okropniejszego więzienia nad to nikt wymyślić nie mógł — zawołała hrabina. W lochu ciemnym nie widzi się świata i zapomina o nim, tu cały dzień szeroki

widnokrąg przed oczyma, ptaki, góry, lasy, drzewa, życie, a między nim a mną mur nie przebity!

Wojskowi stali niemi.

— Cóżście wy zgrzeszyli, że was tu posłano? — dodała.

Zaklika umilkł. — Los chciał — rzekł — jam już niemłody: nigdzie mi nie jest weselój.

Skłonili się i odeszli.

Wehlen porwawszy pod rękę Zaklikę, poprowadził go żywo w trzecie podwórze zamkowe, gdzie zajmował parę izdebek obok stryja i towarzyszowi też postarał się blisko dać przytułek.

— Kapitanie Zakliko — zawołał — wy pewnie widzieliście po raz pierwszy w życiu Reichs hrabinę Cosel. Cóż powiecie na tę królewską piękność? Nie jestże to kobieta tronu warta, co strącona z jego stopni, jeszcze ma taki majestat na sobie? Co to za piękność! co za gwiaździsta twarz!!

Mówił to z takim zapalem czerwieniąc, iż odrazu wydał się ze swą tajemnicą, z którą może i ukrywać się nie myślał. Spojrzał na Zaklikę: ten stał zamyślony, oparłszy się o stół.

— Kapitanie Wehlen — rzekł krótko — nie dziwuję ci się nic wcale, lecz z twoich wyrazów, z twego zapалу, mógłby kto cię posądzić, żeś się zakochał...

Wehlen uderzył się w piersi.

— Obaśmy żołnierze — zawołał — i uczciwi ludzie; na co się mam zapierać: straciłem głowę, patrząc na nią! Ani się wstydzę. Takich kobiet dwóch na świecie nie ma.

— Ale na cóż się to wam zdało? — uśmiechnął się Zaklika smętnie. Kobieta, co była królową, oczu już na nikogo nie zwróci; tyle nieszczęść wysuszyło w niej serce, a w ostatku niewolnicą jest na wieki.

— A! na wieki! — przerwał Wehlen — cóż jest wiecznego na ziemi. Ona jeszcze tak mi się wydaje i jest młodą!!

Zaklika się uśmiechnął.

— A wy mnie wydajecie się młodzi! — dodał.

Kapitan Wehlen zawstydzil się, podał rękę nowemu towarzyszowi z dobrodusznym uśmiechem i szepnął: — W istocie, macie słuszność: ja nim jestem! młodym, dziecinny! to prawda; lecz oprzeć się urokowi tego wejrzenia, nie jest w stanie żaden człowiek. Widzieliście mojego stryja, jego siwe wąsy, pomarszczoną twarz i zgasłe oczy. Cóż powiecie? patrzy na nią z daleka tak, jakby się grzał na słońcu i wzdycha odchodząc do swęj izdebki, dopóki przy warcabach nie zapomni o bogini.

Żołnierze godzinami patrzą się na nią, jak na obraz; a cóż mówić o dwudziestoletnim, jak ja wartogłowie.

Wehlen ze swoim uwielbieniem dla Cosel, był zarazem pomocą Zaklice i zawadą. Tegoż dnia poszli razem obejrzeć zamek. A było w nim istotnie co oglądać, w siedmioletniej wieży, w podziemnych galeryach i gankach.

Zaklika wszystko do jednego odnosząc celu, starał się już obmyślać środki ucieczki. I nie było pono innego nad wyjście podziemiami z wieży o siedmiu wierzach do kapitulnej, a z kapitulnej do kaplicy, od której zapomniany korytarzyk wiodł niewygodną ciasną szyją na zewnątrz w stronę miasta.

Zaklika udawał, że go te gotyckie, starożytne szczątki wielce zajmują, aby się obeznać z niemi. Cały plan już snuł mu się po głowie: hrabina nocą przebrana po mężku, mogła zniść ze wschodów i przemknąć się na wewnętrzne podwórze. Tu nie chodziły straże, można było łatwo w cieniu nocy i murów dostać się do drzwiczek podziemia. W miasteczku nietrudno było o parę koni, a granica cesarska pod bokiem.

Myśli te zwiły mu się po głowie, a Wehlen milczenie jego brał w innym wcale znaczeniu.

— Prawda — rzekł z lekkomyślnością młodzieńczą — wam się to wydaje strasznie, zamurowaniem, nieprzebytym. Wszedłszy w te lochy zimno się robi nie tylko od powietrza, ale od myśli, że to ludzie na umęczenie ludzi sobie podobnych budowali, że się kopali, jak krety w tej górze, aby w niej ukryć występki lub zdradę, a jednak, wierz mi kapitanie, pomimo tych murów, co otaczają nas i tych wież, i bram, i jam, i straży, łatwiej ztąd wyjść i wniknąć, niżeli się zdaje.

Zaklika zamilkł.

W kilka dni potem znalazł już sposób dostania się do pokoju hrabinę Cosel, nie obudzając podejrzeń. Szło mu bowiem o to wiele, ażeby go na siebie nie ściągnął. Hrabina, milcząc, podała mu rękę do pocałowania.

— Długo, nadto długo — rzekła chmurno — kazałeś mi na siebie czekać.

— Środka nie miałem — odparł Zaklika — kto ostatek waży, jak ja, ten musi być oględnym. Nie o mnie mi szło, ani o życie moje; lecz o to, że po mnie, gdybym się nieroztropnie rzucił i zawiódł, nie będzie może nikogo.

Hrabina zamyśliła się.

— Miałaś słuszość — odpowiedziała — ciebie, jako najwierniejszego sługę, muszę zachować na ostatek! Synowiec komendanta najprzód być może użyty.

— Jakto? do czego? — zapytał Zaklika.

— Taka jest wola moja — odparła Cosel.

Wehlen się kocha we mnie... oszalał... on zna zamek najlepiej... jest tu panem. Nie mięszaj się do niczego, zostaw mu wolne pole, pomagaj nie widząc, lecz nie bierz udziału... zamknij oczy. Z nim spróbuję uciec.

— Ale to nieopatrzny i szalony chłopiec! — przerwał Zaklika.

— A szalonym tylko, szalone się przedsięwzięcia udają — rzekła Cosel.

— Lecz jeśli się nie powiedzie? — spytał chmurno Zaklika.

— Cóż mi tam? — zimno odezwała się hrabina — uczyniż mi co więcej nad to, co robią? Żalby mi było młodego człowieka. Wy, tak, macie słuszość, wy powinniście zostać w odwodzie.

— Młody człowiek — po namyśle, począł Zaklika z ostrożnością, oglądając się ku drzwiom umyślnie trochę otworzonym — młody człowiek może nie mieć odwagi począć cokolwiek sam i nie sądzę, żeby to miał na myśli.

— Zostaw to mnie — odezwała się Cosel — ja sama tém pokieruję, dobrze iż was tu mam, ale ostatniego mego talara nie postawię na kartę.

Szmer na wschodach, mówić im dalej nie pozwolił. Kapitan odwrócił rozmowę, odezwał się głośno i szedł zaraz na niższe piętro.

Ubodło go to, iż Cosel odrzucała pomoc jego; lecz zawsze posłuszny, choć mrucząc postanowił się zastosować do jej woli.

Wehlen od pierwszych dni, wziął go sobie za powiernika, nie zwierzył mu się jednak nic więcej nad to, że szalenie był zakochany w hrabinie, i że dla oswobodzenia jej dałby życie.

— Wy przecież nie zdradzicie mnie? — zawołał rzucając mu się na szyję.

— Ja was nie zdradzę — szepnął Rajmund, — tego możecie być pewni; lecz czy się wy nie zdradzacie, co chwila sami, i czy nie wydacie się nieostrożnością waszą?

Zaklika dopatrzał się wkrótce, iż Wehlen i pod ogródek na rozmowę, i do wieży pod różnemi pozorami coraz częściej chodzić zaczął. Miotał się niespokojny, jakby w ciągłej gorączce. Zaklika musiał go przy starym stryju zastępywać u stolika z warcabami i na gawędzie z komendantem, która zabawną nie była, bo zwykle toczyła się około historii familij saskich, obcych z rzeczy i imienia Zaklice. Henryk biegał nieustannie, a po zdwojonej jego ruchawości i jakichś przygotowaniach, których on tak łatwo mógł dojrzyć, domyślać się mógł, iż ucieczka rychło zapewne zostanie przedsięwziętą.

— Nie wtajemniczonomu, nie wypadło mu się narzucać, jednakże raz Henryka w dziedzińcu sam na sam spotkawszy, Zaklika szepnął:

— Na miłość Boga, panie kapitanie, nie wiem, co macie w sercu i na myśli; lecz lękam się, aby i drudzy, jak ja, nie dojrżeli u was zbyt jawnych jakichś, a nadzwyczajnych przygotowań... nie wiem i nie chcę się domyślać do czego.

Wehlen trochę nastraszony, wzięwszy pod rękę, wprowadził go w kąt ciemny.

— Jakto? — spytał — cóż widzicie? czego się domyślacie? mówcie.

— Nie chcę się domyślać nic, a widzę — rzekł Zaklika — iż przygotowujecie się jakby do jakiegoś *salto mortale*.

— Nie rozumiem! — podchwycił Wehlen — cóż jest we mnie niezwyčajnego? co obudza te podejrzeń? Całą moją winą, żem zakochany, żem szalony, że tą miłością żyję cały!

— Patrzcie żeby ta miłość nie doprowadziła was do zapomnienia o tém, że ją ludzie dojrzeć mogą i po niej dojść do kłębka! To, co ja widzę, może drugi zobaczyć... i.

Zmieszał się Wehlen, ale znać było, że już panem siebie nie był. Niecierpliwa Cosel musiała naglić o przyspieszenie ucieczki. Tegoż dnia Zaklika dostał się na wieżę. Hrabina chodziła niespokojna, w ubraniu nieco odmienném, niż zwykle.

— Zaklika — rzekła — nie mieszaj się do niczego, bądź głuchym. Ze starym komendantem graj jak najdłużej. Jeśliby wypadkiem alarm powstał, staraj się go zatrzymać tylko.

— Jeśliby ucieczka się powiodła — przerwał Zaklika — cóż mam zrobić?

— Natychmiast tam stawić, gdzie ja każę.

Słowa więcej wydobyć z niej nie było można, wskazała mu ręką drzwi.

Ze smutném przecuciem jakimś Zaklika wyszedł w podwórzec i długo do siebie przyjść nie mógł. Wehlen którego spotkał, był niespokojny, rozgorączkowany, co chwila spoglądał ku słońcu, które mu zachodzić nie chciało.

Stary komendant niedomyślający się niczego skinął na Zaklikę aby z nim szedł napić się piwa i siąść do zwykłej gry w warcaby, która się do nocy przeciągała. Wachmistrz który zamykał bramy i przynosił klucze, zwykle ich jeszcze zastawał zatopionych w grze napozór bardzo prostej a w istocie pochłaniającej człowieka który się do niej przywiąże.

Wieczór był jasny i piękny, i jak zwykle w dniach pogodnych noc nagle po zachodzie słońca zapadać zaczęła. Zaklika grał tak nieprzytomnie, uchem łapiąc najmniejszy szmer dający się słyszeć na zamku, że komendant wygrywający ciągle, śmiał się z niego.

— Co ci dziś jest? kapitanie? — pytał...

— Głowa mnie boli...

Po kilku partyach zaczęli rozmowę. Wehlen fajkę nałożył, noc się robiła ciemna; zapalono świece: Henryka, który zwykle w tej porze przychodził, nie było.

— Pewno mi się wyrwał na miasteczko — odezwał się komendant — bo mu tu nudno, i wołałbym to z lichem — dodał zniżając głos — niż że mi się pod wieżą modli do tej dumnej pani, której w istocie zdaje się że jest królową, i ledwie kogo skinieniem pozdrowić raczy.

Zaklika odwrócił rozmowę...

Na zamku cicho było, godzina o której wachmistrz odnosił klucze zbliżała się: zapukano do drzwi.

Stary żołnierz, który wyglądał raczej na rozbójnika, najemnik który pono przeszedł służby wszystkie niemieckie, flandryjskie i holenderskie nim się oparł w saskiej, zjawił się błądy i z twarzą dziwnie wykrzywioną w progę. Wyraz jęj uderzył Zaklikę: był straszny, usta mu się trzęsły.

Komendant choć go używał, nie lubił, ale że w ostrzejszym rygorze ludzi trzymał, rozstać się z nim nie mógł. Zwał się Wurm.

— Panie komendancie — odezwał się Wurm — mam mu donieść o ważnym wypadku...

— Cóż? pali się? — porywając się z krzesła krzyknął Wehlen...

— Nie, ale pański synowiec ucieka w tej chwili z hrabiną Cosel z zamku, ha! ha!

Stary komendant rzucił się jak szalony, ku drzwiom.

— I! nie ma się czego obawiać — rozśmiał się dziko Wurm — ja na to dawno czekałem, czatowałem: wiedziałem że to nie minie i nagroda nie minie.

— Co za kłamstwo bezecne! — zawołał komendant — jak śmieśz...

— Ja spełniam mój obowiązek — zimno rzekł Wurm — w tej chwili żołnierze ich trzymają w ganku za kaplicą i kapitan Henryk co mnie po pyskach trzepał gdy zły był, głowę da!

Z wyrazem piekielnej zemsty uśmiechnął się wachmistrz... Komendant drżał chwytając to za broń, to za klucze i niewiedząc co ma począć. Trwoga o los synowca, do którego był przywiązany, do szalu go doprowadzała.

— Kapitanie Zakliko! — zawołał — ratuj mnie, ratuj jego!

— Niéma tu co ratować — odparł wachmistrz — jutro całe miasto się dowie i król i dwór, nadto ludzi tę sprawę widziało. O! ja to dobrze urządziłem. Zemściłem się ja, a jak wy na mnie za niego się zemścić zechcecie, no, tom i ja na to gotów.

Mówili jeszcze gdy hałas w podwórzu od podziemia wieży o siedmiu wierzach dał się słyszeć. Żołnierze z wrzawą prowadzili pochwyconych więźniów, hrabinę która szła przodem niema i blada i Henryka związanego, bo pistoletem jedną był sobie zadał ranę i życieby pewnie sobie odebrał, gdyby mu rąk nie skrępowali żołnierze.

Cosel z wściekłą rozpaczą biegła nie oglądając się na wieżę. Henryk stał... Stary zbliżył się doń łamiąc ręce i włosy sobie szarpiąc z głowy. Za nim szedł Zaklika z litością w sercu dla biednego chłopaka, który tak nieopatrznie wpadł w zasadzkę. Nikt się nie oglądał nawet na Würma, który szydersko się prześmiewając tryumfował.

Stryj był zmuszony w tej chwili synowca osadzić w więzieniu i z raportem wysłać do Drezna. Napisać go nie mógł stary żołnierz, drżał i lzy mu ciekły z oczów; zawołał zwykle go wyręczającego pisarza... Ze łkaniem i przekleństwami ledwie wyjąkane słowa usłyszeć było można. Oskarżał synowca, młody jego wiek stawiając jako powód do politowania, zasługi swoje kładł na szalę; obwiniał sam siebie i ślepotę swą, ale naostatek winę też przypisał i zdrajcy wachmistrzowi, który niepoczciwie zamiast zapobiedz nieszczęściu, czekał na nie by z niego korzystać.

Podwojono strażę przy wieży: noc ta zeszła na czuwaniu i niepokoju.

Komendant wachmistrza też oddał pod areszt. Z papierami wysłano kuriera do Drezna. Wschodzące słońce oświeciło stolpeński zamek smutniejszym niż kiedyś niemym. Cosel leżała konwulsyami miotana.

Około południa już chmurą spadli z Drezna wysłani z rozkazami króla generał von Bodt i kilku urzędników.

Na samym wstępie stary Wehlen nie mówiąc słowa, szpadę oddał, ale mu ją Bodt powrócił. Z rozkazu króla kapitan Henryk von Wehlen tylko i wachmistrz Wurm oddani być mieli pod sąd wojenny.

Nim słońce zaszło, wyrok zapadły na śmierć miał być spełniony. Próżne były prośby i łkania starego komendanta, odwoływania się do łaski, i żądania chociażby zwłoki.

Cosel usłyszała strzały i drgnęła: przeczucie mówiło jej, że człowiek co ją kochał, płacił w tej chwili swą miłość życiem.

Zaklika stał bładny jak trup.

Tegoż dnia Wehlen porzucił służbę list napisawszy do króla. Wachmistrza w kajdanach zesłano do robót w fortecy Königsteinie.

XII

To była pierwsza próba hrabinę Cosel, uwolnienia się z narzuconych jej więzów. Płakała po biednym, młodym zapaleńcu, który dał za nią życie, ale zarazem nad sobą. Słudze kazała się dowiedzieć, gdzie pochowano Henryka i zanieść na jego grób wszystkie ścięte w ogródku kwiaty. Po tym wypadku, zmieniło się niemal wszystko we Stolpen. Po Wehlenie komendę objął surowszy od niego, ale mniej zdolny Bierling, człowiek namiętny, gwałtowny, samowolny, dumny, mający wszystkie wady starego żołdaka, któremu się wiodło lepiej, niż zasłużył. Świeży wypadek, zrazu niezmierną surowość wywołał. Hrabinię z wieży krokiem ruszyć się nie pozwolono, zmieniono dawną straż i Zaklice kazano powrócić do swego pułku.

Korzystając z upojenia komendanta, który co wieczora, po odebraniu kluczy, bezprzytomny padał na łożo, Zaklika nim odjechał, poszedł pożegnać panią Cosel.

Znalazł ją nawpół obłąkaną i we łzach, mówić nawet nie mogła.

— Jakto? już i ty mnie opuszczasz? ty? ze strachu? — zawołała z oburzeniem.

— Ja, nie z własnej woli ztąd idę, odezwał się Zaklika cicho. Kazano mi wracać do pułku — muszę. Odchodzę dlatego tylko, ażeby lepiej mógł służyć.

— A ja! mam tu wieki czekać — płacząc wołała Cosel... umierać powoli.

— Rozkazuj pani — dodał Rajmund smutnie — zrobię co każesz, nic mnie to nie będzie kosztować.

Po chwili namysłu, Cosel wstała z suchemi oczyma.

— Nie, tak jest dobrze, tak musi być — rzekła — idź, myśl sam, co masz czynić: ty to będziesz wiedział lepiej — mnie rozum opuścił, Bóg opuścił, ludzie — wszystko; lecz pamiętaj, jeśli i ty mnie zdradzisz, pomsty na ciebie wołać będę do Boga: przeklnę cię.

Zaledwie chwilę mogła trwać ta rozmowa, którą sługi zdradzić, usłyszawszy, miałyby sobie za obowiązek, nie było czasu do stracenia: hrabina wskazała Zaklice drzewo w Pillnitz, pod którym sama zagrzebała wyjeżdżając, w przewidywaniu potrzeby późniejszej szkatułkę małą, kosztowne zawierającą brylanty. Zaklika miał je wydobyć, starać się spieniężyć i sumę ze sprzedaży mieć na potrzeby hrabiniej, jeśli się ucieczka powiodła. Zaklika ledwie miał czas wysłuchać rozkazów, gdy szmer na wschodach zmusił go do spiesznej ucieczki.

Przez lat kilka potem, wierny sługa nie mógł nic więcej uczynić nad to, iż dawał znaki życia i przez przekupniów oznajmywał o sobie. Surowość byłaby może wreszcie ustała, gdyby nie nowy, podobny zupełnie pierwszemu wypadek, powtórzony i równie nieszczęśliwie zakończony, jak pierwszy.

Tym razem hrabina była pewną, iż ucieczka powieść się musi: nakazała Zaklice czekać na siebie w oznaczonym miejscu na granicy z końmi i pieniędzmi. Niespokojny kapitan znalazł jakiś pretekst dostania się do Stolpen i widzenia na chwilę z hrabiną.

Zwrócono jej wiele swobody, a tej użyła na zjednanie sobie porucznika Helm'a, który tak samo, jak Wehlen, rozkochał się do szału w pięknej zawsze hrabinie.

Ta miłość nieszczęśliwego była może poetyczniejszą niż pierwsza, gwałtowniejszą i więcej wypróbowaną. Trwała ona lat dwa, nim hrabina, poznawszy człowieka, wywiedziawszy się o całym planie jego, zbadawszy charakter, przystała na to, aby raz jeszcze probować szczęścia.

Porucznik Helm, oprócz wdzięku pani Cosel, był ujęty umysłem jej, wymową, poetycznością, gdyż w tym czasie zatopiona w biblii, zaczytana w prorokach, rozmiłowana w księdze świętej Starego zakonu, Cosel stała się niby natchnioną wieszczką i prorokinią. Mowa jej, strój, ruchy, spojrzenie, zdradzały stan umysłu niezwykajny, któremu towarzyszyło takie zaufanie w sobie, taka wiara głęboka i powaga niezachwiana, iż ją to czyniło zjawiskiem, mogącym nie słabego człowieka jednego, ale tłumy za sobą pociągnąć.

Już ci, co ją słyszeli dawniej mówiącą o swém nieszczęściu, na łagodnym w Pillnitz wygnaniu, zachwycali się jej wymową z uczucia płynącą, urokiem słowa, tragicznością postaci. Późniejsze nieszczęścia w dziesięćkroć powiększyły wrażenie, jakie wywierała na ludzi. Zaklika zdziwił się, ujrawszy ją, tak wielką: nadzwyczajną znalazł w niej zmianę. Była to ta sama piękność, ale z surowszym wyrazem twarzy, na której cierpienie wryło swe piętno, nie śmiejąc dotknąć rysów, ani ująć wdzięku. Żywość ruchów ustąpiła teraz powadze, słowa nabrały jakiegoś namaszczenia, jakby z tajemniczego jakiegoś źródła płynęły. Wydawała się kapłanką jakąś i Pythonissą. Zaklika zastał ją z ołówkiem, zatopioną w biblii. Zmierzyła go oczyma i podała rękę do pocałowania. Staremu srodze lzy zakręciły się w oczach.

— Widzisz — rzekła — żyję, Bóg mi przedłużył dni wątku, a nie uczynił tego nadaremnie. Wiem, że tych wszystkich przeżyję, co mnie prześladowali, i że im kiedyś przebaczę. Bóg mi życie przedłużył, aby mi oczy otworzyć na wielkie prawdy dla innych zakryte. Ja muszę być jeszcze wolną, mam wielkie do spełnienia rzeczy.

— A, pani — przerwał nieśmiało Zaklika — czyliż się nie obawiasz, by znowu...

— Ja się nie obawiałam nigdy i nie obawiam niczego — rzekła spokojnie. — Ten człowiek jest moim, władam nim, zrobi co mu powiem, a ja mam teraz jasnowidzenie środków i dróg. On mnie nie zdradzi i los mnie nie zdradzi!

Rajmund zamilkł. Umówiono dzień i miejsce na granicy. Nie śmiał wypytywać ani o środki, ani o plan, drżał w duchu, lękał się o swoją panią, przewidywał, że to może los jej pogorszyć.

Odprawiła go skinieniem monarchini, z zupełnym spokojem ducha. Helm, którego widział krótko, wydał mu się tak zapalonym, tak rozmarzonym, jak biedny Henryk, który padł ofiarą młodych swych marzeń. Posłuszny rozkazom Zaklika, wzięwszy urlop, gdyż służby wojskowej nie rzucił, znajdując w niej pewne zabezpieczenie — z końmi i Wendem, którego najął, stanął zawczasu na granicy.

W nocy tegoż dnia, Cosel przybyć tu miała. Z niecierpliwością niewypowiedzianą, Zaklika stanął na straży; w ciszy niczém nieprzerwanej upłynęła noc, nadszedł brzask... on czekał napróżno. Cały dzień następujący zszedł na czatach i noc jeszcze następna, i trzecia. Nikt nie przybył, nie było wieści. Czwartego dnia kupcy, jadący od Stolpen, w gospodzie

rozpowiedzieli, że zamknięta w twierdzy hrabina, już po wyśliźnięciu się z zamku, wraz z oficerem, który jej ucieczkę ułatwił, pochwyconą została.

Tyle tylko mógł się dowiedzieć o niej i natychmiast powrócił na kwaterę, aby wiadomość mieć o wypadku i skazówkę tego, co mu czynić wypadało.

Niestety, opowiadanie było prawdziwe. Zaklika pojechał na miejsce do Stolpen. Nie potrzebował iść do zamku, w całym miasteczku nie mówiono o czém inném. Helm przez rok cały pracował nad wygrzebaniem pod murami wązkiego przejścia, które wprost wiodło za twierdzę od strony, gdzie nawet strażę nie chodziły. Tu choć urwisko stromem było, zniżyć z niego wyuczył się. Otwór zręcznie zasłonięty był zewnątrz lekko ułożonemi kamieniami. Podpojone strażę, niebytność komendanta, wszystko się zdawało zapewniać powodzenie ucieczce. W ciemną noc dżdżystą, hrabina po mężku ubrana, wysunęła się z wieży niepostrzeżona, Helm czekał na nią w trzecim podwórzu, z którego otwór miał ich na wolność wyprowadzić. Wszystko się tu powiodło szczęśliwie, kamienie po cichu odjęte zostały, hrabina pierwsza wysunęła się z gruzów, Helm szedł za nią. Pomimo ciemności i kilkokrotnego upadku, oboje się spuścili wzdłuż bazaltowych słupów do podnóża. Na gościńcu nie opodal czekać miały konie wierzchowe. Nim do nich doszli, na zamku uderzono na alarm.

Sługa, która weszła wypadkiem do sypialni pani Cosel, lękając się o swą panią, bo ją przez cały dzień, jakby rozgorączkowaną widziała, zobaczywszy okno otwarte tylko i łóżko puste, sądząc, że mogła się w przystępie szału rzucić z piętra na skały... narobiła krzyku. Co żyło zerwało się, komendant, żołnierze, pospólstwo w miasteczku.

W obszukiwaniu po zamku, dostrzeżono otwór pod murem... puściła się pogoń w tej chwili. Człowiek, który z końmi miał czekać, powrócił z niemi co rychlej do miasteczka.

Cosel i Helm, nie wiedząc gdzie się schronić, za radą jej puścili się polami ku blizkim zaroślom, sądząc, że tam się ukryć potrafią; ale komendant, któremu szło o głowę, bo wiedział, że straciłby ją pewnie, gdyby mu ten więzień wymknąć się potrafił; spędził całą ludność, zapalono pochodnie, konnych wysłano na drożyny i miedze i nim się na brzask zabrało, odkryto zbiegów. Hrabina i Helm mieli pistolety, raniono żołnierza w obronie, lecz na strzał wnet nadbiegli inni, i pomimo oporu, wzięto znowu więźniów.

Tak samo, jak pierwszym razem, oficera oddano pod sąd wojenny.

Helm miał jednak krewnych i powinowatych u dworu, udano się do króla i do świetnej naówczas gwiazdy do hr. Orzelskiej o opiekę i łaskę. Nic to nie pomogło.

Skazany na rozstrzelanie, Helm zawieszony został do Drezna, gdzie wszelkie tego rodzaju egzekucje odbywały się na Nowym Rynku, naprzeciw głównego odwachu.

Nowy rynek sławny był z takich krwawych widoków, na których nigdy nie zbywało cizby, a nawet pięknych pań, przypatrujących się z ciekawością łamaniu kołem, ścinaniu i wieszaniu. Tym razem młodego wojskowego tylko rozstrzelać miano, a mimoto ciekawych było wiele, gdyż historia młodzieńca, szalenie rozkochanego w Cosel, który jak opowiadano, w więzieniu kokardę jej całował, rażno gotując się na śmierć dla swego ideału, zajmowała żywo szczególnie kobiety.

Około południa uderzono w bębny, wyszedł oddział wojska, wprowadzono Helma... Oczy wszystkich skierowane były na pięknego złotowłosego młodzieńca, który nie stracił fantazyi idąc na śmierć. Z zamkowego skrzydła nawet widać było wyglądające głowy pań ślicznie ufrizowanych. Kilka powozów z liberyą wspaniałą, ustawiły się tak, aby ostatni akt dramatu życia ludzkiego dobrze z nich widzieć było można.

Helma, który prosił aby mu oczów nie zawiązywano, postawiono przy murze, odkomenderowani żołnierze nabili broń, oficer który miał dać znak do strzału stanął... ofiara już była gotową, gdy od zamku konno nadbiegł wojskowy, adjutant króla, z przebaczeniem.

Nie znalazłby ludzi ktoby sądził, że akt ten łaski powszechną wzbudził radość: wielu znalazło się zawiedzionych, przybyli bowiem na krwawe widowisko, a odeszli z niczem i nie mieli co opowiadać w domu. Helma nazad wprowadzono do koszar. Powozy rozjechały się w różne strony, cizba rozplynęła się zwolna po ulicach.

Na zamku w Stolpen, oprócz podwojonych znowu straży i przedsięwziętych środków ostrożności, nic się nie zmieniło. Przysłano dowódcę nowego, obwarowano niektóre furty i słabsze mury, nietknięto jednak hrabinę, ani ścieśniono tej małej cząstki swobody, jaka jej była dana.

Cosel pokutowała dosyć w sumieniu swém sądząc i będąc pewną niemal, że druga już ofiara padnie nadaremnie i cieniem swym prześladować ją będzie. Nierychło bowiem doszła tu wiadomość, iż Helmowi król raczył przebaczyć.

Nikt nie wiedział jaki los mu był zgotowany.

Zaklika, powróciwszy na dawną swą kwaterę, jakiś czas pozostał na niej nie ruszając się nigdzie, aby podejrzeń nie obudzać...

Czuł on że teraz kolej przyszła na niego i mężnie się gotował do tego, co za swój obowiązek liczył.

Ale dojrzałszy od tych co go poprzedzili, ich doświadczeniem nauczony, chciał być pewien, iż ostatnia próba ucieczki się powiedzie. Nie zrażało go to wcale iż Wehlen życiem, a Helm przypłacił całą przyszłością swą, szlachetną chęć ratowania uciśnionej, niemal oszalałej niewolą kobiety.

Przez czas pobytu w Stolpen i okolicy, kapitan miał zręczność rozpoznać tak zamek, wszystkie jego stare budowle, podziemia, chody, lochy, nawet innym niedobrze znane, iż mógł tu lepiej niż ktokolwiek gospodarzyć. Zastanawiał się tylko nad tém, czy zręczniejszemu mu będzie jako wojskowemu w zamku ucieczkę przygotować, lub uwolniwszy się od służby osiąść czasowo w miasteczku i zwolna się przysposobić do uwolnienia hrabiniej.

Po głośnym wypadku z Helmem, jakiś czas wypadało nie dawać znaku życia, ażeby nie ściągnąć podejrzeń na siebie. Zaklika więc dał tylko przez zwykłego posłańca znać iż żyje i przybędzie, a sam czekał uspokojenia.

Kilka tak upłynęło miesięcy.

W załodze na Stolpach miał towarzyszywojskowych znajomych sobie dobrze, pojechał ich odwiedzić.

Między innymi był tam i przyjaciel jego, niejaki von Kaschau, dobra dusza, ale hulaka nie pomierny, z którym zawsze o Polsce mawiali, bo w niej kilka wypraw odbył i języka się był nawet poduczył.

Pod pozorem więc Kaschaua pojechał Zaklika na zamek. Stary żołnierz nudził się strasznie, więc ledwie go nie zdusił w uściskach, zobaczywszy u bramy i natychmiast ze sobą do komendanta poprowadził, aby mu tu wolny pobyt wyrobić.

Komendant, który miał rany na nogach i ciągle prawie chory leżał, Kaschauem się wyręczał i byle mu spokój dano, zezwalał na wszystko. Dwaj więc przyjaciele poszli do mieszkania Kaschaua na gawędę przy kuflu piwa.

O czémże się miała wszcząć rozmowa jeśli nie o niewolnicy, z której przyczyny czuwać ciągle musiano.

— E! — rzekł stary żołnierz — nie chcę ja sądzić co drudzy robią, a zwłaszcza król! JMOść pan nasz miłościwy, ale co do mnie, nie rozumiem téj srogości nad kobietą i téj obawy! Co ona dziś komu uczynić może? Tyle chyba, że jeszcze się kto jak ów Helm zakocha, bo zawsze piękna i piękna. Nic jej zmienić nie mogło, ani więzienie, ani lzy i męczarnie.

— A gdybyście ją byli widzieli w blasku jój chwały, jak ja, gdym przy dworze był — rzekł Zaklika — dopiórobyście poznali niebezpieczeństwo.

Myślicie że król się lęka jój pistoletów? a! nie, obawia się oczów jój i władzy jaką miała nad nim, bo wie że gdyby godzinę z nim mówić mogła, u nóg jójby leżał prosząc o przebaczenie...

Kaschau się rozśmiał.

— Tak, a wyszedłszy położyłby się u nóg panny Dieskau albo Osterhausen: stary, z pozwoleniem, bałamut!

— Radbym téż ją zobaczyć — odezwał się Zaklika — bo to zawsze ciekawa rzecz, taką kobietę widzieć, a godną jest politowania.

— Któż ci broni? we dnie jój nie wykradniesz! — rzekł Kaschau — idź się pokłoń dawnemu bóstwu.

Otrzymałszy to pozwolenie Zaklika poszedł na wieżę ś-go Jana.

Na drugiem piętrze był pokój Anny Cosel, gdy zapukał, długo nie otrzymał znaku życia i odpowiedzi. Uchylił drzwi z bojaźnią i widok którego w życiu swém nigdy zapomnieć nie mógł, przedstawił się oczom jego.

W pośrodku izby był stół, zarzucony książkami i papierami. Cosel ręką jedną na nim wsparta, drugą trzymając na ustach, stała nad rozwartą ogromną biblią... i dumiała. Ubrana

była tak niezwykłym smakiem, iż Zaklika uląkł się czy przytomną była. Miała na sobie suknie szerokie czarne, z rękawami długimi, pas na którym stały kabalistyczne znaki, a na czarnych włosach po wschodniemu zawiązaną chustkę, w którą wpleciony był zwitek pergaminu, zapisany także głoskami hebrajskimi.

Piękną była w istocie, lecz niepodobną do owój Cosel, która przyjmowała króla duńskiego w stroju brylantami osypanym. Surowsze zdawały się jój rysy, czoło zmarszczone, a małe usta nabrały wyrazu zadumy i jakby pieczęcią milczenia stały zamknięte.

Już Zaklika wszedł i stał w progu, a ona słysząc kroki nie oderwała oczów od księgi, ciągle nieruchoma z wzrokiem wlepionym w karty, jak posąg trwając w osłupieniu.

I nierychło oczy zwróciła; jakby wypadkiem zatrzymały się one na Zaklice, ręka od ust się oderwała, zdumienie odmalowało w twarzy.

— Duchem jesteś czy żywą istotą? — zapytała.

— Wierny sługa, przychodzę po rozkazy — rzekł Zaklika.

— Są więc jeszcze słudzy wierni, i ja, niewolnica, mogę jeszcze rozkazywać komu?

— Mnie — odpowiedział Zaklika — dopóki żyję.

— Jakżeś się tu dostał? tu już nikogo nie wpuszczają?

Zaklika na mundur swój ukazał.

— Po tamtych kolój na mnie — odezwał się — ja postaram się być rozumniejszym, a może będę szczęśliwszym.

Cosel uśmiechnęła się boleśnie.

— O! nie — odpowiedziała — wszystko w życiu ludzkim jest z góry napisane, przeznaczone, nieodmienne, nikt się ze swych wyroków nie wyłamie.

— A dlaczegoż nie miałoby być wyrokiem moim, że ja hrabinie zwrócę swobodę?

Potrząsała głową.

— Dlatego że ja w inny sposób będę wolną — rzekła. Dawniej ciemną byłam, teraz widzę jasno we własnym przeznaczeniu, czytam je w tej księdze. Łaski niema na świecie, jest tylko konieczność, żelazna, niezłamana, nieuchronna; trzeba się jój poddać, ją badać i uczyć się jój: w jednym Starym Zakonie mądrość cała.

Niespodziany ten zwrot rozmowy, zamknął usta Zaklice: nie wiedział co mówić dalej.

— Zostaniesz tu? — zapytała Cosel.

— Sam nie wiem? mam-li zostać? powiedz pani? jam na wszystko gotów...

Cosel szybko kilka kart w księdze przewróciła.

— Trzeba się wyroczeni poradzić — rzekła — czekaj: nie tak!

Zamknęła klamry księgi, podniosła oczy do góry i poczęła szeptać jakby modlitwę; potem rozwarła biblię nagle, spojrzała na prawą stronę jój: oczy padły na księgi Jozue, rozdział dziesiąty, i głośno czytać poczęła:

I znowu rzekł im: „Nie lękajcie się, ani się trwóźcie, ukrzepcie się i bądźcie mocnymi; tak albowiem uczyni Pan wszystkim nieprzyjaciółom waszym, przeciwko którym walczyście...”

Zamyśliła się. — Tak, rozumiem — poczęła po chwili — mocną będę z tobą, ale nic poczynać nie trzeba, a czekać głosu Bożego. Ale jakże możesz ty tu pozostać?

Zaklika, którego ta biblii wyroczenia zmieszała, nierychło zebrał się na słowo.

— Starać się będę o to, gdy potrzeba — rzekł — w ten lub inny sposób, dostanę się na zamek lub do miasteczka. Nikt mi tu mieszkać nie wzbroni! Ale mamże pozostać w służbie i wojsku, czy zrzucić.?

— Zrzucić tę liberyę ohydną, ten kaftan niewoli Amalecytów — przerwała żywo Cosel. — Niewierni są, poganie, bałwochwalcy, gwiazdo-kłonce.

Znowu zamilkł Rajmund.

— Potrzeba mi niewielkiego czasu — rzekł ciszej po chwili — ażeby dostać uwolnienie, sprzedać szarżę, zebrać co mam i przybyć do Stolpen. Kaschau który tu jest z załogą, przyjaciel mój stary; mam dobry pozór, ani mi innego potrzeba.

— Kaschau? — spytała Cosel — jak inni niewolnicy, sługa nieprawości, oprawca.

Zamknęła biblię i zaczęła się przechadzać po pokoju.

— Wracaj więc — rzekła — ani się lękaj o mnie; ja wiem żem z przeznaczeniem walczyć nie powinna, ani ciebie do walki z niem szalonej będę wyzywać. Aleś ty jeden

człowiek, który mi służysz wiernie. Twoje przeznaczenie, Bóg w nagrodę lub za karę splótni z moim, musisz cierpieć razem, a w chwili tryumfu pójdiesz za mną się nim napawać.

Z tego nastroju trudno było rozmowę sprowadzić, Cosel jakby przejęta czytaniem biblii, zapomniała o tym co ją otaczało. Zaklika postawszy u drzwi i oznajmiwszy że jeszcze przyjdzie po rozkazy, wyszedł smutny.

W dziedzińcu u studni czekał nań Kaschau.

— Cóż z nią mówił? — zapytał.

— Stałem u drzwi napróżno i rozmówić się nie mogłem — szepnął Zaklika — zastałem ją nad biblią; czekałem dosyć długo; nie mogła przerwać czy modlitwy czy zadumy: przyjdę raz jeszcze.

— Wątpię, żebyś szczęśliwiej trafił — dodał Kaschau — ona w księgach świętych szuka pociechy teraz, a raczej rozrywki. To i lepiej... A jakżeście ją znaleźli? zmienioną?

— Zapewne — odparł Zaklika, nie chcąc się z tym wydać że ją później widywał — jakże niema nią być? Cosel królowa musi być odmienną w pamięci od Cosel niewolnicy, a jednak panią ona i dzisiaj.

Tak dzień skończyli chodząc po wałach i dokoła murów a rozmawiając z Kaschauem o Krakowie w którym po dwakroć był przy królu, i o wojnie. Gdy bramy zamykać miano, pożegnawszy przyjaciela do jutra, Zaklika wyszedł do gospody w rynku, by tam przenoćować. Usłużny gospodarz Niemiec, widząc wojskowego nadszkiełował mu wielce, i chciał bawić opowiadaniem... lecz kapitan pożegnał go wkrótce. Nazajutrz gdy otwarto bramy wrócił do Kaschaua, który go ze śniadaniem czekał.

Cosel była w ogródku przy kwiatach, skinęła na przechodzącego. Tego dnia ubiór jej był zwyczajny i mowa nawet odmienną: weselszy promień igrał na czole.

— Patrz — rzekła — to są teraz moje dzieci. Moje własne mi wydarto! Co za okrucieństwo! matce odebrać jej własność. W godzinach długich niewoli, myślą tylko odgaduję, jak porosły? Nie poznałabym ich pewnie, a oneby się odemnie odwróciły z przerażeniem.

Prosiłam by mi je choć widzieć dano! Niestety! dzieci króla nie moje! Powiedziano mi że ich widzieć i znać nie będę! I jest istot troje, tak moich jak tylko dzieci matce być mogą, których te oczy nie zobaczą i te ręce nie uścisną! Czujesz ty to — ? rozumiesz... jak się serce pękać musi.

Gdyby mi je Bóg zabrał, szukałabym ich na łonie Ojca Niebieskiego; ziemski ojciec ich, wróg mój, stoi między mną a nimi...

Litościwszy Bóg dał kwiatki, te mi się śmieją za dzieci. A! gdybym im mogła posłać choć po kwiatku. Nie, odrzuciłyby je ze wstrętem! One się matki lękać będą, im powiedzą że nie żywa lub gorzej niż umarła, obłąkana, szalona...

Zaklice się lzy w oczach kręciły.

Rzadko wspominała Cosel o swych dzieciach, jak gdyby się wspomnienia ich lękała. Domówiwszy tych słów zamilkła.

— Idź — rzekła — idź i powracaj. Radziłam się losów biblijnych i wyroczni liczb, powrócić powinieneś i dotrzeć tu. Skinęła jeszcze głową i ręką, ruchem królowej pożegnała Zaklikę.

Nie miał więc już tu co robić dłużej. Dla niepoznaki zabawił z Kaschauem godzinę i pod pozorem służby, przed południem go pożegnał. Przechodząc podwórze już nie zobaczył Cosel przy kwiatach, stała w górnym oknie, ubrana jak wczoraj z książką w rękę, zadumana, rozmarzona. Nie rzuciła nawet okiem na niego, tak cała była w sobie i czytaniu zamknięta.

Nie pytając jakie go tu losy czekać miały, Zaklika posłuszny, wróciwszy na kwatere w Oszaciu, zajął się uwolnieniem ze służby. Łatwo mu przyszło pozbyć się munduru i stopnia. Zabrał co miał i jednego dnia smutnej jesieni, zajechał na gospodę do Stolpen, oświadczając gospodarzowi, iż tu na ustroniu myśli zamieszkać.

Trafił się dworek do nabycia tanio, i kapitan kupił sobie chatę z ogrodem, w której za miesiąc już wraz z Kaschauem gospodarowali.

XIII

W r. 1727, we trzy lata po nieszczęśliwój z Helmem ucieczce, Stolpen, zamek i miasto, już znowu zapomniawszy o tém co przeżyły, dawnym spokojnym trybem wiejskiego żywota, jednostajnego i cichego, wegetowały jakby wśród pustyni.

Na świecie, na dworze, przy królu wiele się zmieniło rzeczy. Hrabina Cosel była prawie pomszczoną, nie wiedząc o tém ani się starając o to. Do jój smutnego schronienia jedna za drugą dochodziły wieści żałobne, nieprzyjaciele jój znikali z tego pola lub ze świata.

Nowi ludzie, twarze, kobiety i faworyci wyrastali na ich miejscu.

W pośród tych ruin jeden tylko król August Mocny, stał zawsze wspaniale rzucając złotem, szukając zabawy, a znaleźć jój nie mogąc...

Piękna Marynia Denhoffowa, może lękając się losu Cosel, napróżno usiłując króla przywiązać do siebie, w ostatku bezpieczniejszém sądziła pójść za mąż. Król się temu nie sprzeciwiał wcale. Bawił się najweselój zawsze na lipskich jarmarkach i przekładał znajomości krótkotrwałe, nad więzy coby dłużej krępować go mogły. Tak cudnej piękności, ale milcząca i jak posąg bez życia, Erdmuta Zofia Dieckau córka tajnego radcy Dieckau z Czeplina, zachwyciła go na chwilę i wydał ją król prędko za mąż za nadwornego swego marszałka von Lossa, znajdując że jak bryła ze śniegu zimną była. Tak potém zakochał się August w Henryecie Osterhausen, której bierne posłuszeństwo go znużyło, a synowa wyгнаła ją do klasztoru, zkąd później Stanisławski żoną ją wywiózł do Polski...

Po tych wszystkich przemijających zapalach, nastąpiło panowanie Anny Orzelskiej, córki Henryetty Duval, dawne świetności przypominające.

Anusia Orzelska w huzarskim mundurze złotem szytym, z orderem Orła białego, jeździła z królem na mustry wojsk i polowania... Król przy niej odkwitał młodością. Nowe pokolenia zjawiały się na dworze. Hrabia Rutowski jaśniał obok siostry swojej; starzy faworyci do grobu się kładli. Fürstenberg, który swym zakładem z Hoymem, sprowadził hrabinę na dwór drezdeński, a później stał się jój najzjadlejszym prześladowcą, nie żył oddawna, z wielkich łask pana zwolna schodził w zapomnienie. Towarzysze jego ministrowie piérwsi przeczuwając co go czekało, wyparli ze swój rady, odejmując mu wszelkie czyny, udział w państwa sprawach: król się odwracał od niego. Nie pozostawało mu jak z alchemią, bigoteryą i myślistwem siedzieć w lasach w Wernsdorfie i na łowach rozmyślać o niestałości łaski pańskiej.

Ten co namiestnikiem będąc, wszystkich z góry wiódł i przez panią Reuss calemu dworowi chciał panować, a nawet samemu panu, zszedł do zupełnej nicości. Po śmierci żony marzył jeszcze o kardynalskim kapeluszu i wybierając się na jarmark do Lipska, pojechał na świat lepszy... tak cicho iż król, który właśnie jarmarkował, nierychło się o zgonie dawnego faworyta dowiedział. Był to gorzej niż upadek głośny, było to przeżycie siebie samego.

Nawet hrabinę Reuss wprzód mu kuzyn Lützelburg odebrał. Wpływ tego kółka, w którém Hilchen, Reuss, pani Reichenbach jój siostra i panie Schellendorf i Callenberg królowały... znikł zupełnie. Rozpierzchno się to i powymierało.

Vitzthum nie żył także od roku, a kilka lat wprzód oddalony od króla przebył w Szwecyi; za niego i za siebie czynną niezmordowanie była żona, owa siostra Hoyma, którąmy widzieli dopomagającą Annie Cosel do łask królewskich, a wprędce pracującą nad jój strąceniem. O ile sam Vitzthum był nieznaczącym, o tyle ona, pani Rachela jak ją zwano, pracowała za dwoje, a przybrawszy sobie z nicości wyciągniętego Watzdorfa, twarz w twarz stawiała do boju nawet z Flemmingiem. Nienawiść jój ku feldmarszałkowi zrodziła się z niechęci i kobiécój intrygi przeciw pani Przebendowskiej, którą Sasi dla ułatwienia sobie zwali panią Brebentau... W czasie poselstwa męża w Szwecyi Vitzthumowa pałac mu budowała na rogu Kreuzgasse, który później Rutowskiemu się dostał. Vitzthumowa uchodziła za najbogatszą panią w Saksonii, a wszystko co miała zebrała sama.

Vitzthum skończył tragicznie.

Na rok przedtém będąc w Warszawie z królem, przy którym szambelanem i adjutantem znajdował się naówczas niejaki markiz de St. Gilles, pono nie przyznany syn sardyńskiego króla Wiktora Amadeusza, a wedle zwyczaju swojego grając dnie i noce, poważnił się z nim u kart w królewskim przedpokoju. Vitzthum miał lat pięćdziesiąt

kilka, St. Gilles dwadzieścia i parę. Gra była gruba, zapalczywy młody przegrywał; zaczął przeciwnikowi przymawiać: od słowa do słowa przyszło do łajañ i razów. Hałas się stał, król się dowiedział, faworytowi starszemu dał naturalnie słuszość, zgromił włocha i skazał go za obejście się grubiańskie na trzymiesięczne w lipskiej twierdzy więzienie. Była to kara i łaska, gdyż komendantem w Lipsku podówczas był hrabia Castelli, wuj markiza. Zakazano mu się jednak na przyszłość pokazywać u dworu.

St. Gilles odsiedziawszy trzy miesięczne więzienie, zbiegł tajemnie do Polski i dostawszy się do Nadarżyna, posłał Vitzthumowi wyzwanie. Nie mógł go on nie przyjąć, nakazał wszystkim jak najsurowiej milczenie, aby się król nie dowiedział i nazajutrz d. 13 kwietnia 1726 r. przybyć obiecał.

Wieczorem Vitzthum u córki (ks. Lubomirskiej) był na kolacyi, bawił się jaknajweseliej i do północy grał w pikietę. We dwie godziny potem jechał potajemnie do Nadarżyna, wzięwszy z sobą jednego tylko sekundanta, hr. Montmorency.

Z rana między piątą a szóstą stanął na miejscu, posłał do markiza z oznajmieniem oficera Freneuse i że naówczas obyczajem było z konia się strzelać, siadł na koń. Zapaśnicy wyjechali przeciw sobie z wielkim mężstwem, powoli, a zbliżywszy się na strzał, markiz strzelił i ugodził Vitzthuma tak śmiertelnie, iż trupem z konia się zwałił. W téjże samej chwili strzelił Vitzthum także, ale kula jego drasnęła tylko policzek markiza i perukę. S. Gilles nie wiedząc co począć z sobą, uciekł do Warszawy i szukał schronienia w klasztorze Teatynów. Król rozżalony nakazał nie zważając na prawo schronienia, marszałkowi St. Gilles'a odebrać z klasztoru. Klasztor otoczyło półtora żołnierza, w téj samej chwili St. Gilles za laika przebrany umknął na Berlin i Lipsk do Włoch...

Ciało zabitego, we wszystkie dzwony na cześć mu bijąc po drodze, wywieziono do familijnych grobów.

Taki był koniec pierwszego faworyta. Flemming trzymał się jeszcze, on jeden umiał się stać potrzebnym i obronić od losu, który spotkał innych jego współzawodników...

Budował naówczas pałace, sprzedawał, handlował dobrami i złoto na beczki mierzył. Pozbywszy się Schulenburga, odradziwszy królowi oddanie dowództwa wojsk genialnemu synowi Maurycemu saskiemu, marzył Flemming o księstwie kurlandskiem dla siebie, a o żenieniu pięćdziesiąt ośmioletniego Augusta z siedmnastoletnią księżniczką pruską, która przymierze między Saksonią, Polską (na dziedziczną przerobioną i rozdzieloną), a Prusami umocnić miała. I gdyby August II zgodził się był na to małżeństwo, przyszłoby było do skutku.

Niecny Löwendahl, który hrabinie Cosel winien był wyniesienie swoje, trzymał się jeszcze, ale z każdym dniem tracąc na słowie i znaczeniu i walcząc z silniejszym stokroć od siebie Flemmingiem, trwoniąc łatwo zdobyte mienie, pędził ku widocznej już ruinie.

Watzdorf nareszcie, ów „chłop z Mansfeldu” przerzucając się na różne strony u dworu, dostarczając pieniędzy, frymarzcząc z Flemmingiem, nie rzucał kłamki dworskiej, choć król na niego patrzeć nie mógł, ale go potrzebował.

Na dworze króla ten sam zawsze panował szal zabaw i potrzeba nienasycona rozrywek. Przybycie Orzelskiej pobudziło do nowych wystąpień tak jak przed kilką laty ożenienie syna, odznaczyło się bajecznym zbytkiem i przepychem...

W pośród tych najróżnorodniejszych roztargnień, które królewska fantazyja sama sobie dostarczała, przychodziły chwile, w których August miał się za wielkiego wojownika i wojskowych łaknął popisów.

W tym roku, król wiosny pięknej w Pillnitz zażywał, wojsko stało obozem, strzelano z dział i próbowano półkartaunów siły. Hrabia Wackerbarth towarzyszył Augustowi. Mówiono o twierdzy Königsteinie i o czynionych próbach na skałach, na których się ona wznosiła. Półkartauny w proch rozsypywały kamienną podstawę twierdzy.

— A jednak — rzekł Wackerbarth — znam miejsce i kamienie, którychby one nie wzięły: za to ręczę.

— Gdzie? — zapytał August.

Wackerbarth spojrział na króla, zdawał się zafrasowany tém że mu się to słowo wyrwało i milczał.

— Gdzie? — powtórzył król.

— W Stolpen na bazaltach tamtejszych, które są jak żelazo twarde, kule nic nie mogą.

— W Stolpen! — zawoła August i twarz mu się okryła chmurą — a, w Stolpen!

Była milczenia chwila, król się przechadzał niespokojnie, znać było iż go jakaś fantazyja dręczyła, której zadość uczynić nie chciał czy nie mógł.

— W Stolpen! — powtarzał kilka razy. — Można by kartaunów na skałach tamtych spróbować.

Wackerbarth spojrzawszy trwożliwie na króla, który jakby ubodnięty tém wejrzeniem, zawołał: — Dlaczego nie mamy kul na bazaltach spróbować? przecież zamku nie obalimy? a kilka strzałów...

Wackerbarth zmilczał, jakby czekając rozkazów i niedowierzając im. August widocznie oziębłością jego był dotknięty i chciał się wyższym nad pewne względy dziecinne, które mu ktoś mógł przepisywać, okazać.

— Poślij waćpan do Stolpen — odezwał się — dwa działa, każ mi przygotować baterye naprzeciw tych słupów, będę sam jutro rano próbie przytomny. Tak, z rana — dodał — póki gorąco nie przyjdzie, bo dnie już bywają skwarne. Odwrócił się od niego i poszedł.

Rozkaz króla spełniał się zawsze mimo wszelkich przeszkód możliwych, we mgnieniu oka. Na całą noc wysłano rozkazy i działa do Stolpen... Zaklika spał w swym dworku samotnym, gdy o północy rozruch nie zwykły stał się w miasteczku. Konni, wozy, wojskowi z głośnie mi krzyki wjeżdżali z pośpiechem wielkim i zuchwałością żołdacką. Kapitan wychylił z okna głowę nie mogąc pojąć co się stało i sądząc że jaki nieznany nieprzyjaciel wtargnął w Saksonii granice. Z języka jednak poznał Sasów, którzy swém *Herr Jeses!* powtarzaniem nieustannie zdradzali się łatwo. Zobaczywszy oficera kapitan ośmielił się go po koleżeńsku zapytać — co się stało? i z kąd pośpiech był tak wielki.

— Król! N. Pan! — krzyknął oficer pędząc ludzi — król przybywa jutro, to jest dziś rano tu będzie.

— Król? w Stolpen?

— Tak jest i jeśli macie ludzi ślijcie ich z łopatami, trzeba naprędce usypać baterye do rana. Będą strzelać do słupów i próbować kul siły.

— Gdzie? — krzyknął zdumiony Zaklika.

— A! gdzie! tu na górę zamkową! — śmiejąc się powtórzył oficer — czyż mnie nie rozumiecie.

Rozmowa się przerwała. Zaklika pochwycił co najprędzej odziewać. Uszom swym nie mógł dać wiary! król, król strzelający do zamku, w którym więził tę nieszczęśliwą ofiarę od lat tylu, jakby na urągowisko. Rzecz była nie do uwierzenia, nie do pojęcia. Król w Stolpen!

Jaka chwila do przebycia dla hrabinéj! włosy powstały mu na głowie; omackiem począł chwycić odzież, ubierać się bez przytomnie, machinalnie. Chciał biedz, oznajmić jéj o tém, przygotować ją, nakłonić do przeżycia téj próby na którą miała być wystawioną.

Zaklika miał łatwy wstęp do zamku, zdawało mu się że w tym zamęcie powszechnym wciśnie się i na coś przecie przydać może. Los Cosel ścisnął mu serce, łzy dobywały się z oczów.

— Król! król! — powtarzał machinalnie — a! to nie może być! W ostatniej chwili zawstydzi się, zabojeje, nie przyjdzie. To nie może być.

Co się z nią stanie?

Szarżało na dworze gdy zamykając swój dworek, Zaklika wybiegł jak oszalały pędząc pod zamek.

Na zamku wszystko było rozbudzone, wiadomość że król przybywa jak piorunem odpoczywających żołnierzy i starszyznę poruszyła. Z miasta, z wiosek sąsiednich żołnierze gnali płazami ludność z chat powypędzaną do sypania bateryi naprędce. Płacz, krzyki i głośno wydawane rozkazy rozlegały się dokoła. Konni krzyżowali się na drogach, wszyscy potracili głowy.

Jedną baterye już sypać zaczynało w zwierzyńcu przy tak zwanéj Röhrpforte, drugą na Hanewaldzie, w ogródku skarbowym (Amts-Frohns Gärtehen)...

Gdy Zaklika do bram przypadł na rozcież otwartych, w zamku wszystko było na nogach. Czyszczono, zmiatano, znoszono gruz, komendant chrypl od wołania, oficerowie nie wiedzieli od czego poczynać. Około wieży św. Jana cała służba żeńska i męzka hrabinéj Cosel, stała w najdziwniejszych ponarzucanych ubraniach, tak jak się ze snu zerwała sądząc że na zamku się pali. Stali w osłupieniu, pytając jedni drugich, nie wiedząc co się stało

i co przygotowywać mogło. W otwartym oknie blada pokazała się Cosel, Zaklika wbiegł po wschodach pół żywy załamując ręce.

Spotkała go w progu Cosel z zaciśniętymi ustami, cała drżąca.

— Król! — zawołała — król! a! rozumiem!

— Król do mnie przybywa...

— Pani — przerwał Zaklika — król przybywa kul swoich dział na słupach u góry próbować.

Cosel się rozśmiała.

— Prosty! naiwny człowieku! — zawołała — i ty w to wierzysz? Ja śniłam o nim od tygodnia. Duch mój błędził nad nim i pociągnął go ku sobie. Szukał pozoru... Chce mnie widzieć. On wie że ja go kocham, że mu przebaczę. On jest wolnym, on chce mnie poślubić jak dał słowo. Niech mnie ubiorą jak do ślubu, jak na największą uroczystość. Chcę być piękną! Chcę mu przypomnieć tę Annę, przed którą klękał...

— Król! — powtórzyła z zachwytem — mój król! mój pan!

I uderzyła w dłonie.

Zaklika ze spuszczoną głową, osłupiały, stał niemy.

— Wołaj sługi moje — dodała — niech przyjdzie Lina, niech dobędzie z kufrów suknie.

I rozpuszczone włosy czarne, które jej na białą szyję spadały, ujawszy w dłonie, biegła po ciasnej izdebce.

— Wołaj mi sługi coprędzej! on może przybyć co chwila! a ja nie będę gotową. Mój król! mój pan... August!

Zaklika wybiegł, zawołał na sługi, a sam siadł na wschodach i niemy, zbolący, pół martwy, nie mógł już z miejsca się ruszyć.

W zamku wrzawa była niezmierna. Dniało! Liczono minuty, liczono sekundy, nielitościwie bicze smagały dla pośpiechu pracujących, baterye rosły w oczach, ale i dzień rosła straszliwie. Najpiękniejszy w świecie ranek majowy wschodził ponad dolinami i góry, z których lekkie mgły wstawały ku niebu. Drzewa pachniały rosą skropioną, dyszały wonią łąki rozkwitłe; cała natura, jak dziecię w kolebce szczęśliwe, budziła się z uśmiechem na ustach. Wśród tego wielkiego spokoju natury, w zamku jak w poruszonej osiem gnieździe syczało, ruszało się, roilo.

Żołnierze kładli mundury i zbroi kawalki, starszyzna dobywała najświeższych rynsztunków, komendant dowiedział się z przerażeniem, iż, przeciwko obyczajowi, z Pillnitz ani stół, ani kuchnia królewska, ani zapasy przybyć nie miały, a tu przecież N. Pana przyjąć czems należało. Co tu znaleźć coby ust pańskich było godnym? Wzięto naturalnie kilka sztuk ze zwierzyńca, znalazła się faszka wina, ale jak obozowa prostota zastawy stołu, miała się wydać w oczach pana tak do wspaniałości nawykłego. Rzeczywiście jeden był tylko stary kieliszek z herbami saskimi, godzien ust pana, a misy i talerze i reszta ubóstwo gospodarza przypominała. Księża z kościoła pożyczili obrusa, gospoda dostarczyła wiele, bez reszty musiano się obejść.

Półkartauny stawiono na przeznaczonych do nich wprędce usypanych bateriach. Było już po czwartej, czas upływał z szybkością przerażającą... lada chwilę można się było spodziewać N. Pana, który zapowiedział, że z Pillnitz dodnia wyjedzie. Komendant posłał na wieżę „siedmiu wierzchów” wyrostka, aby mu dał znać gdy na gościńcu od Pillnitz tuman pyłu zobaczy.

Artylerzyści wcześniej celowali półkartauny tak, aby kule na pewno w słupy bazaltowe biły. Zabawka ta wydawała się im wcale pańską, bo na nic nieprzydatną, ale fantazyi musiał król dogodzić. Utrzymywało się tu od dawnych wieków podanie między ludem o jakimś bajecznym obłężeniu, w czasie którego odbite kule na napastników padały.

Wszystko stało w porządku i komendant lustrował szczuple swe siły, gdy z wieży chłopak dał sygnał.

W tej samej chwili burmistrz, ławnicy, mieszcianie z chorągwiami i w paradzie, niosąc zardzewiałe klucze od szpichlerza wójta miejskiego, wystąpili na gościniec; na dzwonnicy ludzie oczekiwali znaku ażeby powitać Pana biciem we wszystkie swe dzwony. W miasteczku co żyło świątecznie ubrane, zalegało rynek i ulice.

Tuman kurzu widny z daleka, zbliżał się żywo; nareszcie dostrzeżono jadącego przodem wyciągniętym klusem dorodnego, pięknego, wspaniałej postaci mężczyznę. Za nim

gonili adjutanci, szczipły dwór i kilku zaproszonych gości. W oddaleniu drugi orszak, jakby doganiając pierwszy pośpieszał.

Milczenie głucho zaległo szeregi... oczekiwano. Coraz widoczniej rozeznąć było można niebieski żustokor króla z haftowaną na nim gwiazdą Orła białego.

W bramie król ledwie skinął burmistrzowi i ławnikom schylonym do samej ziemi; biegł wprost drogą na zamek. Tu u wrót stała załoga, bito w bęben i komendant wyszedł z raportem. Lecz król zdawał się pomięszany, niespokojny i w złym humorze. Nie odezwał się nawet do nikogo. Zwrócił konia ku baterii przy Röhr-Pforte w zwierzynicy i popatrzał chwilę nie mówiąc nic; potem ruszył pod twierdzę na Hannewalde. Przed tą baterią najpotężniejsza masa czarnych słupów, jakby związanych w pęk ogromny wznosiła się. Widać ztąd było wieże, mury i okna Sto-Jańskiej wieży, w których postać biała migiała. Ale król nieśmiało podnieść oczów. Po krótkiej chwili zawrócił do zwierzynicy.

W tej chwili dobiegł właśnie Wackerbarth z Drezna i towarzyszył królowi roztertagnionemu, zasepionemu widocznie. Wackerbarth stanął z tyłu nie mówiąc nic. Augustowi śpieszno było; dał znak: przystąpili artylerzyści do dział i ogromny huk dał się słyszeć, odbity przez okoliczne góry.

Ucho czujne byłoby z nim razem pochwyliło krzyk dziwny, jakby rozpacz i boleści. Król wszakże i towarzyszący mu nie mogli usłyszeć, ani zobaczyć nic, gdyż cała ich uwaga zwróconą była na półkartaunę i bastyon, do którego podstawy dawano ognia.

Pierwszy strzał skierowany na mur bazaltowy, wprawdzie wybił w nim dziurę, ale żelazna kula rozbryznięła się na kilka sztuk. Komendant przyniósł ją N. Panu, August popatrzał i głową ruszył w milczeniu. Drugi strzał wymierzono już na same słupy rosnące z ziemi u stóp bastyonu; kula została strzaskana i kilka tylko kawałków kamienia odpadło, znać dawniej nadkruszonego.

Kazał król, jakby zapalając się coraz, strzelać raz trzeci i czwarty na skały nieco wyższej sterczące; skutek był ten sam: kule się roztrzaskiwały, a kamień opadał tylko w tym miejscu gdzie go trafiły... słupy wytrzymały. Za każdym strzałem, pękające kule i kamienia odłamy leciały w górę i opadały, nie raniąc nikogo, jednego tylko królewskiego konia przy Röhr-Pforte trzymanego, uderzył kamień w nogę i trochę skaleczył. Za trzecim też strzałem, kawał rozbitej kuli około sześciu funtów wagi, przeleciał przez mury na miasteczko i padł na słodownię, przebijając dach, sufit i rusztowania, aż do ziemi. Komendant zobaczywszy to, pobiegł zaraz zbadać szkodę i kulę z kawałkami drzewa przyniósł przy najpowinniejszym raporcie N. Panu, który raczył ją oglądać.

Nie strzelano już nawet z baterii na Hannewalde, król miał tej próby dosyć.

Od pierwszej chwili, gdy posłyszała Cosel o królu, była jak nieprzytomna; najprzód serce jej chwyciła nadzieja, że August stęskniony dla niej tu przybywał. Ubrała z gorączkowym pośpiechem, z największym staraniem, patrzyła długo w zwierciadło, uśmiechając się sama sobie.

— A! nie, to nie może być inaczej — szeptała — jestem pewna, przybywa dla mnie. Mógłby strzelać do tych murów w których ja siedzę zamknięta, dla zabawki. A! nie! to koniec mojej niewoli, to mojego tryumfu początek.

Biegała od okna do okna. Z jednego widać było pillnitzką drogę i na niej Nider-Thor. Postrzegła tumany pyłu, serce jej biło, płakała. Wtém dały się słyszeć dzwony, bębny, król wjeżdżał... cisza. Przycisnęła serce dłonią, czekała. Zdawało jej się że go usłyszy na wschodach, że go ujrzy we drzwiach, pełnego łaskawości i litości. Długo trwało potem milczenie złowrogie... i strzał się rozległ... strzał i krzyk. Cosel upadła na ziemię. Nagle porwała się jak wściekła, rozjuszona, z rozrzuconymi upadkiem włosami i pobiegła do stolika.

Ręce dygoczące ze wzruszenia odmawiały jej prawie usługi; odsunęła szuflady, rozwinęła jedwabne chusty, dobyte pistolet, który ją nigdy nie opuszczał i ukryła go w szerokim sukni rękawie.

Jak obłąkana przybiegła do okna najbliższego, rozglądając się w prawo i w lewo. Z tej strony słyhać było trzaskające strzały i skały gruchotane, których odłamy dolatywały do okna. Cosel wyprostowała się, oczy jej pały ogniem, ręce drżały, pierś się podnosiła gwałtownie. Czekala.

Za każdym strzałem chwytała się za głowę i serce, jakby niewierząc uszom, nieufając oczom. Śmiech dziki błąkał się po ustach, a łzy napelniały powieki.

Za czwartym strzałem ucichło.

I długo było cicho; Cosel się nie ruszała z miejsca, w prawej ręce trzymając i cisnąc pistolet.

Już prawie znużona tém oczekiwaniem paść miała, gdy na drodze pod oknem tentent konia dał się słyszeć. Cosel wysunęła się do pół... patrzała.

To był on! on! August! Jechał sam pędząc konia drożyną pod murami.

Krzyknęła: podniósł głowę, stanął i rękę przyłożywszy do kapelusza, niemy, blady, stał rwąc konia, który mu się wyrwał.

Hrabina wychyliła się ku niemu z okna jakby się rzucić chciała.

— Królu! panie! litości!

August nie odpowiedział, Cosel się uśmiechnęła.

— Litości od ciebie się spodziewać! okrutniku nikczemny, ty co słowa łamiesz i karzesz za nie tych co się o nie upominają! Litości! od ciebie? Co dla ciebie ludzkie życie, czém serce ludzkie dla ciebie? Cosel niewolnica gardzi tobą, brzydzi się, przeklina. Ciebie i pokolenie twe, i kraj i imię.

Giń nikczemny!

W téj chwili dobyła pistoletu i... strzeliła do króla.

Głucho rozległ się strzał ten po zamku i śmiech: Cosel padła. Król jak osłupiały, usłyszawszy świst kuli która mu kapelusz drasnęła, oprzytomniał; skłonił się z uśmiechem i konia puścił cwałem.

Nie dziw że potem nieprzyjawszy śniadania u komendanta, chmurny, natychmiast nazad do Pillnitz odjechał⁴.

XIV

Gdy Zaklika przerażony strzałem i hałasem wszedł do pokoju Cosel, zastał ją bladą, bezprzytomną, leżącą na ziemi. Koło niej wystrzelony dymił pistolet. Domyślił się wszystkiego. Sługi nadbiegły także ratować panią, która zdawała się jakby umarłą.

Ludzi wielu słyszało strzał, August wszakże nikomu o nim nie powiedział i zamilczał. Domyślano się ztąd, iż o nim rozpowiadać nie należy.

Nie rychło poruszona tym wypadkiem hrabina, wróciła do sił i dawnego trybu życia. Wiedziała ona iż teraz nie ma się już czego spodziewać: los jój był rozstrzygnięty na wieki.

Nie dziw téż że wśród téj długiej, jednostajnej niewoli, w umyśle jój chwilami czuć było jakby obłąd jakiś, jakby zwichnięcie i szale

Napozór jednak poddając się swojemu przeznaczeniu, Cosel i potem r. 1727 nie rzekła się nadziei oswobodzenia. W rok potem, mając przez Zaklikę znaczną summę ze sprzedanych klejnotów, usiłowała nie radząc się go, nie mówiąc mu nic, wyrwać, przepokupując otaczających. Jednego dnia późnej jesieni, spuściła się z mieszkania swojego na wieży, mając przyrzeczoną pomoc do wdrapania się na mur przy ogródku. Żydzi handlarze, których do tego użyła, kazawszy sobie zapłacić sownie, niezręcznie posiłkowali jój do téj ucieczki. Już była na drugiej stronie muru, który po lekkiej drabinie ze sznurów miała odwagę przebyć, gdy warty usłyszawszy ruch u stóp wieży, załogę zaalarmowały. Komendant przypadł, i nim hrabina miała czas oddalić się cokolwiek od zamku, pochwycono ją odprowadzając nazad do mieszkania, u którego odtąd znowu stały warty.

Nie wzbraniao jednak przybywającym do Stolpen widywać się z nią, a trochę późniéj we dnie do ogródka wychodzić.

Zaklika siedział ciągle w miasteczku nieobudzając szczęściem podejrzania, gdyż zachowywał się spokojnie i w ostatnim wypadku posądzonym nawet być nie mógł. Cosel dawała mu różne rozkazy, ale dotąd nie żądała nawet pomocy do ucieczki.

W następnym roku podrażniły nieszczęśliwą niewolnicę, wiadomości o obchodzonym świetnie, świetniéj może niż kiedykolwiek karnawale w Dreźnie z powodu przybycia Fryderyka Wilhelma wraz z synem Fryderykiem (Wielkim). Pobyt ich tutaj trwał cztery tygodnie.

⁴...nazad do Pillnitz odjechał — *Bei dieser Gelegenheit, habe Sie nach dem Kurfürsten geschossen (Stolpen Stadt und Schloss 66).* [przypis autorski]

W kilka dni po przybyciu Fryderyk pisał ztąd do Seckendorfa: „Tutejsza magnificencja jest tak wielka, iż sędzę, pewnie u Ludwika XIV nie mogła być większą, a co się tyczy rozwiązłego życia, wprawdzie jestem tu dopiero od dwóch dni, ale muszę powiedzieć prawdę, że nic podobnego w życiu nie widziałem.”

Magnificencje te trwały cały miesiąc, rozpoczęte dnia 13 stycznia. Króla pruskiego przyjmował Flemming w Elsterwerday i ztąd wysłano po syna Fryderyka, którego August zapraszał.

Nazajutrz król z synem z maskarady odbywającej się u feldmarszałka, przyszli powitać przybywającego. Następne dni sływały na nużących zabawach, komedjach, baletach, pokazywaniu zbiorów i kosztowności. Na rynku wyścigi dnia jednego, potem gonienie do pierścienia, ciskanie dziryków i t. p. Nie przeszkodziło zabawom że wybuchł pożar w Zekauzie, zmusił gości do ucieczki z mieszkania. Sądono się na karuzele, w których król występował po polsku w galonowanej sukni złotej z białymi i niebieskimi piórami. Myślistwo, oglądanie zamków nie ustawały. Cosel wiedziała o tych wszystkich wymysłach, które się powtarzały z dawniej jej dobrze pamiętnych.

Orzelska bałamuciła Fryderyka W., który był nią mocno zajęty, a król zazdrośny wyplącał się figlami. Dlatego to później o nim pisząc Fryderyk, mówił: „Król polski jest ze wszystkich w świecie monarchów najfalszywszym i wzbudzającym we mnie wstręt największy; nie ma czci ani wiary: oszukaństwo jest dlań jedynym prawem... własny interes a różnienie drugich ciąglęm staraniem. Ale raz mnie tylko potrafił podejść i więcej nie zdoła.”

Pomimo tych uczuć obu Fryderyków pruskich dla Augusta, najczuliej się ściskano, a trzpiotano. Jednego dnia król August z księżną Teschen, grał rolę gospodarzy i prowadził zabawę, w której występowali chłopci francuzcy (żona księcia następcy), włoscy komedyanci (Orzelska), górnicy (Rutowski i p. Manteufel z domu Błudowska), w ostatku chłopci norwegscy (Feldm. Flemming i żona jego z domu x. Radziwiłłówna). Król pruski był przebrany za *pantalona*, a Fryderyk W. za *norweskiego chłopca*!!

Król szczególnie odznaczał się nadzwyczajną uprzejmością dla swych gości i niesłychanego bogactwa strojem, okrytym brylantami. Pomiedzy niemi jaśniał nabyty przed piętnastą dniami blisko dwóchset karatowy brylant najczystszej wody.

Odbywszy całą miesięczną tę zabawę na dworze drezdeńskim, król pruski pisze poufnie do Seckendorfa: „Jestem w Dreźnie, skaczę i tańczę, a zmęczony daleko więcej, niż gdybym codzień po dwa jelenie uszczuł. Wracam do domu znużony przebytemi tu przyjemnościami.

Z pewnością żyje się tu nie po chrześcijańsku, ale Bóg mi świadkiem, że w tém żadnej przyjemności nie czuł, i powracam tak czysty, jak przybyłem.”

Zabawom tym nie było końca.

Najwspanialszą i ostatnią pono był obóz w Mühleberg nad Elbą, który trwał miesiąc cały, który poeci opiewali, ale też i wyśmiewano się z niego pocichu.

Miejsce na obóz samo, oczyszczone z lasu, zajmowało mil trzy obwodu.

Spędzono chłopów i górników i w pień go wycięto. Dwadzieścia tysięcy piechoty i dziesięć jazdy polskiej i saskiej stało obozem; wszystko nanowo wyekwipowane i na francuzki sposób wyegzercytowane. Najwspanialsze były kawalergardy *grands mousquetaires* konni, grenadyerowie konni, gwardya konna, spahi i kozacy, a z piechoty janczarowie i batalion lejbgwardyi grenadyerów Rutowskiego.

Janczarowie mieli mundury z lamy złotej, a Rutowskiego batalion z najogromniejszych ludzi, zachwycił króla pruskiego nad wyraz wszelki. Król miał główną kwaterę w Zeithen, w drewnianym, naprędcie wzniesionym, ale olbrzymim budynku, o dwóch piętrach z suterrenami, okrytym zewnątrz płótnem malowanym. Do malowania tego sprowadzono umyślnie sześciu dekoratorów z Włoch. Na chorągwi powiewało godło: *Otia Martis*. Oprócz pałacyku, król miał dwa ogromne namioty.

Z gości przyjmował August znowu króla pruskiego z synem i mnóstwo cudzoziemców, piętnastu posłów samych, a sześćdziesięciu dziewięciu hrabiów i trzydziestu ośmiu baronów.

Z Francji przybył nawet Marechal de Saxe.

Więcej się tu bawiono, muzyki słuchano, tańczono i spalono ogni sztucznych, niż pisywano z wojskami. Na jednej z uczt tutejszych, podano sławny ów olbrzymi pasz-

tet, czy ciasto, długie na szesnaście łokci, a sześć szerokie, na które poszło siedmnaście szefli mąki. Przywieziono je na wozie ośmią końmi ciągnionym, a cieśla musiał je krajać. Wszystkie te pomysły, płodny w nie August sam wynajdował i wykonaniem ich się zajmował. Sławny Zucchi sztychował później ku podziwowi potomnych, historią Mühlbergskich cudów; opiewał je König, poeta nadworny, a Fryderyk W. z nich szydził nilitościwie.

O wszystkich tém donoszono i rozwożono wiadomości po kraju, lud i słudzy je chciwie powtarzali, a Cosel także słuchać musiała, gorzko uśmiechając się fetom, które świętokradzko, bez czucia powtarzały kropla w kroplę te, jakie August dawał dla niej.

Jątrzyła ją ta obojętność króla, rozbudzając chęć wyrwania się z więzów i pomszczenia może na nim swój niedoli a jego niewiary.

Przychodziły na nią takie dnie szau i niepokoju, a potem znowu bezsilności.

Kilka razy miała już na ustach powiedzieć Zaklice: „na ciebie kolój.” On też spodziewał się tego i czekał. U niego zawsze w gotowości było wszystko — sam jeden był, mógł umrzeć.

Przez lat tyle pobytu w Stolpen, miejsce i ludzie byli mu doskonale znani. Myślał po każdej nieudanej wyprawie, jakby przyszłej zapewnić powodzenie. Był to jedyny przedmiot, którym się zajmował. Wyzywać ją jednak na niebezpieczeństwo nie chciał: czekał.

Jednego dnia, gdy żydzi razem z innym towarem przynieśli jój hamburgską gazetkę, w której było opisanie ostatnich zabaw czasu bytności króla pruskiego, a między innymi karuzelu, niegdyś dla niej po raz pierwszy wymyślanego, Cosel oburzyła się, oczy jój, jak zwykle, gdy bywała poruszoną, zaiskrzyły się, odczytała dziwnym stylem napuszonym, opowiadanie... zmięła je i zdeptała.

Zaklika na to nadszedł.

Chodziła długo zamyślona.

— Masz jeszcze ochotę życie swoje ważyć dla mnie? — zapytała pocichu.

— A! zawsze — poprostu odparł Zaklika.

— Masz jaki sposób ratowania mnie?

— Będę go szukał.

— Żal mi ciebie, najwierniejszym mi byłeś — rzekła — ale nie żałuję siebie: gotowam zginąć sama. Muszę się ztąd wyrwać... muszę.

Rajmund stał zamyślony.

— Potrzebujesz wiele czasu?

— Nie mogę się obrachować — odezwał się Zaklika... trzeba raz tak począć, aby dokonać co się zamierzyło.

Skinęła Cosel, Zaklika wyszedł i nie zachodząc do nikogo, wysunął się poza zwierzyniec, potrzebując sam na sam myśli zebrać. Rozmaite plany miał oddawna, wszystkie one najlepszymi się zdawały, a jednak każdy miał jakąś wadę.

Wszystkie poprzedzające próby chybiły przez to, że się zawczasu o ucieczce dowiedziało; należało tę obwarować, aby nie została odkrytą, aż gdy Cosel dostanie się za granicę: potrzeba było zatrzeć ślady uciezki i omylić pogonie.

Nieszczęściem Zaklika nikogo nie miał do pomocy, oprócz kilku wiernych, znajomych Wendów, bojaźliwych i niezręcznych. Rachować mógł na ich uczciwość, lecz wcale nie na przebiegłość.

Pora, w której ucieczkę wykonać należało, zdała mu się ta najlepszą, gdy jak najmniej spodziewać się jój mogli na zamku.

Powiedział więc sobie: we dnie.

W bramach zamku ścisłej kontroli wchodzących i wychodzących nie utrzymywano, puszczano przekupniów do hrabinéj, do komendanta i mężczyznie nie zwracali żadnej uwagi. Wnosił więc, że Cosel w chmurny lub słotny dzień, nad wieczorem, okryta jego płaszczem wojskowym, z czapką na oczy nasuniętą, śmiało wyjść mogła i straży jój nie zaczepiła. On zaś sam miał o kilka kroków iść za nią i przeprowadzić na zwierzyniec do koni wierzchowych, któreto dosiąć mieli i puścić się zaroślami i lasem bez drogi w góry. Lasy łączyły się naówczas ze zwierzyńcem królewskim. Konie miał w pogotowiu trzymać Hawlik.

Przez kilka dni Zaklika ważył i rozważał... nic lepszego znaleźć nie mógł.

Przyszedł więc do hrabinéj, poddając jój myśl swoją.

Chwyciła się jęj gwałtownie, znajdując bardzo szczęśliwą. — Pierwszy dzień dżdżysty, nie ma czego zwlekać — zawołała — trzeba probować. Jestem zdecydowana się bronić, spodziewam się, że i ty nie dasz się wziąć im gołą ręką... trzeba się więc uzbroić.

— Ja mam nadzieję, że to nie będzie potrzebne.

Cosel nic nie odpowiedziała.

Przez dni kilka niebo było wypogodzone i jasne. Zaklika przychodził codzień, czyniono przygotowania; przewidując że tu już nie powróci, sprzedał zabezpiecen swój dworek i spieniężył co tylko było można.

Naostatek niebo się chmurami zaciągnęło późno we czwartek i zdawało się że na dni kilka stała się ślota zapowiada. Zaklika umyślnie płaszczem okryty kręcił się wchodząc i wychodząc z twierdzy, ucząc żołnierzy iż na zapytanie odpowiadać nie lubi. Szły próby jak najlepiej. W piątek padał deszcz od rana; gdy zaczęło zmierzchać, wszystko było w pogotowiu. Sługi Cosel otrzymały uwolnienie do miasteczka.

Okryta płaszczem żołnierskim, z czapką na głowę nasuniętą, zgarbiona, Cosel posunęła się ku pierwszej bramie św. Donata i nikt na nią nie zwrócił uwagi; w drugiej żołnierz popatrzył i przepuścił nic nie mówiąc.

W kilka minut potem prawie podobnie okryty Zaklika spiesznie szedł przez bramę pierwszą, w której nie spotkał nikogo. W drugiej żołnierz zaczął mruczeć.

— A wiele was tu jest? tylko co jeden, już drugi?

Zaklika odsłonił mu twarz.

— Dyabeł cię zna — odezwał się żołnierz — tylko wiem że jeden wszedł a dwóch wychodzi.

— Jakich dwóch?

— Juściżem nie ślepy.

Zaklika nie zważając posunął się ku wyjściu: żołnierz go zatrzymał.

— Ależ mnie tu wszyscy znają — rzekł śmiejąc się — czegoż chcecie?

— Idź się tłumacz do komendanta, a nie, to cię nie puszczę.

Zaczęli się z sobą kłócić, zrobił się gwar, nadbiegł wachmistrz. Podskarżył mu się grzecznie Zaklika, że tego jeszcze nigdy nie bywało: puszczono go.

W kilka chwil znikł w zaroślach za zwierzyńcem, ale żołnierz mruczał.

— Cóżś do niego upatrzył? — zapytał wachmistrz.

— Na straży muszę liczyć ilu wchodzi a ilu wychodzi: jeden w takim płaszczu wszedł a dwóch ich wyszło? I ten pierwszy taką miał minę, jakby on wcale żołnierzem nie był.

A nuż Cosel? — dodał śmiejąc się.

— A no! pleciesz! — rzekł niespokojnie wachmistrz. Staął, pomyślał i poszedł ku wieży św. Jana. Tu dowiedział się od posługacza kuchennego, że kobietom wszystkim dane było pozwolenie na miasto.

Wbiegł na drugie piętro, pokój był ciemny i pusty; na trzecim też nikogo. W ogródku szukać w deszcz śmiesznym było, wachmistrz głowę tracił i pobiegł do komendanta. Ten wybiegł z ludźmi najprzód pod wieżę, przeszukano wszystkie kąty, a czas upływał. Zaczynało dobrze zmierzchać. Nie uległo już wątpliwości iż Cosel uciekła. Uderzono na gwałt i komendant z ludźmi, rozdzieliwszy ich na kilka oddziałów, wybiegł w pogoń zrozpaczony.

Cosel tymczasem biegła do koni, które w znanym jęj miejscu stać miały: omyliła się w pośpiechu i zbłądziła... Zaklika dobiegł do nich, gdy jęj jeszcze nie było. W rozpaczę puścił się szukać nie śmiejąc nawoływać, bo już bicie na alarm słycać było.

Straciwszy czasu nie mało spostrzegł ją stojącą pod drzewem, już w zwątpieniu; pochwycił ją za rękę i doprowadził do koni. Cosel odzyskawszy przytomność umysłu rzuciła się na siodło, Zaklika chwycił konia za cugle, gdy ludzie z załogi nadbiegli i otoczyli ich. Nie mógł się bezbronne dać wziąć Zaklika i wołając na nią aby uchodziła, stanął z pistoletami i szablą do walki.

Kilka strzałów zahuczało i świsnęło, i pocziwy Zaklika rażony kulą w samo czoło, jęcząc powalił się na ziemię... W téjże chwili żołnierz chwycił konia hrabinęj, która napastnika trupem położyła, ale tuż przyszedł drugi i trzeci i poddać się było koniecznością...

Komendant nadbiegł gdy już dwa trupy zimne leżały na ziemi skrwawionęj, a trzeci ranny dogorywał.

— Pani hrabino — zawołał — licz pani ile życia ludzkiego jój wycieczki daremne kosztują!

Na to nie odpowiedziała nic hrabina.

Skoczyła z konia i zbliżyła się do leżącego trupa Zakliki. Błademi usty pocałowała go w krwawe czoło. Rękę trzymał machinalnie przyciśniętą do piersi, gdzie był złożony powierzony mu akt przyrzeczenia królewskiego, który Cosel zdjęła z niego i zabrała z sobą.

Odprowadzono ją na zamek milczącą i pogrążoną w myślach, z których nie prędko wyszła. Siedziała po całych dniach zanurzona w Biblii i obudzała litość nawet w tych, którzy jak najobojętniej na los jój patrzyli. Zaklice kazała sprawić pogrzeb, na który posłała pieniądze.

— Mnie go nikt nie sprawi — rzekła — nawet dzieci, bo te mnie nie znają. Sama jestem na świecie.

Cosel w chwili gdy się to działo miała już lat 49. Piękność jój, jak świadczą wszyscy współcześni, oparła się latom i cierpieniom; była jeszcze piękną, a rysy twarzy zachowały wdzięk dawny i oczy nie straciły blasku.

Od téj pory przestała wychodzić do swego ogródka, otoczyła się książkami, czytała Biblią, studyowała kabałę; kazała sobie księgi hebrajskie tłumaczyć: zabijała czas nie mogąc zabić siebie. Były to ostatnie lata panowania Augusta II, który je spędził naśladowując pilnie pierwowzór swój Ludwika XIV. Świetne zabawy i przepych ustąpiły nieco fantazyi budowli olbrzymich, zakładaniu gmachów, wznoszeniu pałaców.

Drezno drewniane dotąd i dość niepozorne miasto, rozkazano albo przebudowywać z muru, lub domy sprzedawać. Wzniesiono najprzód ratusz na starym rynku: Flemming, Vitzthum, Wackerbarth, Sułkowski, musieli wznosić pałace. Od Flemminga odkupił król pałac japoński wprzód holenderskim zwany, zakładano ogrody, wznoszono koszary, projektowano monumenta; stał już piękny zwinger, cacko w swoim rodzaju, który miał być tylko podwórcem do olbrzymiego pałacu nowego. Piękne drzewa pomarańczowe, które dziś zdobią latem zwinger, mają bajeczną historię swoją. W tym roku 1731 król naukową ekspedycję wysłał do Afryki, jako balast wrzucono w okręt 400 ściętych drzew, które do robót tokarskich miały być użyte; spróbowano je posadzić, większa ich część ożyła.

W okolicy Drezna wznosiły się zamki Moritzburg, Hubertsburg, domy letnie w Pilitz i t. p.

W r. 1731 przedstawiono z wielkiem powodzeniem operę *Cleofida o Alessandro nelle Indie*, w której występowała po siedmkroć piękna Faustyna słynna śpiewaczka, a po siódmém przedstawieniu mąż jój uznał właściwem udać się do Włoch dla dalszego muzycznego wykształcenia.

Chociaż Sasi niewiele mieli praw o któreby się upominać mogli i śmieli, a August nie dopuszczał marzeń o swobodach podobnych tym, które mu Polskę obmierzyły; wszakże sejm saski dla saméj reprezentacyi zebrać w tym roku pozwolił i z wielką ceremonią odbył się on w sierpniu, a Lubomirski, Sepieha, Czartoryski i podkanclerzy lipski byli świadkami jak to się tu te obrady cicho, porządnie, pięknie i programowo odbywały.

Jesienią król pojechał do Polski, przyjmowany przez wielu dygnitarzy w Łowiczu i zamieszkał w Willanowie. Tu obchodzono św. Huberta. W następnym roku świetny znowu karnawał z gospodarstwami obchodzony był w Dreźnie. Król znowu ruszył do Polski, zkąd dwanaście par żubrów wyprawiono do zwierzyńca w Krejern, ale te bezpotomnie tu wygasły. N. Pan nie lubił plotek, postąpiono sobie surowo z p. majorem d'Argelles, który paskwile z Paryża słał do Warszawy. Złamano mu szpadę nad głową, oprawca go opoliczkował, potwarcze pisma w gębę mu zatkał, a potem na całe życie posłano go do gdańskiej fortecy.

W Dreźnie budowano niezmiernie, zaczęto hotel inwalidów na wzór paryzkiego i wiele innych budowli. Willanów téż dla króla odnowiono i tu zebrał się na podziw polski obóz na wzór onego głównego pod Mühlbergiem.

Nie pomogło to jednak wcale na chroniczną chorobę i sejm został zerwany. Szlachta wcale się na królu nie znała, a król téż cierpieć jój nie mógł. Pocieszając się jechał August z Friesenem i Brühlem oglądać gmachy, które dwa tysiące robotników wznosiło: pyramid-gmach, japoński pałac, koszary, kościół, twierdzę. Król się starzał, choć chciał zawsze młodego udawać. Jeszcze w r. 1697 gdy padł był popisując się przed księżną Lu-

bomirską, stłukł sobie nogę niebezpiecznie. Kazano mu się szanować, o czym wcale nie myślał. W roku 1727 musiano zgangrenowany palec u nogi obcinać, a Weiss chirurg który się podjął operacji głowę ważył, gdyby się nie udała. Powiodła się jednak szczęśliwie, pomimo to z trudnością mógł się już na nogach utrzymać i rozmawiając z damami, na taborecie przysiadł.

W ostatnim roku w Lipsku jeszcze obchodził ulubiony swój jarmark noworoczny, oglądał przyprowadzone konie, potem karnawał uroczyście w Dreźnie otworzył, a że sejm się zbliżał, ruszył do Warszawy na d. 16 stycznia.

Droga zimowa, uderzenie w nogę przy wysiadaniu, spowodowały gangrenę i we trzy dni król nie żył. Dziwna rzecz, że w takim życiu do lat sześćdziesięciu trzech mógł wytrzymać.

Przywodziłiśmy wyżej wiele zdań o Augustcie mniej więcej zgodnych w ocenieniu jego charakteru.

W kilka lat po zgonie hr. Schulenburg wezwany przez Voltaire'a, napisał o Augustcie II:

„Pewną jest rzeczą, że król August polski był jednym z monarchów najwykształconszych, jakich sobie wyobrazić można (*vollendesten*); posiadał sąd o rzeczach sprawiedliwy i dar rozróżniania największy, nadzwyczajną zręczność i energię, był bardzo pracowity i tak pilny (?) jak prywatny człek, który się chce czegoś dobić; kto go w różnych okolicznościach nie widział, ledwieby mógł uwierzyć do jakiego stopnia umiał udawać i dyssymulować; zdolny był bardzo pojąć wszystko i wedle swego sposobu widzenia rzeczy się kierować. Oprócz tego rozumiał wojnę wielką i małą, siedząc na koniu doskonale zdejmował plany, wszelkiego rodzaju fortyfikacje znał dobrze, napaści i obrony twierdz, wybornie w każdym wypadku umiał należyte rozporządzenia wydawać i instrukcje, naostatek znał artyleryjską naukę jak ci, co się jój z powołania oddają.”

Jedyny syn Augusta, który dziwne odebrał wychowanie między wyznaniem protestanckim a katolicyzmem trzymany, aby wedle potrzeby mógł jedno z nich wyznawać; na lat kilka oddalony był z Saksonii i w tej podróży przez Jezuitę Salerno, ostatecznie został nawrócony. Na dworze Ludwika XIV znajdowano go bardzo skromnym, bojaźliwym i rozsądnym. Dopiero w 1717 r. ogłoszono publicznie nawrócenie go na wyznanie katolickie, któremu pozostał wiernym. Stwierdziło to ożenienie z księżniczką austriacką Maryą Józefą. Po siedmioletniej niebytności młody kurfirst powrócił do Dreznia z żoną.

August III różnił się od swojego ojca obyczajem i charakterem najzupełniej: był pobożny, skromny, nadzwyczaj leniwy, ale lubił też zabawy, a szczególnie polowania. Przyznawano mu rozsądek i zdrowe rzeczy pojęcie, lecz wstręt do wszelkiego zajęcia.

Panowanie Brühla i Sułkowskiego zwiastowało się już zawczasu, bo w ostatnich latach Augusta II; przypuszczano jednak raczej że drugi z nich będzie owym wszechwładnym ministrem, jakim się później stał pierwszy.

Gdy wieść o śmierci Augusta II doszła z Warszawy do Saksonii i obwieszczano ją po całym kraju, odbierając przysięgę na młodego kurfirsta, komendant ówczesny fortecy Stolpen sam ją przyszedł oznajmić hrabinie Cosel.

Stała długo niema i osłupiona, potem załamała ręce rozpaczliwie i rzuciła się płacząc na ziemię.

Niewola, okrucieństwo, zapomnienie, doznane krzywdy, nie mogły jój niewieściemu sercu odjąć miłości, jaką miała dla niego. Odtąd znowu był jój ukochanym Augustem, a wszystko złe poszło w zapomnienie!

W pięć czy sześć dni z Dreznia przybył niejaki Hennicke, który później tak świetną zrobił karierę, kazał się zameldować do hrabiny Cosel, w poselstwie od kurfirsta. Siedziała jak zwykle nad książkami swojemi, gdy się ukazał w progu.

— Jestem przysłany do Waszej Ekscellencyi — odezwał się — od Najmiłościwszego Pana, aby jój dobrą nowinę zwiastować żeś pani wolną i możesz gdzie się jój podoba zamieszkać.

Cosel ręką potarła po czole.

— Ja? wolną? — zapytała. A na cóż mi dziś wolność...? Ludzie mi, ja ludziom i światu stałam się obcą. Gdzież pójdę? Nie mam kąta, zabrano mi wszystko! z kim żyć będę? nikt mnie nie zna? Chcecież mnie wystawić na pośmiewisko, aby tę hr. Cosel, przed którą wszyscy skłaniali głowy, palcami wytykano?

Hennicke milczał.

— A! nie! — nie! — powtórzyła — nie, wolności nie chcę, nie mam gdzie się podziać; proszę, zostawcie mnie tu. Przyrosłam do tych murów, wszystkie łyzy moje w nich wylałam, nie umiałabym żyć gdzieindziej; zostawcie mi ten kątek, proszę; nie pożyję długo.

Hennicke odpowiedział tylko że N. Panu odniesie prośbę hrabiny.

Łatwo się domyśleć, że dozwolono jej tu pozostać. Hrabina w r. 1733 miała lat pięćdziesiąt i trzy. Po tylu przecierpianych kolejach, nie spodziewała się już długiego życia.

Ale nikt nigdy nie odgadł swoich przeznaczeń.

Hrabina Cosel urządziła się wygodnie na wieży s. Jana i przytykającym do niej ogródku. Głównym jej zajęciem i ulubionym czytaniem były książki hebrajskie, literatura Wschodu, kabała. Otaczała się też ciągle żydami i przez nich otrzymywała wszystko, czego potrzebowała. Pensja jej wynosząca trzy tysiące talarów, starczyła na utrzymanie, na zakupno książek i wykupywanie niepoczciwych, satyrycznych medalów, które August II, o zakład z nią poszedłszy, wybijać kazał. Kupowała także rzadkie talary z herbem jej i króla. Uprosiła je sobie wówczas u niego, kiedy jeszcze sądziła, że ma prawa żony. Bito je w nadzwyczaj małej ilości. Po śmierci Cosel, kilkadziesiąt sztuk tych monet, znaleziono w jej fotelu.

W więzieniu i na swobodzie zachowała zawsze dumę i sposób obejścia się królowej. Miejscowych urzędników, duchownego i innych, zwała: „ty”. Osobom które Stolpen zwiedzały, oświadczać kazała „swą łaskę.” Po siedemnastu latach niewoli za życia Augusta II, przeżyła hrabina tutaj całe panowanie Augusta III i Brühla, obie kampanie szląskie i wojnę siedmioletnią całą.

Godne uwagi, że pierwszy strzał który padł, rozstrzygając o przyszłych losach Saksonii, rozległ się o mury tego zamku. Pruski generał Warnery, wypalił pierwszy do fortecy, zajętej przez kilku inwalidów, opanowując ją samotrzęć.

Fryderyk W. w czasie wojny, wypłacał regularnie hrabinie Cosel jej pensję, ale w tej lichy monecie, którą zwano efrimitami. Z gniewu hrabina ćwieczkami do ścian poprzybijala wszystkie te talary.

XV

W czasie wojny siedmioletniej w roku 1762 i zajęcia Drezna przez Austriaków, książę de Ligne, który naówczas był pułkownikiem dragonów, jeździł umyślnie do Stolpen, aby hrabinę zobaczyć. Oświadczyła mu przy pierwszym widzeniu się, iż przedsięwzięła wszystkie religie poznać i poznawszy je, wybrała żydowską. Wprzód była ona protestantką, jak hrabina Königsmark i Marechal de Saxe. Oświadczyła też księciu, że jeszcze za życia Augusta II mogła być wolność otrzymać, ale wolała w Stolpen zostać, bo jej nikt już na świecie nie znał, a nigdy się spodziewać nie mogła ażeby żyła tak długo.

Przy rozstaniu milemu gościowi darowała hrabina biblię, która, jak wszystkie inne jej książki, cała była okryta przypiskami, grubym czerwonym ołówkiem, co ją wcale nieprzyozdabiało. „Szukała tego skarbu — pisze książę de Ligne, tak uroczyście, z taką troskliwością, że sądził, iż chyba mnie najdroższymi dyamentami obdarzy.”

Książę de Ligne widział ją 82 lat mającą. Wkrótce potem otrzymał od niej list ledwie dający się wyczytać, a trudniej jeszcze zrozumieć i powiada o nim, że go wysylabizować nie potrafił, tak był pełen mistycznych i magicznych formuł.

Z innych źródeł wiadomo, że sławnemu swego czasu orientaliście superintendentowi Bodenschatz, kazała dla siebie tłumaczyć *Pirke aboth*, książkę rabiniczną. Posłała mu na to dwadzieścia talarów, a list podpisała jako Borromeus Lobgesang. W kilka dni to zrobiwszy, Bodenschatz otrzymał sześć dukatów i najpiękniejsze podziękowanie. Później żądano od niego tłumaczenia innych traktatów, płacąc mu za arkusz po luidorze. Bodenschatz zaciekawiony, chciał wiedzieć dla kogo to robi; powiedziano mu, że listy jego adresowane do Drezna, posłaniec ze Schmidefeld zabiera i odpowiedzi przynosi, a o więcej się dowiadywać nieżyczono. W końcu ów nieznaną korrespondent zaprosił p. Bodenschatza do Drezna, ofiarując mu podróż zapłacić. Jakoż znalazł go w istocie w Dreźnie. Cosel wystąpiła na przyjęcie go w zupełnym stroju arcykapłana starego przymierza. Kobięcą twarz poznał zaraz Bodenschatz.

Widywali się później częściej, hrabina przyjmowała go bardzo uprzejmie, dopytywała o różne objaśnienia talmudu, o księgi hebrajskie i rabiniczne pisma.

Hr. Cosel, Bodenschatza miała się starać przez ojca swój synowej, hrabiego Holzen-dorfa, ówczesnego prezydenta rady konsystorza, zrobić miejskim proboszczem w Stolpen. Nie przyszło to dlatego tylko do skutku, że go własny książę Bairentz zażądał.

Bodenschatz zraził się też tém, że hrabina wyrażała się bez pohamowania o wierze chrześcijańskiej. Oprócz tego żona pastora, mimo sześćdziesięciu lat pani Cosel, która jeszcze była bardzo piękną, uczuła zazdrość i nie puściła go.

Naostatek w roku ósmdziesiątym piątym życia, d. 2 kwietnia 1765 r. zmarła na zamku w Stolpen... a współcześnie zostawili świadectwo, iż zwłoki jój zachowały jeszcze ślady tej nadzwyczajnej piękności, którą tak długo słynęła.

Śmierć była cichą... pogrzeb także. Dnia 5 kwietnia ciało złożone zostało w kościele zamkowym, bez kamienia, bez oznaki żadnej, w miejscu, o którym nikt nie wzmiankuje.

Troje dzieci zostawiła po sobie, przyznanych przez króla: hrabiego Fryderyka Augusta Cosel urodzonego w r. 1712, generała jazdy, szefa gwardyi i pana na Zaborze nad Odrą w Szlązku... (pod Zieloną górą).

Jego to pałac nosił imię Cosel.

Cosel żonaty był z panną Holzendorf i zmarł w r. 1770, zostawując jednego syna, który zszedł bezpotomnie. Córka jedna, starsza Augusta Konstancya, wydana za hr. Friesen'a, wniosła mu w posagu Königsbrück, a umarła w 1724 roku. Młodsza Fryderyka ur. w 1709, poszła za podskarbiego Fryderyka Krystyana Moszyńskiego. Mąż jój zmarł w r. 1737, ona przeżyła go o lat prawie pięćdziesiąt i za panowania Brühla, ona panowała nad Saksonią. Beczkę złota kosztował ją pałacyk, zwany Moszyńskich, który został niedawno zrzucony.

Takie były losy tej kobiety, którą najsurowiej sądząc, na tle czasu, w jakim żyła, wśród ludzi, z jakimi obcowiała, niepodobna jój odmówić pięknego, szlachetnego, wzniosłego charakteru. Wśród powszechnego zepsucia, narażona na tysiące umyślnych pokus, wyzywana, aby się swój dostojności wyrzekła, Cosel wołała niewolę, męczarnie, niż wyrzeczenie się tego, co zdawało jój się honor zabezpieczać. W czasie najzłośliwszych plotek, nikt nie śmiał i nie mógł nic przeciwko niej powiedzieć.

Miłość jój dla Augusta, który nigdy żadnej kobiety nie kochał, przetrwała lata i w chwili jego zgonu, jeszcze z nową gwałtownością wróciła. W samych tych kabalistycznych obłudach biednej kobiety, czuć umysł czynny, niemogący wyżyć i bez zajęcia, i sięgający najwznioślejszych zagadnień, któreby niezrozumiale jój życie wytłumaczyć mogły.

Nie sądzimy, abyśmy w końcu potrzebowali zapewniać czytelników naszych, iż cała ta historia hrabinę Cosel we wszystkich zarysach, wypadkach, charakterach, jest jak najściślej prawdziwą. Taką ją nam podały mnogie pamiętniki epoki: Haxthausen, Pöllnitz, Loen i inni.

Wyobraźnia nie potrzebowała dodawać prawie nic, do tak bogatego materiału, ale go tylko wypełnić. Jest to jedna strona epoki i panowania, które się i nam czuć dało, widziana z Saksonii i z profilu. Król August nie ma w niej pięknej roli, ale ta, jaką mu nadają dzieje, jest ściśle prawdziwą. Wielu szczegółów pełnych charakteru, któreby dzieje ścierpiały, powieść znieść nie mogła.

Dwa te panowania saskie, jak już za Stanisława Augusta zdrowsze umysły uznawały, oddziały na kraj nasz w najzgubniejszy sposób. Dwór saski popsuł obyczaje polskie, widzimy tu rodziny niegdyś najzacniejsze, ubiegające się o piętno sromotne łask królewskich, Bielińskich, Denhoffów, Pocijów, Lubomirskich. Zbytek i potrzeba rozrywek płochych, niepomierne bankietowanie z Augustem, przychodzą do Polski, ale z saską dynastją nie giną. Wielcy mężowie lat dawnych, ustępują słynnym intrygantom, miłość kraju zmienia się w prywatę wyzyskującą wszystko; frymark szczeni się wszędzie, marnotrawstwo kraj niszczy. Blask dworu i elegancja jego, na umysły słabe i zawsze do naśladowania skłonne, fascynacyjny wpływ wywierają. *Regis ad exemplum* żyją wszyscy; niewidziane dawniej w rodzinach polskich zgorzenia, przechodzą niepostrzeżone, społeczność chwije się w posadach. Smutny to widok tém bardziej, że tak napozór wesołą i świetną ma fizyognomią.

Niemniejszymi ofiarami okupiła Saksonia świetności te dwóch panowań: jednego rozrzutność samowolną, drugiego nieudolność i opieszalność zdumiewającą. Naśladowca Ludwika XIV, zadał cios śmiertelny własnemu krajowi. Sasi przypisują zwykle staraniom

o koronę polską, wojnom dla utrzymania się przy niej toczonym, finansową swą ruinę i osłabienie. Przekonać się można jednak łatwo z pobieżnych nawet rachunków, że nigdy korona, wojny, sejmy, polityczne targi nie kosztowały Augusta II tyle co jego zabawy, fajerwerki, obozy, balet, opera, brylanty i pałace ulubienic.

Marnotrawstwo było olbrzymie, nieprawdopodobne i wprzód jeszcze nim Brühl począł wysysać Saxonią, Hoymy, Beichlingi, Fürstenbergi, wyciągnęli z niej dawną jej zasobność. Ani Sasi nam, ani my im, nic do zazdrośczenia nie mamy: oba kraje padły ofiarą fantazyi Augusta Mocnego. Saksonia tylko rychłej obyczajowo dźwignąć się i pod wpływem otaczających ją Niemiec odrodzić mogła — nam na to dłuższego dla wielu a wielu przyczyn, potrzeba było czasu.

Zamek w Stolpen pusty dziś, zamknięty, śliczna ruina milcząca, stoi wspinając się wieżami swemi do góry. Zachował się jeszcze dosyć cało i wieżę ś. Jana, pokoje hr. Cosel, jej ogródek, wszystko to pokazuje grzeczny odźwierny, sprzedając małą książeczkę, służącą za przewodnika. Cicho tu i głucho. Oryginalną fizyognomią nadają zamkowi ogromne wieże słupów czarnego bazaltu, wyrastające z ziemi wszędzie. Do niktogo strzelał August II niepomyślny, że tam wśród nich zamknięta siedziała kobieta, której zatruli życie. Na cmentarzu i w kościele u stóp góry, próżno pytać o grób Cosel: nikt o nim nie wie.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/hrabina-cosel-tom-drugi/>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Kraszewski, Hrabina Kosel: powieść historyczna, tom II, Gebethner i Wolff, Warszawa 1874.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0434-0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).